

POSŁUCHAJ, A ZROZUMIESZ



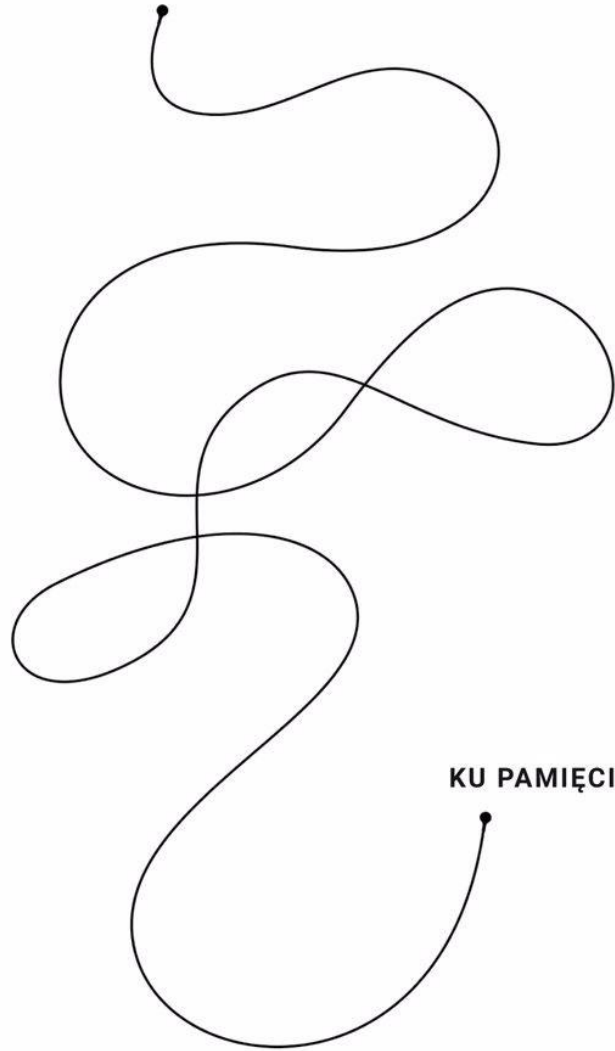
PLAYLIST  
FOR THE  
**DEAD**



MICHELLE FALKOFF

Feeria  
young

**ERICOWI**



**KU PAMIĘCI**

## **Tytuł oryginału: Playlist for the Dead**

Text Copyright © 2015 by Michelle Falkoff  
Published by arrangement with HarperCollins Publishers

Przekład: Marcin Sieduszewski  
Opieka redakcyjna: Maria Zalasa, Katarzyna Nawrocka  
Redakcja: Ewa Różycka  
Korekta: Karolina Pawlik

Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK,  
2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

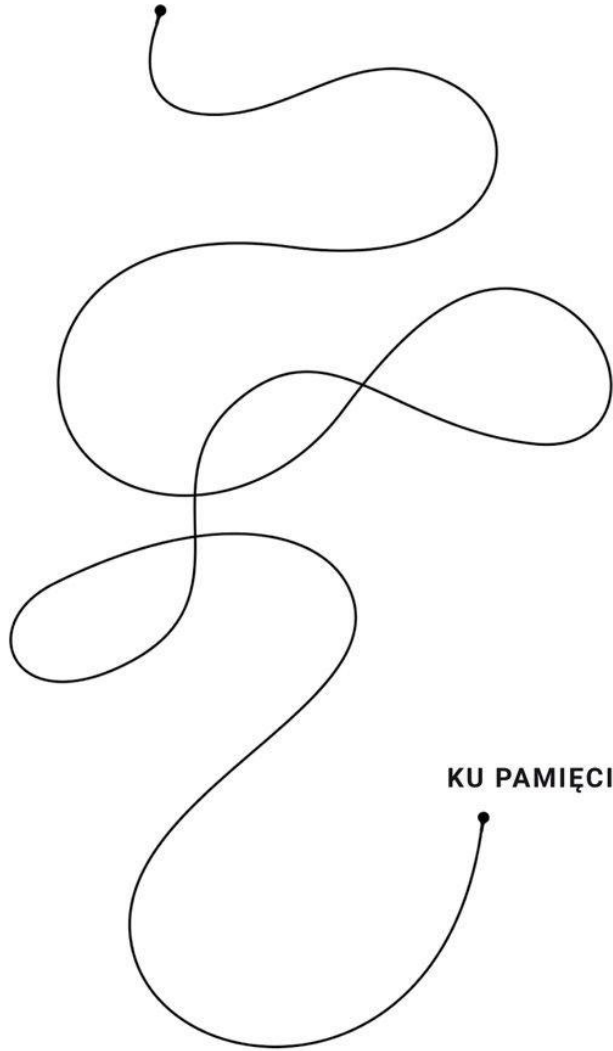
ISBN 978-83-7229-531-6

Wydanie I, Łódź 2015

Wydawnictwo JK,  
ul. Krokusowa 1-3  
92-101 Łódź  
tel. 42 676 49 69  
fax 42 646 49 69 w. 44  
[www.wydawnictwofeeria.pl](http://www.wydawnictwofeeria.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

**ERICOWI**



**KU PAMIĘCI**

Wieloletnie oglądanie telewizji wyrobiło we mnie przekonanie, że można znaleźć zwłoki i uświadomić to sobie dopiero w momencie, gdy przekręci się tę osobę na plecy i odsłoni dziurę po kuli lub ranę kłutą. Poniekąd okazało się to prawdą – Hayden leżał na łóżku opatulony w lamerską kołdrę z nadrukiem z *Gwiezdnych wojen* (ile myśmy w końcu mieli lat, co?), tak jak zawsze, gdy nocowałem w jego domu.

Hayden miał mocny sen; czasami musiałem dosłownie zepchnąć go z łóżka, żeby się obudził. Co zresztą nie było łatwe, bo był niski i raczej pulchny, a ja jestem o wiele wyższy i tykowaty, więc gdy twardo zasnął, ciężko go było ruszyć. Gdy tamtego ranka zastałem go w łóżku, westchnąłem, zastanawiając się, jak połączyć przeprosiny za to, co zaszło poprzedniego wieczora, z przeprosinami za zrzucenie go z łóżka na podłogę.

Moje westchnienie zabrzmiało tak strasznie głośno, że całą minutę zajęło mi uświadomienie sobie dlaczego. Otóż Hayden nie chrapał. Tyle że on zawsze chrapał. Moja mama, pielęgniarka, uważała, że cierpi na bezdech senny – gdy nocował w naszym domu, jego burczenie docierało korytarzem aż do jej sypialni. Próbowwała nawet namówić go, aby porozmawiał ze swoją mamą o zakupie specjalnej maski, ale wiedziałem, że on nigdy tego nie zrobi. Hayden rozmawiał ze swoją mamą tylko wtedy, gdy nie miał innego wyjścia, a z tatą jeszcze rzadziej.

Cisza panująca w pokoju zaczynała mnie przerażać. Próbowiałem sobie wmówić, że to nic takiego, że Hayden po prostu przyjął do snu dogodną pozycję, która nie wywoływała chrapania, ale to i tak oznaczałoby cud, i nawet jeśli niewielki, to po pięciu latach szkółki żydowskiej raczej niechętnie wierzyłem w cuda.

Trąciłem go w nogę.

– Hayden, pobudka.

Nie poruszył się.

– Hayden, poważnie, wstawaj.

Nic. Nawet nie stęknął.

Już miałem chwycić za nadruk przedstawiający łeb szturmowca Imperium i zerwać kołdrę, kiedy na biurku dostrzegłem pustą butelkę po wódce. Stała między laptopem a modelem Sokoła Millennium, nieopodal miejsca, gdzie Hayden spał.

To było dziwne – Hayden przecież w ogóle nie pił, nawet na nielicznych imprezach, na których mieliśmy okazję się pojawić. A z tego, co wiedziałem, zeszłej nocy nie miał czasu, żeby pociągnąć choć łyk piwa z kija. Nic nie tłumaczyło obecności tej butelki. Chyba że był jeszcze bardziej wkurzony, niż myślałem; bez problemu mógł ją wyjąć z barku ojca po powrocie do domu.

Poczułem mdłości wywołane, jak zdałem sobie sprawę, poczuciem winy. Na pewno dlatego nie chciał się obudzić: był przepity. Nawet wyrzuty sumienia nie powstrzymały mnie od chichotu. Pierwszy kac Haydena – ależ będę miał z niego ubaw, gdy w końcu się ocknie. Potem zaciągnę go na tłuste śniadanko i się pogodzimy. I wszystko będzie git.

Niech no tylko wstanie.

Przysunąłem się do wezglowia łóżka, ostrożnie pociągając nosem, aby sprawdzić, czy wcześniej się nie porzygał. Powietrze jednak miało zapach typowy dla jego domu – było przesadnie zdezynfekowane, a sosnowa woń przytłumiała wszystkie inne. Daję słowo, jego mama kazała przychodzić sprzątaczkom prawie codziennie. Zastanawiałem się, czy przetoczyć go na bok, czy też wyciągnąć mu spod głowy poduszkę, ale gdy się przymierałem, by szarpnąć za pościel, zawadziłem łokciem o pustą butelkę po wódce. Spadła na podłogę z łoskotem, strącając po drodze parę innych rzeczy.

Schyliłem się, aby ją podnieść. Nie chciałem wkurzać Haydena bałaganem mojego autorstwa; mieliśmy wystarczająco dużo do obgadania. Kiedy wziąłem do ręki butelkę, od razu spostrzegłem leżące obok niej opakowanie po lekach i też je zgarnąłem. Była to buteleczka Valium. Widniało na niej imię i nazwisko matki Haydena. Okazała się pusta. Nie miałem pojęcia, ile tabletek powinno znajdować się w środku, ale zgodnie z datą na etykiecie lek kupiono zaledwie kilka dni wcześniej. To mogło oznaczać, że mama Haydena z dnia na dzień opróżniła całe opakowanie.

Spojrzałem na butelkę po wódce.

Albo zrobił to Hayden.

Wtedy dostrzegłem jeszcze jedną rzecz, którą straciłem na podłogę. Pendrive'a leżącego obok kartki wyrwanej z zeszytu. „Dla Sama” – było na niej napisane. „Posłuchaj, a zrozumiesz”.

Dopiero wtedy zadzwoniłem po pogotowie.





## *How to Disappear Completely*

### **Radiohead**

Rankiem, w który odbył się pogrzeb Haydena, nie byłem w stanie podnieść się z łóżka. Nie chodzi o to, że nie chciałem – wręcz przeciwnie, pragnąłem, aby ten dzień skończył się tak szybko, jak to tylko możliwe, a skoro wstanie z łóżka miało to przyspieszyć, byłem gotowy to zrobić.

Jednak nie byłem w stanie.

Czułem się dziwnie, jakbym tkwił w bryle lodu. Przypomniała mi się scena z *Gwiezdnych wojen*, w której Han Solo zostaje zamrożony w karbonicie z wyciągniętymi przed siebie dłońmi – jakby miało go to w jakiś sposób ochronić – oraz ustami rozchylonymi w milczącym proteście. Owa scena od zawsze prześladowała Haydena; twierdził, że przeraża go za każdym razem, gdy ją ogląda, a *Imperium kontratakuję* widział pewnie tysiąc razy. Sam widziałem ten film prawie tyle razy co on, ale z jakiegoś powodu motyw z karbonitem wydawał mi się komiczny, choć jeszcze śmieszniej było patrzeć, jak Hayden staje się nerwowy na wzmiankę o tej scenie. Na urodziny kupiłem mu więc etui na iPhone'a z wizerunkiem zamrożonego Hana Solo, a do coli wrzuciłem kostki lodu w tym samym kształcie.

Wspomnienie tamtego wyrazu jego twarzy wywołało u mnie śmiech, który uwolnił mnie ze stanu odrętwienia. Mogłem się już poruszać, chociaż właściwie wcale nie chciałem. Ruch oznaczał, że nie śpię, a skoro nie spałem, to Hayden naprawdę nie żył, a ja nie byłem jeszcze gotowy, by się z tym pogodzić. Czułem, że śmiejąc się, robię coś niewłaściwego, ale jednocześnie przyjemnego, i fakt, że czerpałem z tego przyjemność, wywołał u mnie wyrzuty sumienia, które tylko

spotęgowały poczucie niestosowności mojego zachowania. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, jak mam się czuć. Smutny? Aha. Wkurzony? Jak najbardziej.

– Co też strzeliło ci do głowy, Hayden?

– Co takiego? – Mama uchyliła drzwi i spojrzała na mnie. Jej kręcone brązowe włosy były zaplecione w warkocz, a zamiast szpitalnego kitla miała na sobie sukienkę. – Pytałeś mnie o coś, Sam?

– Nie, gadam sam do siebie. – Nie zdawałem sobie sprawy, że myślę na głos.

Otworzyła drzwi jeszcze szerzej.

– Jeszcze leżysz w łóżku? Wstawaj, musimy się zbierać. Wiesz przecież, że nie będę mogła zostać na całą ceremonię. I tak spóźnię się do pracy.

Kilkakrotnie pstryknęła palcami. Przesadna serdeczność nie była w jej stylu.

– Jak mam się ubrać, skoro jeszcze tu jesteś?

Zabrzmiało to ostrzej, niż planowałem, ale musiała zrozumieć, bo bez słowa zamknęła drzwi, powiesiwszy coś najpierw na ich wewnętrznej stronie. Garnitur, który miałem na sobie na weselu kuzynki w zeszłe lato. Musiała go dla mnie uprasować. Poczułem się jak jeszcze większy dupek niż chwilę wcześniej.

Wstałem z łóżka, włączyłem komputer i nastawiłem playlistę, którą odkryłem na pendrivie Haydena. Zostawił ją, bo wiedział, że ją znajdę – prawdopodobnie podejrzewał, że znajdę i jego, bo to zawsze to ja przeproszałem pierwszy po naszych sprzeczkach. Nie potrafiłem wściekać się zbyt długo. Musiał się domyślać, że przyjdę, mimo nie najlepszego nastroju, w jakim się rozstaliśmy.

Przez ostatnie kilka dni słuchałem jej bez przerwy, starając się odgadnąć, o co mu chodziło. „Posłuchaj, a zrozumiesz”. Co niby miałem zrozumieć? Zabił się, zostawiając mnie samego, i to ja go znalazłem. Przeczewałem, że to wszystko moja wina, chociaż nie byłem jeszcze gotowy, żeby się nad tym zastanawiać. Słuchałem i słuchałem, szukając piosenki, która to potwierdzi, piosenki, która obarczy mnie winą. Na razie jej jednak nie znalazłem.

Zamiast tego odkryłem niewiele mówiący zbiór utworów,

z których każdy był z innej bajki – trochę nowych kawałków, trochę starych. Niektóre z nich znałem, innych nie, co – zważywszy na fakt, że gusta muzyczne Haydena i moje kształtowały się wspólnie, a przynajmniej tak mi się wydawało – było zaskakujące. Musiałem słuchać dalej, żeby rozgryźć, co chciał mi przekazać, chociaż nadal nie wiedziałem, po co to wszystko.

Przejrzałem składankę pod kątem czegoś nadającego się na pogrzeb. Większość piosenek była dosyć przygnębiająca, więc wybór nie był oczywisty. Zacząłem zatem od kawałka kojarzącego mi się z sytuacją, kiedy pierwszy raz ubrałem się w garnitur, który miałem za chwilę nałożyć. Był szary, lekko połyskliwy i przy tamtej okazji założyłem do niego muchę. Moi kuzyni, lamusy z prywatnych liceów, i tak uważali mnie za dziwaka, więc czemu nie miałem dostarczyć im na to konkretnego dowodu. Mama nie miała nic przeciwko, stwierdziła, że cieszy ją, iż mam indywidualne wyczucie stylu i własne zdanie na temat garderoby. Zanim rozstali się z tatą – kiedy jej jeszcze zależało – ubierała się naprawdę modnie. Obecnie rzadko kiedy zdejmowała służbowy kitel. Rachel, mojej starszej siostrze, garnitur nie przypadł do gustu i obrzucała mnie wyzwiskami do momentu, gdy mama kazała jej iść na górę i przebrać się z sukienki, w której zamierzała jechać. Swoją drogą kiecka była dosyć wyzywająca jak na wesele w rodzinie.

Gdy się zbierałem, przyszedł Hayden i spytał, czy chcę z nim iść do centrum handlowego. Przez „centrum handlowe” rozumiał jedyny sklep, do którego kiedykolwiek chadzaliśmy: Międzygalaktyczną Kompanię Handlową. Reszta dzieciaków ze szkoły trzymała się raczej drugiego końca budynku, gdzie znajdował się sklep z artykułami sportowymi, my jednak rzadko tam chodziliśmy. Tymczasem ja zapomniałem wspomnieć Haydenowi o weselu.

– Fajny gajerek – powiedział typowym dla siebie wyciszonym tonem, który uniemożliwiał stwierdzenie, czy mówi poważnie, czy się nabija.

Z Haydenem nigdy nie było wiadomo. Nie to co ze mną, ja zawsze strugałem mądrą.

– Dobra, dobra – odparłem. – Sam w życiu byś takiego nie włożył, co?

Skrzywiłem się na to wspomnienie, bo nawet wówczas wiedziałem, że to nieprawda. Hayden zrobiłby to, co kazaliby mu rodzice. Nie napawało go to szczęściem, ale alternatywa była o wiele gorsza.

Wzruszył ramionami.

– Z muchą jest lepiej – stwierdził. – Ale jeszcze lepiej wyglądałbyś w T-shircie pod spodem. Na przykład w tym.

Podniósł koszulkę Radiohead leżącą w nogach łóżka; tę, którą przywiózł mi z ich koncertu. Widniał na niej napis: *NO MATTER HOW IT ENDS / NO MATTER HOW IT STARTS*<sup>1</sup>.

Przewróciłem oczami.

– Czy to koniecznie musi być Radiohead?

– A co jest nie tak z Radiohead? – spytał, chociaż dobrze wiedział, co powiem. Przerabialiśmy ten temat milion razy.

– Niektóre piosenki mają fajne – przyznałem. – Ale co tak naprawdę odróżnia ich od Coldplay? Oba zespoły tworzą biali Anglicy, którzy pokończyli dobre uniwersytety i są pewnie bystrzejsi, niż powinni. Tyle że dziewczynom podoba się Chris Martin, a nie Thom Yorke, więc Coldplay sprzedaje miliony płyt, a Radiohead musi zadowolić się graniem piosenek dla gości takich jak my. Coś tu jest nie tak, nie sądzisz?

– Totalnie się mylisz – odparł Hayden. – Radiohead jest z całkiem innej planety niż Coldplay. *Kid A* to prawdopodobnie najlepszy album wszech czasów, a Coldplay wytaczane są procesy o plagiat za każdym razem, gdy wypuszczają singla. Sama wzmianka o tych dwóch zespołach w jednym zdaniu to zniewaga dla Radiohead.

Uwielbiałem podpuszczać Haydena. Gdy byliśmy mali, moją mamę martwiło to, jak często się kłócimy. Wchodziła do pokoju na dźwięk naszych krzyków – no dobrze, ja krzyczałem, a Hayden już wtedy w sposób racjonalny i cierpliwy próbował nakreślić mi swój punkt widzenia – po czym pytała: „Wszystko w porządku, chłopcy?”.

– W porządku – odpowiadaliśmy jednocześnie. I taka była prawda. Tęskniłem za nim na samo wspomnienie tamtych chwil.

Na chwilę przestałem się ubierać i skupiłem na muzyce rozbrzmiewającej z głośników. Nie zaskoczyło mnie, że umieścił na

składance *How to Disappear Completely*<sup>2</sup>, bo była to jego ulubiona piosenka (moją była *Idioteque*, bo chociaż drażniłem się z Haydenem, zgadzałem się, że Radiohead są nieskończenie lepsi od Coldplay). Starłem się nie wsłuchiwać za mocno w słowa ani nie myśleć o tym, że Hayden tworzył tę playlistę przed podjęciem ostatniej decyzji w swoim życiu. Nie mogłem znieść myśli, że on także chciał po prostu zniknąć.

Zacisnąłem dłonie w pięści, wbijając paznokcie w skórę, aby się uspokoić. Przez ostatnie kilka dni na zmianę za nim tęskniłem i nienawidziłem go, czułem się winny i zdruzgotany – właściwie nie wiedziałem, jak powinienem się czuć, oprócz tego, że jakoś inaczej. Zostawił mnie samego, a ja nigdy bym mu nie zrobił czegoś w tym stylu bez względu na to, jak bardzo bym się wściekł. To wszystko sprawiało, że prawie nie mogłem spać, więc byłem wykończony. Wykończony i zły. Fantastyczna kombinacja.

Tyle że złość wznawiała cykl, który już prawie stawał się dla mnie czymś znajomym. „Wścieknij się. Obwiniaj Haydena. Zaczynij za nim tęsknić. Znowu się wścieknij”. Pojawiającym się co jakiś czas urozmaiceniem była chęć wydarcia się na całe gardło albo przyłożenia w coś pięścią, ale na to ostatecznie nie mogłem się zdobyć. Dlaczego nie mogłem zachowywać się normalnie i po prostu pogрузić się w smutku jak inni ludzie?

– Sam, rusz się! – zawołała z dołu mama.

Znowu zacząłem za nim tęsknić. Musiałem więc zrobić coś, żeby się pocieszyć. Poszedłem do kosza na pranie, wyjąłem z niego starą koszulkę Radiohead i założyłem ją pod garnitur.

*Koniec jest nieistotny, początek jest nieistotny* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). ⇐

*Jak całkiem zniknąć.* ⇐



## *Crown of Love*

### **Arcade Fire**

Kościół, w którym odbywał się pogrzeb, znajdował się we wschodniej części Libertyville, czyli po zamożnej stronie miasta. Mieszkali tam Stevensowie, krewni Haydena. Moi krewni tam nie mieszkali.

Budynek, wzniesiony z ciemnego drewna i wyeksponowanych belek, z zewnątrz przypominał budynek z ekskluzywnego górskiego kurortu – prawdopodobnie stworzyli go architekci odpowiedzialni za wszystkie podmiejskie rezydencje po tej stronie miasta. Wewnątrz drewno było jaśniejsze, a z wysokiego sklepienia łukowego zwisał błyszczący nowoczesny żyrandol. Niemalże jakby komuś zależało, aby ludzie zapomnieli, że są w kościele.

Pochodzę z żydowskiej rodziny, a jedyny kościół, w którym kiedykolwiek byłem, to katolicka świątynia w mojej części miasta, gdzie wszystkie dzieciaki z mojej szkoły przystępowały do Pierwszej Komunii. Było to wtedy, gdy dopiero co przeprowadziliśmy się z innego miasta, więc nikogo tu nie znałem, a że pewien chłopak z mojej klasy zaprosił do siebie wszystkich, to mama kazała mi tam iść, bo uważała, że w przeciwnym razie z nikim bym się nie zaprzyjaźnił. To jednak wcale tak nie działało.

Kościół katolicki wyglądał tak, jak się tego spodziewałem: z zewnątrz był biały, na ołtarzu stał krucyfiks, a w okna wstawiono witraże. Ten kościół w ogóle go nie przypominał, z wyjątkiem tego, że dwa rzędy ław kończyły się ołtarzem. Przed nim stała trumna, a w niej leżał Hayden. Prawdopodobnie też miał na sobie garnitur.

Gdy się tam pojawiliśmy, wewnątrz było wypełnione prawie po

brzezi. Rachel od razu usiadła ze znajomymi, co nas wcale nie zaskoczyło, więc ruszyliśmy z mamą na poszukiwania wolnych miejsc. Pierwsze kilka rzędów zajmowała rodzina Haydena – spostrzegłem jego rodziców, starszego brata, Ryana, oraz ciotki, wujków i kuzynów, których rozpoznałem z pobytu w domu Haydena podczas świąt. Z racji tego, że moja rodzina nie obchodzi Bożego Narodzenia, Hayden zapraszał mnie do siebie na deser, kiedy już skończyli rozpakowywać prezenty i jeść wystawną kolację. Hayden był mi wdzięczny, że przychodziłem, bo dzięki temu mógł odejść od stołu. Jego mama bowiem zawsze wypominała mu, ile je, a Boże Narodzenie było pod tym względem najgorsze. Jeśli choćby zerknął na drugi kawałek placka, rzucała mu surowe spojrzenie i pytała:

– Naprawdę go potrzebujesz, Hayden?

On jednak nigdy się nie spierał. Walka nie leżała w jego naturze. Zrobiłby wszystko, byle tylko utrzymać pokojowe relacje.

Rodzina na niego nie zasługiwała.

Za krewnymi Haydena zasiedli wstrętne bogacze z jego części miasta i ich wstrętne bachory, kumple Ryana, którzy przez wiele lat dręczyli Haydena, często pod przewodnictwem jego brata. Wszystkim im wydawało się, że życie już zawsze będzie dla nich równie łatwe jak obecnie. Nadziane mięśniaki, takie jak Jason Yoder, zatrudniające korepetytorów, którzy mieli im pomóc w zaliczeniu najtrudniejszych przedmiotów, czy dziewczyny takie jak Stephanie Caster, o przerobionych chirurgicznie noskach, ćwiczące pod okiem osobistych trenerów, które nawet bez tego byłyby piękne, a tak wszystkie wyglądały identycznie. To znaczy nadal dało się na nich zawiesić oko, ale to już nie było to samo. Wkurzało mnie, że siedzą, udając, że jest im strasznie smutno, podczas gdy ponosili przynajmniej częściową winę za to, co się stało. Jak to możliwe, że na pogrzebie mojego najlepszego przyjaciela czułem się kompletnie nie na miejscu?

Mama położyła mi dłoń na ramieniu. Jej ciężar mnie ukoił. Cieszyłem się, że nie muszę być tu sam.

– Musimy gdzieś usiąść, skarbie – powiedziała, prowadząc mnie na koniec nawy, ku jednej z ław stojących przy wyjściu z kościoła. – Wiem, że wolałbyś usiąść z przodu, ale zaraz zaczynają, a tam dalej nie ma już



wolnych miejsc.

Skinąłem głową, przypominając sobie o rozprostowaniu zaciśniętych w pięści dłoni.

– Będiesz musiał później trzymać się Rachel, ma załatwić wam podwózkę do domu – powiedziała mama. – Przykro mi, ja nie dam rady.

– W porządku.

Nie zaskoczyło mnie to, ale i nie wzburzyło. Mama zawsze wychodziła wcześniej albo późno wracała do domu. Gdy tata odszedł na dobre, wróciła do szkoły wieczorowej, aby uzyskać dyplom pielęgniarstwa, a z racji tego, że w szpitalu brakowało personelu, brała tak wiele nadgodzin, jak tylko się dało; właściwie było to konieczne, zważywszy na fakt, że tato niezbyt ochoczo przysyłał czeki. Niby nie było źle, jak mama zapewniała Rachel i mnie, ale nie narzekaliśmy na nadmiar oszczędności. W przeciwieństwie do osób siedzących w przednich rzędach kościoła.

Wierciłem się na drewnianej ławie, próbując wygodnie się rozsiaść, a wszyscy naokoło zaczęli się już uciszać. Nabożeństwo miało rozpocząć się jakiś kwadrans temu, a ja wciąż słyszałem, jak z tyłu nadal ludzie wchodzi do środka. Jak na pogrzeb kolesia mającego tylko jednego przyjaciela, było tu dosyć tłoczno.

Byłem pewny, że Hayden nie byłby zachwycony. Usiadłby ze mną z tyłu.

Zrobiło mi się gorąco i wszystko mnie swędziało. Zgrzałem się pod połyskliwym garniturem. Przyszło mi do głowy, żeby wyjść, ale znalazłem się w potrzasku – mama siedziała na brzegu ławy, żeby móc wymknąć się cichaczem, a z drugiej strony drogę blokowała jakaś baba w kwiecistej sukience. Czy na pogrzeb nie powinno się nałożyć czegoś czarnego? Wyglądała, jakby zaraz miała stąd spieprzyć na bankiet w czyimś ogrodzie.

Znowu ogarnęło mnie pragnienie przyłożenia czegoś pięścią, więc zacząłem szukać rzeczy, na których mógłbym się skupić, żeby się uspokoić. Wsłuchałem się w muzykę puszczaną z głośników. Bo oczywiście nie było tu żadnych organów. Nie rozpoznałem piosenki, która brzmiała jak newage'owy muzak grany na fletach. To na pewno doprowadziłoby Haydena do szału. Zastanawiałem się, czy którąkolwiek

z piosenek umieszczonych na składance wybrałby na swój pogrzeb, a jeśli tak, to którą. Najlepiej pasowała mi stara piosenka Arcade Fire z albumu *Funeral*. Obaj uwielbialiśmy ten zespół. Nawet obejrzelśmy rozdanie Grammy, podczas którego zgarnęli nagrodę za album roku.

Po dziesięciu kolejnych minutach przed ołtarzem stanął ksiądz. Zaczął przynudzać o tym, jaka to tragedia, gdy tracimy kogoś równie młodego – serwował same banały i eufemizmy, które w żaden sposób nie oddawały tego, co się stało. Tak się wściekłem, że musiałem wbić wzrok w głowy siedzących przede mną ludzi. Kilka rzędów dalej dziewczyna o długich platynowych włosach poznaczonych czarnymi pasemkami opierała się o ramię wysokiego hipstera. Nie rozpoznawałem nikogo z nich, przynajmniej od tyłu. Nie mogłem jednak powstrzymać się od myśli, że jej fryzura bardziej się nadawała na pogrzeb niż kwiecista sukienka mojej sąsiadki.

Gdy zaczęły się modlitwy, mama pocałowała mnie w czubek głowy i powiedziała:

– Muszę lecieć.

Wyszła na tyle dyskretnie, na ile pozwalały jej pielęgniarskie chodaki. Było mi przykro, że tak wiele godzin haruje, spędzając ten czas na nogach, aż po powrocie do domu musi moczyć stopy. Kilka miesięcy temu, kiedy skończyłem piętnaście lat, zaproponowałem, że znajdę sobie pracę po szkole, ale tylko się zaśmiała.

– Już dawno minęły czasy, gdy nastolatki zajmowały wszystkie wakaty w centrum handlowym – oznajmiła. – Połowa matek, które znam ze spotkań Organizacji Rodziców i Nauczycieli, dorabia obecnie w Gapie. Nie masz szans, mały. Ucz się dobrze, a ja poproszę cię o wsparcie, jak przejdę na emeryturę.

Żartowała, ale tylko częściowo. Znałem dzieciaki ze szkoły, których mamy pracowały jako kelnerki w restauracji Olive Garden albo sprzedawały kosmetyki do makijażu i biżuterię w piwnicach domów położonych we wschodniej części miasta, udając, że to tylko tak, dla zabawy, że niby wcale nie muszą zarabiać, aby nadal móc tam mieszkać. Od zamknięcia kilka lat temu fabryki Liberty Appliance granica między bogaczami a ludźmi ledwo wiążącymi koniec z końcem straciła na wyrazistości.

Miło ze strony mamy, że przynajmniej wyszła w miarę późno; starałem się nie winić jej za zostawienie mnie samego.

Po modlitwach ksiądz poprosił o wspomnienia o zmarłym.

– Jeśli ktokolwiek chciałby zabrać głos, czymś się z nami podzielić... – powiedział.

Zapadła niezręczna cisza. W końcu wstał ojciec Haydena. Nie mogłem na niego patrzeć. Szlochał, jakby stracił coś niezmiernie cennego, a ja znałem prawdę, wiedziałem, że spędza cały czas w pracy, w podróży albo u kobiety, z którą sypiał i jeździł w delegacje.

Nie byłem jednak w stanie go uciszyć.

– Hayden nie był synem, jakiego oczekiwałem – oświadczył. – Spodziewałem się, że będę z nim rzucał piłką przed domem, oglądał mecze w weekendy, jeździł na ryby. Czyli to, co robiłem z własnym ojcem. To, co robiłem z Ryanem. Tylko taką relację z synem umiałem sobie wyobrazić.

Głos zaczął mu się łamać.

– Jednak mojego drugiego syna nie interesowały tego typu sprawy. Uwielbiał muzykę, gry wideo i komputery. Nie wiedziałem, jak z nim rozmawiać. A teraz spędzę resztę życia, żałując, że się tego nie nauczyłem.

Spuścił głowę, jakby chciał ukryć fakt, że płacze.

Mistrzowskie przedstawienie. Szkoda, że nie było w nim ani słowa prawdy.

Spojrzałem na siedzącego w pierwszym rzędzie Ryana. Kręcił głową, co mnie zaskoczyło. Spodziewałem się, że przytaknie każdemu słowu, które wyszło z ust ojca, tak jak robił to zazwyczaj.

Przyszło mi do głowy, żeby wstać i opowiedzieć o moim najlepszym przyjacielu. Mógłbym opisać, jak poznaliśmy się w wieku ośmiu lat na kwalifikacjach do Małej Ligi Bejsbolowej, niedługo po tym, jak przeprowadziłem się do Libertyville. Żaden z nas nie chciał się tam znaleźć. Hayden nawet wtedy był niski i grubawy, a ja – delikatnie mówiąc – nieskoordynowany ruchowo. Obaj za każdym razem chybiaлиśmy, przepuszczaliśmy nawet piłki rzucone z niewielkiego dystansu i w końcu czmychnęliśmy z boiska, żeby złożyć się na jednego z tych ogromnych pomarańczowych lizaków lodowych kupowanych

z ciężarówki. Nasi rodzice się wściekli, ale mieliśmy to gdzieś.

Mógłbym opowiedzieć, jak w wieku dwunastu lat czekaliśmy w kolejce, żeby obejrzeć nową odsłonę *Gwiezdnych wojen*, nie zdając sobie sprawy, jaka będzie kiepska. Jak przez wiele miesięcy nie potrafiliśmy zdecydować, w jakie kostiumy się ubrać, i jak w końcu zrezygnowaliśmy z tych oczywistych – ja: C-3PO, on: R2-D2 – na rzecz przebrań Boby Fetta i Dartha Vadera, bo uznaliśmy je za twardzielskie. Mógłbym opisać, jak Ryan i jego kumple obrzucili nas jajkami i musieliśmy siedzieć na pokazie przydługiego filmu, czując, jak biało zasycha nam na kostiumach i skórze, ale i tak dobrze się bawiliśmy.

Mógłbym oddać nasze podekscytowanie wizją rozpoczęcia nauki w liceum, kiedy to po raz pierwszy mieliśmy chodzić do tej samej szkoły. Byliśmy bowiem przekonani, że wszystko się ułoży, jeśli tylko będziemy trzymać się razem. Nie mieliśmy jeszcze wtedy pojęcia, jak bardzo się mylimy.

Po co jednak miałbym mówić te wszystkie rzeczy? Każdy z obecnych udawał troskę, ale i tak było już przecież za późno.

Wtedy zobaczyłem kolejkę. Ludzie wstawali i ustawiali się jeden za drugim obok ołtarza. Ciotki i kuzyni, nauczyciele oraz przyjaciele rodziny Haydena. Dzieciaki ze szkoły. Ryan, bez typowej dla siebie obstawy w osobach Jasona Yodera i Trevora Floyda. Określaliśmy ich mianem tria bydlaków.

Nie powinien mnie zszokować widok tylu osób, które uznały, że mają coś do powiedzenia na pogrzebie Haydena. Wszyscy oni chcieli się pokazać i za żadne skarby nie przepuściliby okazji do pławienia się w blasku jupiterów, bez względu na okoliczności. Ale żeby na pogrzebie? Serio? Naprawdę mieli zamiar wstać i opowiadać miłe rzeczy na temat Haydena? Opisywać, jak bardzo za nim tęsknią i jak wielką stratą jest jego śmierć dla szkoły i całej społeczności? Czyżby w ogóle do nich nie docierało, że znacznie przyczynili się do tego, że się tu dziś znaleźliśmy?

Nie mogłem do tego dopuścić. Cała złość, która we mnie wzbierała, pragnienie, aby znaleźć winowajcę i przyłożyć mu z całych sił, zaczęły się we mnie gotować. Podszedłem do Ryana i klepnąłem go w ramię, podczas gdy jedna z kuzynek Haydena ze łzami w oczach

opowiadała o zeszłym Świącie Dziękczynienia, kiedy to rodzina po raz ostatni miała okazję spotkać się w pełnym gronie. Ryan zmarszczył czoło na mój widok. Już miałem coś powiedzieć, gdy między nas wkroczył Jason Yoder. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest w pobliżu.

– Naprawdę uważasz, że to właściwy moment? – spytał.

Chciałem wyminąć go od prawej, ale zablokował mnie Trevor Floyd.

– Przepuście mnie – powiedziałem.

Nie bałem się ich. Na pewno nie teraz.

– Nie ma mowy – odrzekł Jason.

Tylko on jeden z ich trójki nie uprawiał sportu, a ja byłem od niego wyższy. Odepchnąłem go na bok, żeby dostać się do Ryana. Przecież Trevor nie przyłożyłby mi na pogrzebie.

– Co ty wyprawiasz? – spytałem. – Naprawdę zamierzasz tam stanąć i opowiadać, jakim byłeś wspaniałym bratem? Mimo że wszyscy znają prawdę? Też byłeś na tamtej imprezie. Mogłeś coś zrobić. Zamiast pogarszać sprawę.

Ryan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim wydobyły się z nich słowa, Jason popchnął mnie z taką siłą, że odbiłem się od ławy. Dostrzegłem, że patrzą na nas ludzie, gdy – nieskutecznie – usiłowałem się utrzymać na nogach.

– Naprawdę chcesz się czepiać Ryana na pogrzebie jego brata? – syknął Jason.

Nie doceniałem jego siły. Bardziej obawiałem się potężnego Trevora, który miał prawie dwa metry wzrostu i grubą szyję typową dla użytkowników sterydów – dzieciaki w szkole nazywały go Steryfloydem, ale tylko za plecami. Nie zależało mi na bójce z nim. Zwłaszcza tutaj.

Podniosłem się tak ostrożnie, jak tylko byłem w stanie. Nazajutrz w wyniku tej przepychanki moje ramiona miały pokryć się siniakami, ale przecież nie mogłem pozwolić, by trio bydlaków było świadkiem mojego upadku.

– Jesteś jebanym hipokrytą – powiedziałem do Ryana. – Pewnego dnia spotka cię to, na co zasługujesz.

Ryan nic nie odpowiedział, tylko przez chwilę się we mnie

wpatrywał. Potem przesunął się dalej. Już prawie była jego kolej.

Nie mogłem na to patrzeć. Nie mogłem czekać, aż Rachel załatwi nam transport. Musiałem wyjść. Natychmiast.



## *Mad World*

### **Tears for Fears**

Centrum handlowe znajdowało się jakieś trzy kilometry od kościoła, nieopodal granicy między wschodnią i zachodnią częścią miasta. Był środek października i chociaż temperatury jeszcze nie spadły, było dosyć wilgotno. Niebo okazało się jeszcze bardziej szare i nudne niż mój garnitur, co zgrało się również z moim nastrojem. Mimo wszystko jednak miło mi się szło, więc się nie spieszyłem. Włożyłem do uszu słuchawki i zacząłem słuchać playlisty Haydena. Trzymałem się głównie Burlington Street, czyli głównej ulicy. Mijałem kawiarnie i restauracje w centrum, a potem zapuszczone muzeum historii regionu, które wyznaczało nieoficjalny początek zachodniej części miasta.

Centrum Handlowe Libertyville położone było tuż za muzeum, stanowiło jednak mieszankę lokali z wyższej i niższej klasy cenowej, jak określiliby to agenci sprzedaży nieruchomości – zresztą to przemieszanie dotyczyło całego miasta. Najpopularniejszymi sklepami z pierwszej kategorii były Nordstrom i Dillard's, z drugiej zaś JCPenney i Sears. Na ekskluzywnym końcu centrum handlowego mieściły się drogie butiki i salony jubilerskie, a po drugiej stronie obuwniczy Payless ShoeSource oraz tanie sieci odzieżowe. Ludzie zamożni od zawsze walczyli o zamknięcie tandetnych sklepów, aby zamiast nich otworzyć delikatesy Whole Foods oraz Trader Joe's, ale nic z tego nie wychodziło. Typowe.

Jakąś godzinę zajęło mi dotarcie na miejsce i od razu wiedziałem, gdzie konkretnie chcę się udać. Międzygalaktyczna Kompania Handlowa miała swoją siedzibę tuż obok wejścia położonego w okolicach Searsa, a przyciemnione okno jej witryny emanowało fioletowym światłem. Kiedyś mieścił się tam sklep z upominkami, w którym można było kupić



dziwaczne przedmioty i lampy z bąbelkami, i wyglądało na to, że część wystroju została zachowana. Jednak MKH była o wiele fajniejsza niż salonik sprzedający poduszki-pierdziuszki i sztuczne wymiociny. Mówiąc krótko, był to istny raj dla fanów science fiction i fantasy oraz innych pasjonatów – sprzedawano tam figurki z *Gwiezdných wojen*, karty *Magic: The Gathering*, minifigurki *Mage Warfare*, plakaty *Star Trek*, komiksy i gry wideo. Czyli wszystko, co było mi potrzebne do szczęścia.

Szwendałem się między półkami, wspominając wszystkie rozmowy, które odbyliśmy z Haydenem podczas wielu spędzonych tu godzin. Stworzyliśmy ranking telewizyjnych odsłon *Star Treka* (upierałem się, że *Następne pokolenie* powinno się znaleźć na pierwszym miejscu, ale Hayden niewzruszenie obstawał przy tym, że najlepsza była stara wersja serialu). Gdy nie udało nam się dostać do Małej Ligi Bejsbolowej, próbowaliśmy założyć klub *Dungeons & Dragons*, ale nikt nie podzielał naszej fascynacji pięknem dwudziestobocznych kostek do gry. Co miesiąc też przychodziliśmy tu z samego rana w dzień premiery nowych numerów komiksu *Żywe trupy*, po czym czytaliśmy je od deski do deski w strefie gastronomicznej. Serial również uwielbiliśmy i w każdy niedzielny wieczór oglądaliśmy go wspólnie u mnie w domu. Była to jedyna okazja, kiedy Rachel zaszczycła nas swoją obecnością.

Nielatwo było teraz włóczyć się tu bez niego.

W samym środku dnia sklep wcale nie świecił pustkami. Zazwyczaj kręcili się tam uczniowie po lekcjach, fascynaci tacy jak Hayden i ja, a także młodsze dzieciaki. Gdy przychodziliśmy wieczorem, często natykaliśmy się tam na dorosłych facetów – zgadywałem, że kolekcjonerów – którzy za dnia pracowali. W każdym razie było to miejsce, do którego dupki ze szkoły nigdy nie zaglądały. Miejsce bezpieczne. Co prawda niemal nigdy nie pojawiały się tam dziewczyny, ale goście tacy jak Hayden i ja i tak niezbyt dobrze radzą sobie z kobietami.

Chociaż może zbyt wcześnie o tym zawyrokowałem, bo gdy tak sobie łąziłem, dostrzegłem kilka innych osób, w tym jakąś dziewczynę. Jej płeć nie pozostawiała wątpliwości. Była mojego wzrostu i miała ostre rysy twarzy: spiczasty podbródek, prosty, smukły nos. Usta pomalowała

na głębokie bordo, a w wardze tkwił kolczyk z turkusowym bolcem. Do tego burza platynowych włosów poznaczonych czarnymi pasemkami. To ta dziewczyna z pogrzebu. Ładna. No, może wyglądała nie tyle ładnie, co ciekawie, ale bez względu na to, jaki styl chciała osiągnąć, efekt przypadł mi do gustu.

Wyglądało na to, że idzie w moim kierunku.

Poczułem wzbierającą panikę, ale zwalczyłem pragnienie schowania się gdzieś.

Chwilę później stanęła przede mną, a jej wargi zaczęły się poruszać, choć ja nie byłem w stanie zrozumieć, co mówi. Co było ze mną nie tak?

Musiałem zrobić zdezorientowaną minę, bo się uśmiechnęła i pociągnęła za kabelek zwisający mi pod brodą.

No tak, miałem w uszach słuchawki. Nic dziwnego, że niczego nie słyszałem; przecież włączyłem na cały regulator muzykę ze składanki.

– Jesteś Sam, prawda? – powtórzyła.

Znała mnie? Ale skąd? Skinąłem głową.

– Tylko na tyle cię stać? – spytała. – Gdy ktoś zagaja w ten sposób, zazwyczaj wypada spytać tę osobę o imię.

– Przepraszam – odparłem.

Oczywiście, musiałem zrobić kiepskie pierwsze wrażenie na dziewczynie, która miała ochotę ze mną porozmawiać. Nadal jednak nie potrafiłem stwierdzić, czy mówi poważnie.

– Chyba jestem dziś nie w sosie – dodałem.

Coś takiego musiała przecież zrozumieć, prawda? Też była na pogrzebie.

– To oczywiste – odpowiedziała, po czym posłała mi ironiczny uśmiezek.

Czyżby jednak kpiła? Wciąż nie miałem pewności.

– Jestem Astrid – powiedziała.

– Fajne imię.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Sama je wybrałam.

Zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, podszedł do nas patykowaty hipster z pogrzebu, ubrany w niewiarygodnie obcisłe rurki,

i objął ją ramieniem. Dziewczyna obróciła się do niego i oparła głowę o jego ramię.

– A to jest Eric. Eric, to Sam. Przyjaciół Haydena – przedstawiła.

Czy to znaczyło, że znała się z Haydenem? To niemożliwe – przecież bym wiedział. Rozpoznała mnie jednak. Nie sądziłem, że ktokolwiek mnie rozpoznaje.

– Przykro mi z powodu twojego kumpla – powiedział Eric. – Z tego, co opowiadała mi Astrid, wynika, że był spoko gościem.

A więc znała Haydena. Nie mogłem sobie wyobrazić skąd. I dlaczego on nic mi na ten temat nie wspomniał?

– Zgadza się – przytaknąłem.

– Nie chciałem wam przeszkodzić. Poczekam na zewnątrz, nie spieszcie się.

Pstryknął Astrid w ramię, a następnie wyszedł ze sklepu. Gest wydawał się dziwny jak na kogoś, kto prawdopodobnie był jej chłopakiem, ale co ja tam wiedziałem o związkach damsko-męskich.

Nie mogłem się doczekać, aż się dowiem, skąd Astrid znała Haydena, ale nie wiedziałem, od czego zacząć.

Na szczęście nie musiałem nic robić.

– Słuchaj, przysięgam, że nie jestem żadnym świrem i nie mam zamiaru cię wystraszyć, ale przysłałam tu za tobą – oznajmiła Astrid. – Chciałam tylko powiedzieć, że strasznie mi przykro z powodu Haydena. Znałam go od niedawna, ale był naprawdę miłym chłopakiem i w dalszym ciągu nie mogę uwierzyć, że odszedł.

– Ja też nie – przyznałem. – Czyli... znaliście się?

– W pewnym sensie – odparła, bawiąc się jednym z czarnych pasemek we włosach. – Wiem, że się przyjaźniliście, i widziałam, jak wychodzisz, gdy wszyscy ci obłudnicy ustawili się w kolejce, żeby wygłosić swoje mowy. Uznałam więc, że powinieneś wiedzieć, że są osoby, które szczerze będą za nim tęsknić.

Rozumiałem, że powiedziała „przyjaźniliście się” tylko dlatego, że Hayden odszedł, a nie dlatego, że przestaliśmy być przyjaciółmi.

Niemniej nie potrafiłem przestać myśleć o nocy, kiedy umarł, oraz o tym, jak okropnie potoczyły się sprawy na końcu, zwłaszcza między nami. Nie chciałem patrzeć na Astrid – nie chciałem, aby dostrzegła

moją minę i pomyślała, że to z jej powodu – obróciłem się więc do szklanej gabloty zawierającej figurki z gier i inne bibeloty.

– Hayden nabijał się z ludzi, którzy kupują tego typu rzeczy – powiedziałem. – Nazywał je lalkami dla lamerów, jakby to miało ich od nas odróżnić.

– Tak jak w tym diagramie Venna pokazującym podobieństwa między lamerami, kujonami i kolekcjonerami?

– Też go widziałaś? – spytałem z niedowierzaniem.

Czyżby to był jakiś żart? Dziewczyna wchodzi za mną do mojego ulubionego sklepu i dokładnie wie, czym się jaram?

– W każdym razie jedna z tych małych figurek przypomina mi postać Haydena w *Mage Warfare*.

Poczekalem, aż spyta, co to takiego, ale się nie odezwała. Robiło się coraz dziwniej, ale w jakiś przyjemny sposób. Nigdy wcześniej nie spotkałem dziewczyny, która wiedziałaby, czym jest *Mage Warfare*. Choć właściwie rzadko spędzałem czas w towarzystwie dziewcząt.

– Która?

Wskazałem na jedną z figurek. Miała z dziesięć centymetrów wysokości i przedstawiała długowłosego mężczyznę w pelerynie i oklapłym kapeluszu, dzierżącego w dłoni różdżkę.

– Ten czarodziej? – spytała Astrid.

– Właściwie to czarnoksiężnik albo mag. Uczeń Zaratusztry, wynalazcy magii. – Zamilkłem, widząc po jej oczach, że zaczyna odpływać. Najwyraźniej byłem w stanie zanudzić nawet dziewczynę, która znała się na tego typu rzeczach. – To znaczy: tak, ten czarodziej.

– Istna z ciebie skarbnica przydatnych informacji – odparła Astrid z kpiącym uśmieszkiem. – Nie widzę jednak podobieństwa do Haydena.

Była to prawda. Hayden nie zdążył wejść w fazę intensywnego wzrostu, a nalegania jego matki, żeby jadł więcej białka i darował sobie desery, wywoływały w nim tylko opór. Pod względem fizycznym mag przypominał już raczej mnie, bo byłem wysoki i chudy, podobnie jak chłopak Astrid. Ale przecież życie w wyimaginowanym świecie z założenia polega na fantazjowaniu, zgadza się? Moja postać była golemem, potężnym i krzepkim, a ja ani taki nie byłem, ani nigdy nie będę, chyba że zostanę jednym z tych maniaków, którzy bez przerwy

przesiadują na siłowni i podnoszą ciężary. Pewnie nawet wtedy upuściłbym sobie na łeb coś ciężkiego.

– To gra RPG – wyjaśniłem. – Mógł w niej być tym, kim tylko chciał.

– Brzmi jak coś, co daje duże poczucie wolności – stwierdziła. – Myślę, że powinieneś ją kupić, skoro ci go przypomina. Na pamiątkę.

– Bo inaczej o nim zapomnę? – Starłem się nie zabrzmieć zbyt gorzko.

Albo nie dosłyszała skwaszonej nuty w moim głosie, albo się nią nie przejęła.

– Nigdy o nim nie zapomnisz. Ale nie będziesz w stanie wytrzymać do końca roku szkolnego ani końca liceum, jeśli będziesz o nim bez przerwy rozmyślał. Figurka pozwoli ci się skupić. Będiesz mógł o nim myśleć za każdym razem, gdy na nią spojrzysz, a przez resztę czasu możesz starać się żyć normalnie.

– Wygląda na to, że wiesz, o czym mówisz.

– Mam za sobą pewne przejścia – odparła.

Była równie tajemnicza, co Hayden. Zaczynałem rozumieć, dlaczego się zaprzyjaźnili.

– Zaufaj mi – dodała.

– Tak zrobię. Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Znowu wyciągnęła rękę i uniosła jedną ze słuchawek dyndających mi na szyi. Miałem nadzieję, że nie wyczuje, jak bardzo przyspieszyło mi tętno. – Czego słuchałeś, gdy ci niegrzecznie przerwałam?

– Wcale nie byłaś niegrzeczna – zaprzeczyłem, ale ona wsadziła już sobie jedną słuchawkę do ucha.

– No dalej, wciśnij play – powiedziała.

Włożyłem do ucha drugą słuchawkę, wcisnąłem przycisk i zacząłem słuchać razem z nią. Była to piosenka ze składanki, nostalgiczna i piękna. Słuchając jej wspólnie z Astrid, miałem wrażenie, że przenieśliśmy się ze sklepu do jakiegoś mrocznego, przerażającego lasu. Razem. Zamknąłem oczy i słuchałem.

– Gary Jules – powiedziała, a ja się ocknąłem i otworzyłem oczy w blasku fosforescencyjnego światła. Astrid patrzyła prosto na mnie;

miałem nadzieję, że nie uznała mnie za dziwaka, bo zamknąłem oczy. – Ze ścieżki dźwiękowej do *Donniego Darko*. To cover starej piosenki Tears for Fears.

Znałem oryginalną wersję, ale tę słyszałem po raz pierwszy. Nie przypominała muzy, której w normalnych warunkach słuchałby Hayden, i zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że Astrid momentalnie rozpoznała utwór.

– Widziałas ten film? – spytałem.

– Mnóstwo razy. Jest niesamowity. Musisz go koniecznie obejrzeć i dać znać, co myślisz.

– Załatwione – odparłem, wiedząc, że tak właśnie zrobię.

Chciałem zadać jej więcej pytań, na początek o to, skąd właściwie zna Haydena, ale kątem oka dostrzegłem wracającego do sklepu Erica. „Nie” – miałem ochotę powiedzieć. „Jeszcze nie teraz”.

– Wygląda na to, że muszę lecieć – powiedziała Astrid.

Nie miałem zamiaru prosić przy jej chłopaku, aby została. Szczerze żałowałem, że nie przyszła sama, ale mógłbym wtedy zrobić z siebie jeszcze większego durnia.

Astrid przygładziła kołnierz mojej marynarki gestem, który mógłby sprawiać matczyne wrażenie, gdyby wykonał go ktoś starszy, ale w jej przypadku było jakoś inaczej. Zupełnie jakbyśmy znali się na tyle dobrze, że czuła, iż ma do tego prawo. Spodobało mi się to.

– Nie przejmuj się tymi ludźmi z pogrzebu – powiedziała. – Ci, którzy na to zasługują, pewnego dnia dostaną za swoje. To kwestia karmy.

Nie ująłbym tego lepiej.

– Dzięki.

– Znajdź mnie w szkole – powiedziała. – Jak już obejrzysz film.

Nawet gdy się odwróciła i odeszła, czułem mrowienie w ramieniu, w miejscu, gdzie musnęły mnie jej palce, a to z kolei tylko podkreśliło ból wywołany popchnięciem przez Jasona. Boże, jak ja nie znosiłem tych gości.

Po odejściu Astrid poszedłem do kasy spytać, czy mogę obejrzeć figurkę. Facet za ladą siedział tam jak zawsze, gdy przychodziliśmy. Często się zastanawialiśmy z Haydenem, czy sklep zatrudnia kogoś

jeszcze. Co by było, gdyby sprzedawca zachorował? Albo chciał wziąć wolne? Z wyglądu przypominał kolekcjonera: był w średnim wieku, wydawał się lekko zdziwaczały. Może była to dla niego wymarzona praca i nie pragnął znaleźć się w żadnym innym miejscu. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jakiego rodzaju zawód mógłby odgrywać dla mnie równie ważną rolę.

– Gdzie zgubiłeś kolegę? – spytał mężczyzna. – Chyba jeszcze nigdy nie widziałem cię tu samego.

Z jakiegoś powodu nie przyszło mi do głowy, że mogą istnieć ludzie nieświadomi tego, co się stało. I że będę musiał im to wyjaśnić. Poczulem, jak twarz zaczyna mi płonąć, a mnie ogarnia panika na myśl, że mam opowiedzieć sprzedawcy o Haydenie. Nie mogłem się na to zdobyć.

– Nie ma go tu – powiedziałem. – Mogę obejrzeć tę figurkę?

– Pewnie.

Mężczyzna otworzył gablotę i podał mi figurkę. Okazała się ciężkawa, chłodna w dotyku; wytopiono ją ze stopu cyny z ołowiem, a potem pomalowano. Wykonanie nie było zbyt kunsztowne – farbę nałożono niestarannie i już zaczynała się łuszczyć.

Obróciłem ją do góry nogami, żeby sprawdzić cenę.

– Trzydzieści pięć dolców za coś takiego? – spytałem z niedowierzaniem.

– Ma wartość kolekcjonerską – wyjaśnił sprzedawca.

– Na pewno – mruknąłem.

– Chcesz ją czy nie?

– Tak – odparłem. – Chcę.





*Invisible***Skylar Grey**

Po powrocie do domu poszedłem prosto do swojego pokoju i rozpakowałem figurkę czarnoksiężnika. Co za głupi pomysł: kupić rzecz, na której widok będę automatycznie myślał o Haydenie. I tak nie mogłem przestać o nim myśleć od chwili, gdy go znalazłem. Nie potrafiłem wymazać z pamięci obrazu jego ciała pod głupawą kołdrą z nadrukiem z *Gwiezdnych wojen*. Sanitariusze natychmiast kazali mi wyjść z pokoju, gdy tylko się w nim pojawili; musiałem słuchać z korytarza, jak próbują go reanimować, ale i tak docierało do mnie każde ich słowo. Było za późno. Zanim go znalazłem, nie żył już od kilku godzin.

Przyszło mi do głowy, żeby wyrzucić figurkę do kosza. Co z tego, że zmarnowałem na nią trzydzieści pięć dolarów? Potem jednak pomyślałem, że mógłbym wyrzucić ją za okno. Albo nawet przez okno. Dźwięk tłuczonego szkła mógłby przynieść jakąś satysfakcję. Ale figurka była tak drobna, że – przy moich niezdarnych ruchach – odbiłaby się pewnie od okna, nawet nie zarysowując szyby, i jeszcze uderzyłaby mnie w twarz.

Zamiast więc realizować te rozpaczliwe plany, przesunąłem stos książek z półki wiszącej nad moim starym komputerem gruchotem i tam postawiłem figurkę. Będę ją widział, grając w *Mage Warfare*, co bardzo mi pasowało. Może nawet przez pewien czas mógłbym udawać, że Hayden gra ze mną, tyle że nie moglibyśmy przerwać rozgrywki, żeby poczatować, jak to zazwyczaj bywało. Mimo wszystko granie było jedyną przychodzącą mi do głowy czynnością, przy której mógłbym myśleć o Haydenie w pozytywny sposób. Prawdopodobnie byłoby lepiej,

gdybym się zdrzemnął, rekompensując sobie niedobór snu z ostatnich kilku dni, ale spacer trochę mnie pobudził i pomyślałem, że może poleżę w łóżku, przechodząc od nowa przez fazy cyklu złości/poczucia winy/tęsknoty, których obiektem był Hayden.

W końcu jednak uznałem, że gra dobrze mi robi. Włączyłem składankę Haydena, zalogowałem się do *Mage Warfare* i kliknąłem na golema, mojego awatara. Mama opowiedziała mi kiedyś o niemych potworach ulepionych z gliny, które istniały, by chronić starożytne żydowskie społeczności, a potem przeczytałem niesamowitą książkę o golemach, jakieś komiksy i inne wariactwa. Golemy z opowieści nie były obdarzone własną mocą i musiały robić to, co kazali im stwórcy. Trochę było mi ich żal. Przeszło mi nawet przez myśl, że fajnie byłoby stworzyć golema obdarzonego własnym rozumem – no dobrze, moim rozumem – który byłby w stanie bezkarnie eliminować, kogo by tylko chciał. W rzeczywistości nie interesowała mnie przemoc. W grze było to zabawne tylko dlatego, że nieprawdziwe. Była to jakaś metoda na uzyskanie poczucia siły, skoro w szkole czułem się bezsilny. Mój golem miał na imię Brutus i miał w zwyczaju regularnie komuś wpieprzać.

Przebywanie w świecie gry przypominało przeniesienie się do innej rzeczywistości. Prawie byłem w stanie udawać, że nic się nie zmieniło, że Hayden nadal żyje, bo i tak graliśmy w *Mage Warfare* po przeciwnych stronach. Hayden zawsze musiał być postacią pozytywną, walczył w imię wspólnoty, prawdy i sprawiedliwości, ja tymczasem wolałem grać czarnymi charakterami. Bardzo różniło się to od rzeczywistości, w której nieustannie martwiłem się, czy robię to, co należy. Choć właściwie jakie korzyści płynęły z bycia dobrym facetem? Ja jakoś nigdy na tym nie skorzystałem. Z tego, co obserwowałem, najgorsze dupki ze szkoły były wprost uwielbiane przez nauczycieli i inne dzieciaki – Ryan, Trevor i Jason cieszyli się popularnością wśród dziewczyn, jeździli niezłymi samochodami i mieli forsy jak lodu. Ryan w trzeciej klasie został kapitanem drużyny lacrosse, wszystko wskazywało na to, że Trevor prawdopodobnie daruje sobie college i trafi prosto do Narodowej Ligi Hokeja, a Jason był najprzystojniejszym chłopakiem w szkole oraz skarbnikiem samorządu uczniowskiego. Ci trzej mogli robić, co im się żywnie podobało, i nikomu nie przeszkadzało

to, że wcale nie byli dobrymi ludźmi i mieli mroczne sekrety. Po każdym logowaniu więc wyszukiwałem misje, w ramach których musiałem zetrzeć się z kolesiami przypominającymi mi właśnie tę trójkę, z graczami, którzy pragnęli być w centrum uwagi i we wszystkim musieli być najlepsi. A potem ich niszczyłem.

Dziś zdecydowałem się na starcie z drużyną wojowników Przymierza. Było ich trzech na mnie jednego, czyli tak, jak wtedy, gdy Ryan i jego kumple dręczyli Haydena, a ja czułem się wystarczająco zmotywowany, aby spuścić im manto. Szło mi tak dobrze, że niemal nie zauważyłem, że zrobiło się ciemno, a potem usłyszałem piknięcie okienka czatu Google. Z początku wszystko wyglądało naturalnie – grałem już od jakiegoś czasu i Hayden zawsze się wtedy odzywał.

Tyle że Hayden nie żył, więc to nie mógł być on.

Zatrzymałem grę i odwróciłem wzrok od ekranu komputera. Na dworze było nie tyle ciemno, co czarno choć oko wykol. Grałem dłużej, niż myślałem. Przetarłem powieki i ponownie spojrzałem na ekran.

Ktoś o nicku Arcymag\_Ged wysłał mi wiadomość.

To nie miało sensu. Arcymag\_Ged był nickiem Haydena w *Mage Warfare* – imieniem uwielbianej przez niego postaci z cyklu książek *Ziemiomorze*, które pożyczałem mu w dzieciństwie i które wówczas ledwo był w stanie czytać. Ale na czacie Google zawsze korzystał ze swojego prawdziwego imienia.

Zerknąłem na półkę, na której ustawiłem figurkę czarnoksiężnika, a potem ponownie spojrzałem na ekran. Kto mógłby się zalogować na jego konto przy użyciu tego właśnie nicka? Blask bijący od monitora zaczął robić upiorne wrażenie, aż włoski na ramionach stanęły mi dęba.

Wiadomość brzmiała: *Jak tam, tego?*

Zadrzałem i w panice zdałem sobie sprawę, że jestem w domu sam. Rachel jeszcze nie wróciła, a mama nadal była w pracy.

Kursor do mnie mrugał. *Jak tam, tego?*

Właśnie tak zaczynaliśmy z Haydenem każdą rozmowę na czacie Google. Podłapaliśmy tę odzywkę po tym, jak w kilka kolejnych weekendów obejrzelśmy wszystkie pięć sezonów serialu *Prawo ulicy*. Nikt inny więc nie wiedziałby, że tak należy zagaić.

Raz jeszcze spojrzałem na ekran. Wiadomość nadal tam widniała.

Moim zadaniem było zazwyczaj wymyślenie jakiejś ciętej riposty, ale tym razem tylko gapiałem się na migający kursor. Przecież nie ma mowy, żeby pisał do mnie Hayden.

Arcymag\_Ged: Jesteś tam?

Oczywiście, że tak. Gdzie indziej miałbym być? Na spotkaniu z resztą moich przyjaciół? Nie, chwileczkę, nie zostali mi już żadni przyjaciele.

Sam\_Goldsmith: Kto tam?

Arcymag\_Ged: A jak myślisz?

Na tym właśnie polegał problem – nikt nie przychodził mi do głowy. Nikt ze szkoły nie znał nas wystarczająco dobrze, aby móc się podszyć pod Haydena. Ktoś z *Mage Warfare*? Bez przerwy czatowaliśmy ze sobą w grze, więc ktoś mógł zobaczyć, z jakich nicków korzystamy. Jednak wiadomość nie została wysłana za pośrednictwem gry, tylko przyszła na mojego prywatnego maila. Nikt w grze, oprócz Haydena, nie znał mojego adresu.

Ale ktoś ze szkoły mógł go zdobyć. Czyżby jeden z tria bydlaków? Może Ryan chciał się w ten sposób zemścić za to, że go wyzwiałem? Bez względu na to, jak bardzo nie znośłem Ryana, nie mogłem sobie wyobrazić, że jest wystarczająco nikczemny, żeby zostawić rodzinę w dzień pogrzebu swojego brata i próbować mieszać mi w głowie. Trevor zaś był na coś takiego za tępy, a z tego, co opowiadał mi Hayden, Jason miał swoje własne problemy. Istniała możliwość, że to któryś z nich, ale prawdopodobieństwo nie było wysokie. Nie miałem jednak pojęcia, kto to.

Sam\_Goldsmith: Wiem, kim nie jesteś.

Arcymag\_Ged: Na pewno?

Pewnie, że na pewno.

Sam\_Goldsmith: Słuchaj no, nie wiem, kim jesteś ani po co to robisz, ale lepiej przestań. Sytuacja jest wystarczająco dołująca.

Arcymag\_Ged: Wcale się nie wygłupiam. Chcę pomóc.

Sam\_Goldsmith: Co niby masz na myśli?

Arcymag\_Ged: To, co mówię.

Sam\_Goldsmith: Nie wiem, jak możesz mi pomóc, skoro nie chcesz nawet powiedzieć, kim jesteś. Dziwne to. Wylogowuję się.

Arcymag\_Ged: Nie, poczekaj.

Właśnie wtedy, z jakiegoś powodu poczułem, że naprawdę rozmawiam z Haydenem. To znaczy wiedziałem, że to niemożliwe, lecz mimo wszystko ten ktoś brzmiał tak jak on: przez chwilę się ze mną drażnił, a potem szybko nabierał powagi, gdy czuł, że się wkurzam. Serce zaczęło mi się tłuc w piersi.

Sam\_Goldsmith: Gotowy na chwilę szczerości? Kim jesteś?

Arcymag\_Ged: Jestem Arcymagiem Gedom.

Ciekawe. Nie powiedział, że jest Haydenem.

Sam\_Goldsmith: Udowodnij.

Kursor zamrugał. Powietrze w pokoju jakby się ochłodziło, a na mojej skórze ponownie wykwitła gęsia skórka. Spojrzałem na zegarek widoczny na ekranie komputera. Jakimś cudem była już druga w nocy. Siedziałem tu od wielu godzin i nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Cholera, pewnie doświadczałem halucynacji. Od paru dobrych dni nie spałem i wyglądało na to, że tej nocy tego nie odrobuję.

Nagle z głośników podpiętych do komputera popłynęła muzyka. Piosenka Skylar Grey ze składanki Haydena. Nigdy wcześniej jej nie słyszałem. Ale przecież odtwarzanie playlisty dobiegło końca już parę godzin temu. W pokoju panowała cisza, od kiedy wyłączyłem grę. Piosenka niemalże sprawiała wrażenie ataku na tę ciszę.

Arcymag\_Ged: Słyszysz?

Sam\_Goldsmith: To mi niczego nie mówi. Nie wiem nawet, co to za piosenka.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tej laski i nie miałem pojęcia, po co Hayden miałby jej słuchać.

Arcymag\_Ged: O to właśnie chodzi. Jeszcze wielu rzeczy nie wiesz. Ale chcę to zmienić.

Sam\_Goldsmith: No to mów!

Kursor przez dłuższą chwilę tylko mrugał.

Sam\_Goldsmith: Czy te piosenki mają coś znaczyć? To oczywiste, że puszczasz mi jakiś durnowaty dziewczynski kawałek o byciu niewidoczną, bo nie mogę cię zobaczyć.

Arcymag\_Ged: Wiele osób pragnie zniknąć. Może im się nawet wydawać, że tak już się stało. Ale ktoś zawsze je obserwuje.

Teraz nawet włoski na karku stanęły mi na baczność. Musiałem wyglądać jak oskubany kurczak. Wystraszony, prawdopodobnie cierpiący na halucynacje kurczak. Kimkolwiek był Arcymag\_Ged, strasznie przypominał mi Haydena. Zwłaszcza że nie miałem pojęcia, o co mu właściwie chodzi.

Arcymag\_Ged: Domyślisz się.

Zupełnie jakby czytał w moich myślach.



*One***Metallica**

Arcymag\_Ged wystraszył mnie do tego stopnia, że przez resztę weekendu prawie nie zmrużyłem oka i bałem się włączyć komputer, bo nie byłem pewny, czy na ekranie znowu nie wyskoczy okienko czatu Google. Za dnia uznałem za oczywiste, że to nie mógł być Hayden. Poza tym czułem, że powinienem raczej skupić się na rzeczach realnych, takich jak to, że muszę chodzić do szkoły.

Pierwszego dnia, kiedy wróciłem do szkoły po pogrzebie, nałożyłem ulubione džinsy, rozpinaną bluzę z kapturem oraz koszulkę Metalliki – ich piosenka leciała z playlisty, gdy się ubierałem. Był to jeden z zespołów, o który się spieraliśmy, bo Hayden żarliwie podzielał stanowisko tej grupy w kwestii walki z piractwem.

– A gdybyś całe życie nad czymś pracował, a ludzie uznaliby, że należy im się to za darmo? – spytał kiedyś.

Nie musiał dodawać, że według niego powinienem to dobrze rozumieć – jako osoba niezamożna – bo wiedziałem, że to właśnie ma na myśli. Zawsze starał się zachowywać z wyczuciem, gdy chodziło o fakt, że jego rodzina jest dziana, a moja nie, ale czasem ciężko było omijać ten temat.

– Gdybym był już miliarderem, to pewnie za bardzo bym się nie przejął – odparłem. – Zresztą i tak większej części tej kasy artyści nie dostają. Chodzi tylko i wyłącznie o bogacenie się wytwórni płytowych. Dystrybucja muzyki w formie elektronicznej nic nie kosztuje, więc albumy powinny być tanie jak barszcz.

Jednak jak zwykle czułem, że to Hayden ma rację. Jezu, ależ brakowało mi tych naszych sprzeczek.



Zszedłem na dół, żeby się napić kawy przed wyjściem do szkoły. Mama siedziała przy kuchennym stole w kitlu, obejmując obiema dłońmi olbrzymi kubek, z którego unosił się zapach herbaty. Oznaczało to, że właśnie wróciła do domu i zaraz pójdzie się położyć. Praca na różne zmiany musiała być strasznie dziwna. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, kiedy szedłem w kierunku dzbanka z kawą – zawsze parzyła ją dla mnie i Rachel, chociaż sama jej nie piła. Mama potrafiła być spoko.

– W tym idziesz? – spytała.

– Coś nie tak?

Otworzyła usta, nic nie powiedziała, zamknęła je, a następnie otworzyła ponownie.

– Nie – powiedziała w końcu. – Zobaczymy się przy kolacji i opowiesz mi o swoim pierwszym dniu po powrocie, okej? Tylko się nie spóźnij. Podobno Rachel ma przyprowadzić kolegę.

– Jakiego kolegę?

– No, absztyfikanta – wyjaśniła mama, unosząc brew.

– O, to będzie niezłe.

Rachel miała potworny gust, jeśli chodzi o chłopców, a było ich już wielu. Większość z nich docierała jednak co najwyżej na podjazd, więc ten konkretny naprawdę musiał skraść jej serce.

– Zgadza się – przytaknęła mama. – Zbieraj się już. Przecież nie chcesz się spóźnić.

Z tym akurat mogłem się spierać, ale wyszedłem z domu w samą porę, żeby złapać autobus. Usiadłem samotnie na jednym z przednich foteli i słuchałem iPod'a. Była to dla mnie normalka – zawsze siedziałem sam. Nie do końca chodziło o to, że tak chciałem, tylko o to, iż z jakiegoś powodu przerażała mnie perspektywa zajęcia miejsca obok przypadkowej osoby. Miałbym z nią gadać? Co dokładnie powiedzieć? Odkąd sięgałem pamięcią, nieznanymi mi peszyli – nie tak bardzo jak Haydena, ale i tak dosyć mocno. Gdy już kogoś poznałem, radziłem sobie całkiem niezłe, tyle że od przyjazdu do Libertyville nie zaprzyjaźniłem się z nikim oprócz Haydena. I tak uważałem się za szczęściarza, bo udało mi się znaleźć superkumpla, dzięki któremu przestałem się czuć samotny – i przez wiele lat mi to wystarczało. Aż do teraz.

Wcześniej wyobrażałem sobie, że wszystko się zmieni, gdy pójdziemy z Haydenem do liceum. Miałem wrażenie, że obu nam udało się przezwyciężyć nieśmiałość, dzięki czemu będziemy mieli szansę na rozszerzenie granic naszego hermetycznego światka. Byłem przekonany, że w liceum zastaniemy liczną grupę chłopaków takich jak my – fanów gier i muzyki, może trochę niezdarnych towarzysko, ale przynajmniej nie lamerów – z którymi się zakolegujemy. Może nawet znajdą się jakieś dziewczyny. Takie jak Astrid.

Częściowo okazało się to prawdą. Liceum w Libertyville było olbrzymie – chodziła do niego nie tylko młodzież z miasta, lecz również z okolicznych wiosek. Do tego było tam mnóstwo dzieciaków, których nigdy wcześniej nie spotkaliśmy, a niektóre z nich wyglądały tak jak my i prowadziły kluby poświęcone rzeczom, które nas kręciły, czyli grom, komiksom i tak dalej. Zakładałem, że w tej kwestii z Haydenem się rozumiemy, ale gdy zaczęła się szkoła, wyszło na jaw, że byłem w błędzie. Nie potrafiłem go namówić, aby gdziekolwiek ze mną poszedł, a sam za bardzo się stresowałem, żeby iść w pojedynkę.

Dość szybko zrozumiałem, skąd u Haydena ta skłonność do trzymania się na uboczu. Ryan i jego kumple byli w wieku mojej siostry, więc gdy zaczęliśmy chodzić do liceum, oni byli już w trzeciej klasie. Rachel uparcie udawała, że jest jedynaczką, ignorując mnie, gdy wpadaliśmy na siebie na szkolnych korytarzach. Ale nie Ryan. Przez kilka pierwszych dni obyło się bez incydentów, więc cieszyliśmy się, że chociaż nie chodzimy razem na żadne zajęcia – ja miałem rozszerzony program nauczania, a Hayden, z powodu dysleksji, utknął na niższym poziomie – to w większość dni przerwa na lunch przypadała nam i tak w tym samym momencie. Niestety w piątki dołączali do nas Ryan i spółka.

– Ej, obczaj, to ta gruba świnia, braciszek Ryana – dobiegł nas głos Trevora, gdy siadaliśmy do jedzenia.

– Jak ci się podoba w nowej szkole, Hayden? – spytał Jason, z trzaskiem upuszczając tacę obok Haydena.

Było to ich drugie w kolejności ulubione przezwisko dla niego. Pierwszy na liście był stary, ale jary epitet, który Ryan wymyślił, gdy jeszcze byli mali: Hej, Denny.

– Dajcie mi spokój – powiedział Hayden, rozglądając się za Ryanem.

To smutne, że sądził, iż Ryan chciałby mu pomóc. Zdał sobie sprawę z błędu, gdy dostrzegł Ryana, który zanosił się śmiechem, stojąc za Jasonem.

– To nie jest śmieszne, Ryan – oznajmił bratu Hayden.

– No nie wiem – odparł Ryan. – Trochę śmieszne.

– Ej, może chłopak ma rację – stwierdził Trevor. – Może powinniśmy się trochę bardziej postarać.

Otworzył kartonik z mlekiem czekoladowym i wylał je Haydenowi na głowę. Cała trójka zaczęła głośno rechotać.

– O, to na pewno jest śmieszne – powiedział Ryan.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Haydena, gdy mleko spływało na jego ulubioną koszulkę Metalliki – taką jak ta, którą miałem właśnie na sobie. Widziałem, że dotarło do niego, iż już nigdy nic się nie zmieni – będzie wręcz gorzej, niż się spodziewał. Że Ryan w niczym mu nie pomoże. Śmiech przybrał na głośności, bo pozostałe dzieciaki zauważyły, co się stało, a ja zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie Hayden ma rację.

Myślałem o tamtej chwili, gdy po raz pierwszy od śmierci Haydena wchodziłem do stołówki. Większą część dzisiejszego poranka przysypiałem na zajęciach, bo chronił mnie niewidzialny klosz – czułem, że nauczyciele nie chcą mnie tykać przez wzgląd na Haydena. Inne dzieciaki też zachowywały się jakby przyjaźniej – osoby, z którymi nigdy wcześniej nie zamieniłem ani słowa, mówiły mi „cześć” na korytarzu, a niektóre nawet chwaliły moją koszulkę. Kompletnym zaskoczeniem było zainteresowanie okazywane nagle przez ludzi, którzy wcześniej mnie ignorowali. Prawie jakbym zyskał w ich oczach status gwiazdy. Najlepszy przyjaciel zmarłego koleś = celebryta. Jakby to było jakieś osiągnięcie.

Wcześniej wszyscy mnie olewali. Nie pasowałem do żadnej grupy – nie byłem kujonem tak jak mózgowcy z mojej klasy, którzy patrzyli na Haydena z góry, uważając go za przygłupa; miałem zbyt niezdarne ruchy, aby się wybić w sporcie, ale byłem na tyle duży, że ciężko mnie było przewrócić; brakowało mi talentów artystycznych czy twórczych;

do tego jeszcze się okazało, że dzieciaki wkręczone w gry RPG nie były wcale zainteresowane muzyką w takim stopniu, co Hayden i ja. Z kolei osoby jarające się muzyką, którą lubiliśmy, gardziły każdym, kto fascynował się RPG. Nie umieliśmy znaleźć sobie miejsca.

Każda osoba, która coś w szkole znaczyła, należała do jakiejś kasty, nawet jeśli granice między nimi były płynne – mózgowcy-sportowcy cieszyli się dużą popularnością, dzieciaki mające dostęp do najlepszych narkotyków mogły spędzać czas, z kim chciały i tak dalej. Z tego, co się zorientowałem, to imprezy miały sprzyjać integracji, ale nie chadzaliśmy na nie. A gdy w końcu się tam wybraliśmy, nic dobrego z tego nie wyniknęło. Po incydencie w stołówce uznałem, że najlepiej będzie się trzymać Haydena, i najwyraźniej cała szkoła się ze mną zgadzała. W niektóre dni wręcz się zastanawiałem, czy gdyby nie on, miałbym okazję z kimkolwiek zamienić choć słowo.

A teraz znalazłem się w centrum uwagi. Włożyłem do uszu słuchawki, żebym nie musiał słuchać ludzi rozmawiających na mój temat, po czym ruszyłem przez stołówkę z tacą, od czasu do czasu kiwając głową osobom machającym do mnie, jakby mnie znały. Poszedłem w kierunku stołu znajdującego się na końcu pomieszczenia, przy którym siadywaliśmy z Haydenem, wypatrując po drodze Astrid. Wydawało mi się, że już kiedyś podczas lunchu mignęły mi jej jasne włosy, ale to mogło być tylko pobożne życzenie, bo gdy dotarłem do stołu, nigdzie jej nie dostrzegłem. Usiadłem i obficie polałem hot doga keczupem, musztardą i przyprawami, aby ukryć jego nienaturalną różowość. To z kolei sprawiło, że gdy tylko wbiłem zęby w bułkę, sosy rozbryznęły się na wszystkie strony. Czuję, jak ściekają mi z twarzy na koszulkę Metalliki. Przynajmniej siedziałem sam. Jedną z zalet nieposiadania przyjaciół było to, że nikt nie widział, gdy człowiek umazał się sosem.

Tyle że wcale nie byłem sam.

– Masz pojęcie, czym faszerują to świństwo? – spytała Astrid, zerkając mi przez ramię.

Skończyłem przeżuwać i chwyciłem serwetkę, żeby się wytrzeć. Astrid klapnęła na krzesło naprzeciwko mnie. „Nie ma to jak zrobić

dobre wrażenie, Sam” – pomyślałem, ale jakie to miało znaczenie?  
Przecież i tak chodziła z tym hipsterem.

– Staram się o tym nie myśleć – odparłem.

– Tak pewnie jest lepiej. Pierwszy dzień po powrocie do szkoły?  
Skinąłem głową, próbując wymyślić coś dowcipnego, ale nic nie przyszło mi do głowy.

– Mamy przerwę na lunch w tym samym czasie? – spytałem w końcu.

– Na to wygląda, Kapitanie Bystrzaku. – Uśmiechnęła się szeroko, ale i tak poczułem się jak debil. – Chcesz usiąść ze mną i moimi znajomymi?

Wskazała na stół znajdujący się kilka rzędów dalej. Siedziała przy nim grupka należących do kasty artystycznej dzieciaków, które znałem z widzenia. Spędzali dużo czasu w studiu na piętrze oraz w kawiarni w South Branch, sąsiednim miasteczku, słuchając slamów poetyckich czy tego typu rzeczy. Nie moje klimaty. Nie wiedziałem nawet do końca, czym były slamy poetyckie.

– Nie, nie trzeba – powiedziałem, starając się znowu nie upaprać sosem.

– Czemu nie? – spytała, mrużąc oczy.

Czyżby nie rozumiała, że się przed chwilą ośmieszyłem?  
Próbowałem wymyślić coś normalnego, co mógłbym powiedzieć.

– Yyy, no wiesz, nowi ludzie. Nie wiem, czy jestem gotowy. To znaczy... – zaczynała mnie ogarniać panika – ...nie chodzi o ciebie, nic z tych rzeczy. Tylko...

Zdałem sobie sprawę, że kiepsko mi idzie zachowywanie się jak normalna osoba.

– Czaję – odparła, bawiąc się czerwonym pasemkiem we włosach, którego istnienia nie pamiętałem z poprzedniego spotkania.

Zastanawiałem się, skąd mogła znać jego dokładne położenie, gdy nagle dotarło do mnie, że pasemko jest sztuczne. Super, była w stanie zmienić kolor włosów, kiedy tylko chciała. Na wargach miała czerwoną szminekę w tym samym odcieniu, a dzięki temu zielony kolor jej oczu sprawiał prawie nienaturalne wrażenie.

– Powinieneś dać im szansę. Zaadoptowali mnie, gdy

potrzebowałam nowych znajomych.

Nie musiała dodawać: „tak jak ty” – wymowa była oczywista. Zaciekawilo mnie, dlaczego potrzebni jej byli nowi znajomi, ale nie wiedziałem, jak o to spytać. Raz jeszcze spojrzełam na tamten stół i dostrzegłem przy nim Erica. Wspaniale.

– Nie osądzaj ich tylko dlatego, że lubią inne rzeczy niż ty. Powiem ci to samo, co powiedziałam Haydenowi: załóżę się, że z niektórymi z nich łączy cię więcej, niż myślisz.

Momentalnie poczułem ukłucie zazdrości, co było niedorzeczne. Zazdrościłem Haydenowi, i to wstecznie, że znalazł sobie lepszych, fajniejszych przyjaciół, a mnie porzucił.

Tylko że on mnie po prostu nie porzucił. Zrobił coś znacznie gorszego.

– Skąd go znałaś? – spytałem w najbardziej bezpośredni sposób, jaki przyszedł mi do głowy.

– Haydena? – Zawahała się. – A, no wiesz. Z widzenia. Ze szkoły.

Ale Hayden niezbyt rzucił się w oczy. A poza tym byłem pewny, że powiedziałby mi, gdyby chodził na zajęcia z kimś takim jak ona. Czy Astrid była w ogóle z tego samego rocznika, co my? Z jakiegoś powodu nie chciała mi zdradzić, skąd go znała, a ja nie miałem pojęcia dlaczego.

– No chodź, usiądź z nami – powiedziała, nawijając sztuczne pasemko włosów na palce. – Może i tobie się przydadzą nowi znajomi.

Musiała zauważyć moją minę, bo dodała:

– Wcale nie chodzi mi o to, żeby ktoś zastąpił ci Haydena.

– Wiem – odparłem.

Nie chciałem, żeby myślała, że nie jestem zainteresowany, ale nie byłem w stanie stawić czoła całej bandzie nowych osób. Nie czułem się jeszcze gotowy. Samo natknięcie się na nią wystarczająco zbiło mnie z tropu.

– Nie dziś, okej? Może innym razem?

– Trzymam cię za słowo – powiedziała Astrid, ale uświadomiłem sobie, że mówi serio, dopiero gdy przekazała mi informację: – W piątek wieczorem jest impreza. Pokaż mi swój telefon.

– Ktoś już ci kiedyś mówił, że jesteś dosyć apodyktyczna? – spytałem, ale podałem jej komórkę.

Nasze dłonie zetknęły się na chwilę i mógłbym przysiąc, że poczułem przeskakującą między nimi iskrę. Pewnie mieliśmy po prostu naelektryzowane ręce.

Znowu się uśmiechnęła, błyskając kolczykiem w wardze.

– Słyszę to bez przerwy. Do zobaczenia w piątek.

Wcale nie chciałem, żeby sobie poszła.

– Obejrzałem ten film, o którym mówiłaś. *Donnie Darko*.

– No i jak? Spodobał ci się? – spytała.

Nachyliła się i spojrzała mi prosto w oczy. Sprawiała wrażenie, jakby naprawdę zależało jej na mojej opinii.

Musiałem wydusić z siebie coś ciekawego. Nie bardzo wiedziałem co, ale coś musiałem powiedzieć. No ale podróże w czasie, gigantyczne króliki? Ciężko było się w tym połapać. Wiedziałem, że główny bohater na koniec umiera, ale nie jest z tego powodu zadowolony, i zastanawiałem się, czy to właśnie dlatego poleciała mi ten film.

– Był dziwny – oznajmiłem. – Chyba mi się podobał, ale nie do końca potrafię stwierdzić dlaczego.

Astrid się roześmiała. Miała piękny śmiech – nie jakiś niewydarzony chichot, tylko pełnoprawny śmiech. Mógłbym się założyć, że Eric zawsze był w stanie ocenić, czy udało mu się szczerze ją rozbawić, czy nie, i znowu zrobiłem się zazdrosny.

– Film jest nieźle porąbany. Ale uznałam, że skoro lubisz science fiction... Poza tym sposób, w jaki się pogodził z tym, co musi zrobić, świadczy o odwadze. Skojarzyło mi się to z Haydenem.

Hayden i odwaga?

– Serio? – spytałem.

Nie chciałem zabrzmieć zbyt sceptycznie, ale nie byłem pewny, czy rozmawiamy o tej samej osobie. Zwłaszcza w świetle tego, co Hayden zrobił na końcu.

Wzruszyła ramionami.

– Tak właśnie go postrzegałam. Wiele osób mu dogryzało, ale zawsze sprawiał takie, no nie wiem, wrażenie stoickiego spokoju. Sądziłam, że nie pozwala się nikomu zdołować. Najwyraźniej się myliłam.

Tak naprawdę wcale się nie myliła. Też to zaobserwowałem. Tyle

że nigdy nie postrzegałem tego jako odwagi. Uznałem, że Hayden otoczył się niewidzialnym murem, aby nie stawiać czoła problemom. Nie wziąłem pod uwagę tego, że wytrzymałość każdej osoby ma swoje granice.

– Kupiłeś tamtą figurkę? – spytała Astrid.

Zadawała bardzo dużo pytań – nikt nigdy równie mocno nie interesował się moim życiem. A już na pewno nie dziewczyna.

– Tak – potwierdziłem.

Kusiło mnie, żeby opowiedzieć jej o wydarzeniach zeszłej nocy, ale nie chciałem, aby uznała mnie za czubka. Zanosiło się przecież na to, że możemy zostać prawdziwymi przyjaciółmi.

– To był dobry pomysł. Dzięki.

– Nie ma sprawy – odparła. – Cieszę się, że mogłam pomóc.

Znowu zacząłem się zastanawiać, jakim cudem tak dobrze wszystko rozumiała. Co sprawiło, że wszystko z miejsca było dla niej jasne. A może po prostu taka była? Desperacko pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej. Chociaż rozmyślanie na temat innej osoby tuż po stracie najlepszego przyjaciela trąciło nielojalnością, domyślałem się, że Hayden by to pochwalił. Przecież też ją lubił. Tyle że nie potrafiłem stwierdzić, jak bardzo. Dlaczego nas sobie nie przedstawił?

Zabrzączał dzwonek, sygnalizując początek piątej godziny lekcyjnej. Astrid spojrzała na obrzydliwe resztki mojego hot doga oraz pozostałości po eksplozji sosu.

– Przepraszam, że przeszkodziłam ci w jedzeniu. Ależ to apetycznie wygląda...

Albo zwariowałem, albo wcale nie wyglądała, jakby było jej przykro.

Wziąłem do ręki rozmokłą, zimną frytkę i ostentacyjnie zacząłem miażdżyć ją zębami, szczęśliwy, że mam się czym zająć.

– Zmarnował się przepyszny posiłek – powiedziałem, stawiając na śmiałość.

Może dopadły mnie w końcu efekty niedoboru snu, ale zanim byłem w stanie się zastanowić, z moich ust wydobyły się kolejne słowa:

– Pewnego dnia zapoznam cię z najlepszymi frytkami w Libertyville.



Twarz mi spłonęła i modliłem się, żebym nie zaczął się pocić.

– Jesteś pewny, że ich jeszcze nie znam? – spytała. – Uchodzę za ekspertkę od frytek.

– Na sto procent – odparłem.

– Pewnego dnia zatem – powiedziała, po czym puściła do mnie oczko i odeszła.



## *Pumped up Kicks*

### **Foster the People**

Zazwyczaj na piątej lekcji miałem angielski, ale na godzinie wychowawczej dostałem karteczkę, z której wynikało, że mam się udać na spotkanie z pedagogiem szkolnym. Pana Beaumonta poznałem na jednym ze spotkań organizowanych dla pierwszaków, aby skłonić nas do rozmyślań nad wyborem fakultetów. Pamiętałem, że facet był drobny, znacznie ode mnie niższy, ubrany w dżinsy i sweter, czyli swobodniej niż reszta kadry. Uznałem, że próbuje zrobić na uczniach wrażenie luzaka, chociaż chyba za bardzo się starał.

Czekał na mnie. Gdy dotarłem do jego gabinetu, drzwi były otwarte, a on stał obok nich z wyciągniętą dłonią.

– Cześć, Sam – powiedział, czekając, aż ją uścisknę.

Dziwnie było witać się w ten sposób z członkiem szkolnego personelu, ale co tam, tak właśnie zrobiłem.

– Miło cię znowu widzieć – oznajmił. – Siadaj.

Jego gabinet nie przypominał żadnego innego szkolnego gabinetu, jaki miałem okazję oglądać. Znajdowało się w nim biurko, ale zepchnięto je w róg, gdyż pośrodku pokoju stały dwa duże fotele, które swoją drogą wyglądały na dosyć wygodne, a między nimi ustawiono niewielki stolik do kawy z miską pełną m&m'sów. Wcześniej zjadłem tylko jedną frytkę i kęs hot doga zakończony katastrofą, więc konałem z głodu.

Pan Beaumont musiał dostrzec, że na nie patrzę, bo usiadł w jednym z foteli i powiedział:

– Weź tyle, ile chcesz. Może wody?

Zająłem miejsce naprzeciwko niego, wsypałem sobie do ust garść

m&m'sów i pokręciłem głową. Dodatkową zaletą tego posunięcia było to, że nie musiałem niczego od razu powiedzieć, zwłaszcza że nie rozumiałem, po co się tam znalazłem.

– Chciałem się z tobą zobaczyć, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz – oznajmił pan Beaumont. – Wszyscy jesteśmy zdruzgotani tym, co się stało, i jestem przekonany, że ty również. Może poczujesz się lepiej, jeśli o tym pogadamy.

Chyba żartował.

– Nie widzę takiej możliwości – odparłem.

– Z pewnością tak to w tej chwili wygląda. Ale chyba możemy spróbować? Może to coś da, może nie, ale przynajmniej się dowiemy, na czym stoimy.

Wzruszyłem ramionami. Nie ulegało wątpliwości, że nie wypuścił mnie stąd, dopóki czegoś nie powiem.

– Z tego co rozumiem, byliście ze sobą bardzo zżyci – powiedział pan Beaumont.

– Można i tak to ująć – odparłem.

– A jak jeszcze?

Wzruszyłem ramionami. Jak niby miałem opisać moją relację z Haydenem? Był moim najlepszym przyjacielem. Moim jedynym przyjacielem. Wpadłem na pomysł, że może już czas to zmienić, on się z tym nie zgodził, a potem odszedł. Nie miałem zamiaru siedzieć tu nie wiadomo jak długo i dyskutować na ten temat.

– Mógłbyś w jakikolwiek sposób opisać mi waszą przyjaźń? – spytał pedagog łagodnym tonem.

Co spodziewał się usłyszeć? Że obaj byliśmy nieporadnymi towarzyszami odmieńcami? Że przez długi czas ratowaliśmy się nawzajem przed samotnością, a obecnie było już po wszystkim?

– Byliśmy przyjaciółmi. Co jeszcze mam powiedzieć?

Moje kolano podskakiwało w górę i w dół, niemalże jakbym nie miał nad nim władzy. Naprawdę nie chciałem tu być.

– Był twoim jedynym przyjacielem? – spytał.

Kolano coraz bardziej wymykało się spod kontroli. Zmusiłem je, aby przestało się telepać, zanim pan Beaumont zauważy.

– No tak.

– A ty jego?

Głos pedagoga stawał się coraz cichszy, jakby mężczyzna zdawał sobie sprawę, że ciężko jest słuchać tych pytań, bez względu na to, jak głośno są zadawane. Jednak mimo że próbował mnie udobruchać, czułem, iż robię się coraz bardziej wściekły i krew napływa mi do twarzy. Musiał to zauważyć, bo nie czekał, aż coś odpowiem.

– Posłuchaj, wiem, że rozmawianie o Haydenie jest dla ciebie niełatwe. Dam ci parę rzeczy do przeczytania, na później, gdy będziesz gotowy.

Wręczył mi brązową kopertę. Nie chciało mi się jej otwierać, więc wsadziłem ją po prostu do plecaka.

– Rozumiem, że czujesz się smutny i dezorientowany, a pewnie nawet zły. Chcę, żebyś wiedział, że wszystkie te uczucia, których teraz doświadczasz, są naturalne.

Super, dostałem rozgrzeszenie. Miałem ochotę rzucić coś złośliwego, ale to mimo wszystko oznaczałoby rozmowę, a wcale nie miałem ochoty gadać. Ani z panem Beaumontem, ani z nikim innym.

Pedagog musiał czytać mi w myślach.

– Widzę, że nie masz zbyt wielkiej ochoty rozmawiać ze mną na ten temat – nie ma sprawy. Chcę ci pomóc, ale tylko wtedy, gdy sam będziesz tego chciał. Naprawdę jestem zdania, że rozmowa z kimś dobrze by ci zrobiła, może więc zastanowimy się nad tym, z kim mógłbyś pogadać?

Wiedział, jak szukać słabych punktów. Z mamą tak naprawdę nie mogłem porozmawiać: była zajęta pracą na dodatkowych zmianach, a poza tym zaczęłaby się martwić wszystkim, co bym jej zdradził. Poza tym miała wystarczająco dużo zmartwień na głowie. Rachel też by nie pomogła, a chociaż Astrid mogła potencjalnie zostać moją nową przyjaciółką, to nie chciałem z niej robić powiernicy w takiej sprawie. Nie miałem nikogo więcej do wyboru. Wbiłem wzrok w podłogę. Pan Beaumont zakrył szarą przemysłową wykładzinę dużym perskim dywanem. Naprawdę bardzo się starał.

– Nie mam nikogo takiego – wyznałem w końcu.

– No cóż, skoro tak się przedstawia sytuacja, mam nadzieję, że przynajmniej mnie weźmiesz pod uwagę – powiedział. – Możemy na

początek porozmawiać trochę o tobie zamiast o Haydenie? Jeśli powiesz mi, jak się czujesz, będę mógł przestać zgadywać.

– Spróbuję – odparłem.

Ale ciężko było streścić wszystko w kilku słowach. Przerabiałem nie tylko cykl złości/poczucia winy/tęsknoty, ale i wiele innych emocji, które trudno mi było opisać.

– No, mam mętlik w głowie. Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Przez cały czas wydaje mi się, że on niedługo się pojawi, ale tak nie będzie.

Kolano znowu zaczęło mi podskakiwać, więc wsunąłem stopę za nogę krzesła, żeby je powstrzymać.

Pan Beaumont pokiwał głową.

– Gdy byłem bardzo młody, też straciłem przyjaciela. Pamiętam, że tak samo wtedy myślałem – czekałem na niego w miejscach, w których spodziewałem się go zastać, albo brałem dodatkowe ciastka na lunch, bo zawsze go nimi częstowałem. Wiesz, czas leczy wszystkie rany.

Jeśli miał w planie częstować mnie pustymi komunałami, rozmowa z nim była bezużyteczna.

– Tak, już to kiedyś słyszałem.

Mężczyzna pochylił się do przodu i czułem, że na mnie patrzy, chociaż wzrok skupiłem na grafikach zawieszonych na ścianie. Abstrakcje pełne kojących barw. Cały ten gabinet był trochę obciachowy.

– Ludzie mówią mnóstwo różnych rzeczy. Niektóre z nich mogą się przydać, inne cię rozdrażnią, a wiele z nich będzie ci działać na nerwy. Mówią je jednak dlatego, że inne osoby im je powiedziały, lub dlatego, że okazały się one przydatne, gdy sami kogoś stracili. Intencje mają dobre.

Ta, jasne.

– I to ma mnie pocieszyć? – spytałem, patrząc mu prosto w oczy i mając nadzieję, że nie dostrzeże tego, co myślę.

Nasze spojrzenia się spotkały i poczułem, że on wie, co ja tak naprawdę myślę, ale nie stanowi to dla niego problemu.

– Na razie nie – odparł. – Ale kiedyś tak.

Wiedziałem, że stara się pomóc, ale w kwestii tego, że pewne

rzeczy działały mi na nerwy, się nie mylił.

– To wszystko? – spytałem, zaczynając się podnosić.

Uniósł dłoń.

– Poświęcisz mi jeszcze kilka minut? Miałem nadzieję, że może zdradzisz mi, czy Hayden zwierzał ci się ze swoich uczuć.

Podejrzywałeś, że rozważa zrobienie tego, co zrobił?

Prosto z mostu. Klapnąłem na fotel. Co miałem powiedzieć? Bez przerwy o tym gadaliśmy, ale nigdy nie sądziłem, że mógłby myśleć o tym poważnie. Bo ja nigdy tak nie myślałem.

– Każdy dzieciak, który jest dręczony tak często, jak Hayden, to rozważa – powiedziałem.

– Czyli rozmawiał z tobą?

Na ten temat? To był nasz ulubiony żart. Godzinami bawiliśmy się iPhone'm Haydena, próbując nakłonić Siri, wirtualną asystentkę, do polecenia nam telefonu zaufania dla niedoszłych samobójców.

– Jestem przygnębiony, Siri – mówił Hayden.

*Nie rozumiem, Hayden.*

– Potrzebna mi pomoc, Siri.

*Nie rozumiem, Hayden.*

– Jestem samotny. Nie mam przyjaciół.

*Mam powyżej uszu tych przypadkowych kategorii, Hayden.*

– Siri, jesteś na mnie zła?

*Bez komentarza, Hayden.*

Zadawaliśmy pytania do momentu, gdy nie byliśmy już w stanie mówić, bo zanosiliśmy się śmiechem. W końcu doszliśmy do wniosku, że powinniśmy pytać w sposób bardziej bezpośredni.

– Siri, chciałbym skoczyć z mostu... Który jest najwyższy?

Ale nawet przez chwilę nie sądziłem, że on naprawdę to rozważa. Ja nigdy tego nie brałem pod uwagę. Wiedziałem, że sytuacja była kiepska – tamtej imprezy nie potrafiłem wymazać z pamięci bez względu na to, jak bardzo się starałem – jednak nie miałem pojęcia, że Hayden posunie się do tak ostatecznego rozwiązania. Myślałem raczej, że cały weekend spędzi w swoim pokoju, ignorując mnie, jak czasem robił, gdy go czymś zdenerwowałem albo zachowałem się jak palant, albo jedno i drugie. W takich przypadkach zwykle wysyłałem mu żarty SMS-ami

i zapraszałem go na czat, a on odzywał się dopiero w drugiej połowie tygodnia i to tylko w *Mage Warfare*. Wykorzystywał moce swojego Arcymaga do likwidacji jakichś potężnych stworzeń, a ja wiedziałem, że w ten sposób się mści.

Pod pewnym względem zdawałem sobie sprawę, że tym razem sytuacja wygląda inaczej. W końcu rano udałem się do niego do domu zamiast działać zgodnie ze schematem.

– Sam?

– Przepraszam – powiedziałem, potrząsając głową. – Na chwilę odpływałem. Ostatnio kiepsko sypiam.

– To zrozumiałe. Sugerujesz, że Hayden wspominał o samobójstwie?

– Ale nie na serio. W ogóle się tego nie spodziewałem.

Co w dużej mierze było prawdą.

– W ogóle? Czyli nie wydarzyło się nic, co mogłoby do tego doprowadzić?

Znowu pochylił się do przodu, kładąc dłonie na udach i nie mogąc się doczekać tego, co powiem.

Nie było mowy, żebym opowiedział o imprezie ani o wszystkim, co zaszło od tamtej pory. Hayden wystarczająco dużo przeszedł, ja zresztą też. Ponownie zaczęła mnie ogarniać złość.

– Niech pan posłucha, Hayden był dosyć nieszczęśliwy. Koledzy jego brata i on sam traktowali go jak śmiecia, zawałał zajęcia... Nie wiem, czy miał pan przyjemność poznać jego rodziców, ale oni też są okropni. Nikt nie zrobił niczego, żeby mu ulżyć. Wcześniej może i dałoby się mu pomóc, ale teraz jest już za późno, po co więc o tym rozmawiamy? Dlaczego nie pogada pan z nimi wszystkimi?!

Twarz mi płonęła i zdałem sobie sprawę, że wrzeszczę.

– Żałuję, że nie dostrzeżliśmy tego, co się działo, Sam, i zapewniam cię, że porozmawiam z niektórymi osobami, o których wspomniałeś. Ale na razie rozmawiam z tobą i chcę, abyś wiedział, że jestem tu, gdybyś mnie potrzebował. Wiem, że jesteś wściekły, i chcę ci pomóc przekuć tę złość w coś pozytywnego zamiast destrukcyjnego.

Sprawa miała wrażenie, jakby chciał wyciągnąć rękę i położyć mi ją na ramieniu, musiał się jednak domyślić, że ja najchętniej wbilibym w coś



pięść.

– Czego pan ode mnie chce? Mam zacząć chodzić na zajęcia plastyczne i rysować czarnymi kredkami? Mam pisać opowiadania o świecie równoległym, w którym mój najlepszy przyjaciel wcale się nie zabił? Czego pan chce?!

Musiałem ochłonąć. Próbowałem się skupić na oddechu. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Za każdym razem wolniej.

– Chcę tylko, żebyś pamiętał, że masz wybór. Czasami, gdy ludzi ogarnia złość, wyzywają się na innych, a przecież otacza nas wystarczająco dużo przemocy.

Mężczyzna zmarszczył brwi i ściszył głos, mimo że wrzeszczałem.

Jakąś minutę zajęło mi rozgryzienie, co tak naprawdę go martwiło. Dotarło do mnie, że bał się, iż mogę urządzić strzelaninę w szkole. Hayden umieścił piosenkę na ten temat na swojej składance; zastanawiałem się, czy sam o tym myślał. Zmusiłem się, żeby przestać krzyczeć i zacząć mówić głosem niemal tak cichym, jak pedagog.

– Proszę posłuchać, to prawda, że winię wiele osób za to, co się stało, ale sam do nich należę.

Przez głowę przemknęło mi wspomnienie imprezy i ostatnich słów, które do niego powiedziałem. „Pierdol się, Hayden”. Niezły był ze mnie przyjaciel.

– To nie do mnie należy decyzja, kto powinien ponieść karę – dodałem.

Pan Beaumont wypuścił powietrze z płuc. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że wstrzymywał oddech.

– Cieszę się, że tak myślisz, a jednocześnie jest mi przykro, że czujesz się odpowiedzialny. Może moglibyśmy o tym pogadać następnym razem.

Domyśliłem się, że kolejny raz był nieunikniony, skinąłem więc głową, a następnie wziąłem garść m&m'sów i ruszyłem do drzwi.

– W międzyczasie spróbuj trochę odpocząć – rzucił jeszcze pan Beaumont. – Wyglądasz na wykończonego.

Bez jaj.



## *I Don't Want to Grow Up*

### **The Ramones**

Dopiero w domu, gdy już zamknąłem się w swoim pokoju, zajrzałem do koperty otrzymanej od pana Beaumonta. Pełno w niej było broszurek dotyczących samobójstwa, żałoby, depresji i radzenia sobie z napadami gniewu. Ta o samobójstwie zawierała same statystyki. Co czternaście minut ktoś odbierał sobie życie – zaskoczyło mnie, że aż tak często – a milion osób rocznie podejmowało tego typu próby. Samobójstwo było trzecią z kolei główną przyczyną śmierci nastolatków, a chłopcy popełniali je o wiele częściej niż dziewczęta. One raczej uciekały się do czegoś, co w ulotce określano jako „wołanie o pomoc”, chociaż dla mnie brzmiało to raczej jak chęć zwrócenia na siebie uwagi. Podcinały sobie żyły w nadgarstku, tyle że w niewłaściwym kierunku, albo połykały garść pigułek, gdy wiedziały, że ktoś prawdopodobnie je znajdzie. Chłopcy byli bardziej zdecydowani. Wieszali się, strzelali do siebie, skakali z dużych wysokości.

Wyobraziłem sobie, że pan Beaumont wręcza tego typu ulotkę Ryanowi. Prawdopodobnie posikałby się z radości na wieść, że Hayden wybrał technikę popularną wśród dziewczyn. Trio bydlaków z pewnością znalazłoby powody, żeby się z niego nabijać nawet po śmierci.

Zaczynało mi się kręcić w głowie z niewyspania, położyłem się więc na łóżku i próbowałem zasnąć. Ale gonitwa myśli wywołana tym, co ostatnio zaszło, nie ustawała – wiadomo, odszedł Hayden, ale pojawiła się też Astrid, no i Arcymag. Byłem jednak pewny, że ten ostatni mi się przyśnił. Nie miałem w zwyczaju zasypiać przy biurku, ale zawsze musi być ten pierwszy raz. Próbowałem oczyścić umysł, a gdy już zacząłem

odpływać, rozległo się pukanie do drzwi.

– Mamo, próbuję się zdrzemnąć.

– To ja, nie mama.

Otworzyłem oczy. Drzwi się uchylily i do pokoju weszła Rachel w typowej dla siebie maleńkiej miniówce i z warstwą makijażu tak grubą, że miało się wrażenie, jakby pomalowała twarz sprayem. Zabawne, gdyby nie ta cała tapeta na twarzy, byłaby bardzo podobna do mamy – wysoka, z piwnymi oczami i długimi, kręconymi brązowymi włosami. Mama jednak wiecznie wyglądała na przepracowaną, podczas gdy Rachel przypominała ekspedientkę stojącą za ladą jednego ze stoisk do wizazu znajdujących się w centrum handlowym. Co zresztą odzwierciedlało jej wymarzoną ścieżkę kariery. Ale makijaż ją postarzał, więc wyglądały z mamą na rówieśniczki. Gdyby się nim podzieliły, obie wyglądałyby super. Chociaż żadnej z nich nie powiedziałbym tego wprost. Nie byłem przecież skończonym idiotą.

– Twoja stopa co najmniej od roku nie postąpiła w moim pokoju – zauważyłem. – Co ty tu robisz?

Omiotła wzrokiem plakaty zespołów pokrywające każdy centymetr kwadratowy ścian, którego nie zdążyły zagarnąć półki na książki.

– Niewiele się tu zmieniło. Słuchaj, Jimmy wpada na kolację, więc musisz raz-dwa zejść na dół i pomóc mi zrobić dobre wrażenie.

– Całkiem zapomniałem – wyznałem, zamykając oczy. – Mama coś rano wspominała. Wolę tu jednak poleżeć.

Poczułem ciężar Rachel, gdy ta usiadła na brzegu łóżka, co było na tyle dziwne, że aż otworzyłem oczy.

– Pewnie ci nie powiedziała, że zamierza gotować? – spytała Rachel, marszcząc nos. – Sam widzisz, jest tyle możliwości, że kolacja zakończy się katastrofą, że od samego liczenia ich pęka mi głowa. Potrzebne mi twoje wsparcie, braciszku.

Posłała mi spojrzenie, które miało pewnie przypominać ślepią szczeniaczka. Ja jednak widziałem tylko to, że pęka jej podkład, gdy otworzyła oczy tak szeroko, jak tylko była w stanie.

Rachel prawie nigdy nie dopuszczała do sytuacji, kiedy byłaby mi winna przysługę, więc tym razem musiało jej bardzo zależeć. Uznałem, że może być niezły ubaw. Powoli podniosłem się z łóżka, a zawroty

głowy powróciły.

– Jesteś moją dłużniczką – powiedziałem. – Ale czy ja dobrze zrozumiałem? Mówiłaś, że mama gotuje? Chce, żebyście ze sobą zerwali?

– Może właśnie o to jej chodzi. Zastąp mnie na chwilę, okej?

Wyszła z pokoju, zmuszając mnie, abym w pojedynkę stawił czoła kucharzącej mamie. Gdy zszedłem na dół, Jimmy siedział przy kuchennym stole. Nigdy wcześniej go nie spotkałem – Rachel nigdy nie zapraszała swoich chłopaków na wydarzenia rodzinne, a ten konkretny nie chodził nawet do liceum w Libertyville. Gdy tylko go ujrzałem, dotarło do mnie, dlaczego do tej pory nie przyprowadziła go do domu: koleś uosabiał najgorszy koszmar każdego rodzica. Tatuaze, tunele w uszach, skórzana kurtka z ćwiekami – cały zestaw. Po kimś takim jak on spodziewałbym się raczej, że rozłoży się gdzieś wygodnie z papierosem zwisającym z kącika ust, chociaż na razie wystarczało mu rozumu, żeby nie palić w domu. Jimmy siedział wyprostowany z dłońmi splecionymi przed sobą, jakby brał udział w zebraniu akcjonariuszy. Mama stała przy kuchence i mieszała coś w garnku, z którego buchał dym, co z miejsca wprawiło mnie w nerwowy nastrój.

Jimmy wstał i wyciągnął do mnie rękę.

– Co słyhać, stary? – powiedział na powitanie.

– W porządku – odparłem, potrząsając jego dłoń.

Miał solidny uścisk, ale nie próbował zmiażdżyć mi ręki tak jak chłopaki, które chcą udowodnić, jacy to oni są mężczyźni.

– Wpadłeś na kolację, co? – zagailem.

Jimmy skinął głową, starając się ukryć zaniepokojony wyraz twarzy.

– Mam nadzieję, że Rachel poradziła ci, żebyś coś zjadł przed przyjściem – powiedziałem.

– Jaki niemiły! – zawołała mama przez ramię.

– Potrzebujesz pomocy? – spytałem ją.

Obróciła się i dostrzegłem perełki potu na jej czole.

– Chętnie skorzystam z oferty, Sammy.

Nie znosiłem, gdy mnie tak nazywała, zwłaszcza teraz, przy Jimmym. Prawie zacząłem żałować, że zaproponowałem jej pomoc. Nie

chciałem jednak, aby puściła z dymem cały dom – do tej pory kilka razy zaledwie o włos uniknęliśmy pożaru. Incydent związany z przygotowaniem klusek z serem nadal próbowałem wymazać z pamięci, a plamy na suficie przypominały mi o jajecznej eksplozji za każdym razem, gdy unosiłem wzrok.

Podszedłem do kuchenki i zerknąłem do wnętrza garnka, odganiając dłonią dym, spod którego wyłoniła się białobrązowo-czarna breja, w której nie potrafiłem rozpoznać żadnej potrawy.

– Co to takiego? – spytałem, marszcząc nos.

– Miało być risotto – odparła mama. – Z pieczarkami i...

Przerwał jej alarm pożarowy. Wyciągnąłem rękę, żeby zakręcić gaz, po czym zdjąłem garnek z kuchenki i wstawiłem go do zlewu, a mama wyłączyła czujnik pożarowy. Miałem nadzieję, że Jimmy nie zauważył, jak dobrze wyćwiczona była ta procedura.

– Z czym lubisz pizzę, Jimmy? – spytałem.

Stojąca za mną Rachel parsknęła śmiechem. Obróciłem się i zobaczyłem, że przebrała się w odrobinę dłuższą spódnicę i zmyła część makijażu. Wyglądała teraz na tyle poważnie, że z pewnością zadowolona była z tego gościa.

– Niezła stylizacja – skomentowałem.

– Dupek.

Mocno uszczypnęła mnie w ramię, budząc do życia obolały siniec, ale sprawiło mi to też pewną przyjemność, bo robiła tak w przeszłości, kiedy łąziłem za nią wszędzie, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. Gdy byłem mały, negatywna uwaga z jej strony była równie wartościowa, co pozytywna.

– Mogę zjeść cokolwiek – powiedział Jimmy.

Mama z westchnieniem udała się po portfel.

– No to niech będzie z kielbasą i papryką – zdecydowałem i poszedłem zadzwonić.

Dieta koszerna nie była nam szczególnie bliska. Pizza z kielbasą i papryką była moją ulubioną i chociaż Rachel zazwyczaj brała hawajską, domyśliłem się, że nie będzie się ze mną spierać przy nowym chłopaku.

Po odłożeniu słuchawki usiadłem przy stole naprzeciwko

Jimmy'ego, podczas gdy Rachel pomagała mamie zeskrobać przypalone risotto z dna garnka. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Miałem wrażenie, że czeka, aż coś powiem, ale Rachel musiała go ostrzec, że nie jestem najbardziej wygadaną osobą na świecie.

– Rachel mówiła, że lubisz muzykę – odezwał się w końcu Jimmy.

Kiwnąłem głową, chociaż zaskoczyło mnie, że opowiedziała o mnie coś tak pozytywnego, przynajmniej w porównaniu z tym, co moim zdaniem mogła powiedzieć.

– To czego ostatnio słuchasz? – spytał.

Zdażyłem się już przebrać z umazanej sosem koszulki Metalliki w stary T-shirt z logo Coca-Coli, który znalazłem w sklepie charytatywnym.

– Głównie alternatywy, mam rację?

Rozparłem się na krześle, krzyżując ręce na piersi. No tak, miał rację, ale kto dał mu prawo do oceniania mnie tylko na podstawie ciuchów? Kiedy ostatni raz sam spojrział w lustro?

– Ostatnio The Ramones.

Było to po części prawdą, bo słuchałem piosenki tej kapeli z playlisty w drodze powrotnej ze szkoły.

– Dobra muza. Ja ostatnio wkręciłem się w The Clash. Mogę ci wypalić *London Calling* na płycie, jeśli jeszcze go nie masz. Spodoba ci się.

Musiałem przyznać, że to miłe z jego strony. Może nie był taki zły, jak mi się zdawało.

Mama i Rachel zaczęły zastawiać stół papierowymi talerzykami i sztućcami z plastiku. Jakbyśmy naprawdę mieli zamiar ciąć pizzę na kawałki.

– Skąd znasz Ramonsów? – spytał Jimmy.

– Od kiedy niby słuchasz klasyków rocka? – prychnęła Rachel, po czym obróciła się do Jimmy'ego. – Kazałam mu przesłuchać każdy album, jaki kiedykolwiek kupiłam, a i tak podobało mu się tylko indie.

Z uznaniem odnotowałem, że mina Jimmy'ego w ogóle się nie zmieniła.

– Nie ma to jak różnorodność, stary – powiedział i wysunął w moim kierunku pięść.

A co tam. Przybiłem z Jimmym żółwika i powiedziałem dokładnie to, co miałem na myśli:

– Zacząłem słuchać The Ramones, bo Hayden umieścił ich na swojej samobójczej playliście.

W kuchni zapadła grobowa cisza i zorientowałem się, że przeholowałem.

– Sammy, to chyba nie najlepsza pora – stwierdziła w końcu mama.

– Nie, w porządku, pani Goldsmith – powiedział Jimmy. – Sam przechodziłem przez coś podobnego.

– Serio? – spytałem, zanim byłem w stanie się powstrzymać.

Zastanawiałem się, czy Rachel o tym wie. Mama i ja posłaliśmy jej uważne spojrzenia. Mama rozchyliła usta.

Rachel wzruszyła ramionami, ale nie wyglądała na zbyt zdziwioną.

– Przeprowadziłem się tu z Chicago zeszłego lata – powiedział Jimmy. – Miałem kolegę, który miał pewne problemy i postanowił ze sobą skończyć. W moim domu, przy użyciu pistoletu mojego taty. To ja go znalazłem.

Przez chwilę byłem wdzięczny Haydenowi za metodę, którą wybrał. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że w moim ostatnim wspomnieniu o nim mogłaby się pojawić krew. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. Ponownie zerknąłem na Rachel, która wyglądała obecnie na lekko zszokowaną. Domyśliłem się, że znała zarys historii, ale nie szczegóły.

– Dlatego właśnie wyjechaliśmy – mówił dalej Jimmy. – Nie mogliśmy znieść tamtego domu, a mama bez przerwy powtarzała, jak okropnie jest mieszkać w dużym mieście, bo tyle złego się tam dzieje.

– To trochę ironia losu, że gdy sprowadziliście się tu... – urwałem, bo nie byłem jeszcze gotowy wyrazić tego na głos.

– No, można to tak ująć. Byłoby mi o wiele trudniej, gdybym nie poznał twojej siostry.

Uśmiechnął się do Rachel, a ona odpowiedziała mu tym samym. Widać było, że jest w nim zabujana po uszy. Nawet mama zaczynała się do niego przekonywać.

– Uwielbiałem Chicago. Chciałem się wyprowadzić z tamtego



domu, ale nie z miasta. To mój tato wpadł na pomysł, żeby się przenieść do krainy krów.

– Nie krów, tylko kukurydzy – poprawiła Rachel, ściskając dłoń Jimmy’ego.

Sam chciałem to powiedzieć, ale prawda była taka, że mieliśmy tu też trochę krów.

– W każdym razie nie mogłem pogadać o tym z nikim w domu, a w nowym miejscu nie miałem na to ochoty, ale teraz minęło już trochę czasu i odzyskałem jasność myślenia. Jeśli więc miałbyś kiedyś chęć porozmawiać, możesz pogadać ze mną. Może nie teraz, ale pewnego dnia.

Zastanawiałem się, czy to moja siostra go namówiła na te zwierzenia, jednak to byłoby nie w jej stylu. Poza tym wyglądało na to, że chłopak mówi szczerze.

– To bardzo miła propozycja, Jimmy – powiedziała mama.

Widziałem, że Rachel z trudem powstrzymuje się od uśmiešku. Sprawy nie mogły przybrać lepszego obrotu, nawet gdyby sama je wyreżyserowała. Spojrzała na mnie, chcąc skłonić mnie do odpowiedzi.

– Okej, dzięki – odparłem.

Wbrew sobie zaczynałem go lubić. Szkoda, że nie pojawił się przed spotkaniem z panem Beaumontem. Wtedy mógłbym przynajmniej powiedzieć, że mam z kim porozmawiać.

Zanim zdążyliśmy powiedzieć coś jeszcze, rozległ się dzwonek u drzwi. W końcu jedzenie. Wszyscy z wdzięcznością skupiliśmy się na pizzy.

– Opowiedz o pierwszym dniu w szkole – poprosiła mnie mama, gdy zaczęliśmy jeść.

– Nie ma o czym – odparłem, bo naprawdę nie chciało mi się mówić o panu Beaumencie.

– Ominął cię tydzień, kiedy wszyscy gadali o Haydenie – poinformowała Rachel. – A teraz wszyscy gadają o tym, co się przytrafiło Jasonowi Yoderowi.

Obróciłem się do niej tak gwałtownie, że prawie uszkodziłem sobie szyję.

– A co mu się przytrafiło? – spytałem.

– Nie słyszałeś? Rozeszła się plotka, że jest gejem. A potem... Nikt nie wie, co dokładnie się wydarzyło, ale policjanci znaleźli go przywiązanego do słupa telefonicznego przed barem Blue Star. Gołego jak święty turecki. Nie wniósł przeciwko nikomu oskarżenia – chyba miał nadzieję, że nikt się o tym nie dowie. Ale ludziom nic nie umknie. I teraz wszyscy o tym gadają.

Libertyville to dosyć konserwatywne miasteczko. Chociaż Iowa była jednym z pierwszych stanów, które zalegalizowały śluby gejowskie, to u nas nastroje zmieniały się z opóźnieniem. Nie dotarły do mnie plotki na temat Jasona, ale to akurat nie było zaskoczeniem – nie byłem przecież częścią plotkarskiego młyna. Słyszałem jednak o barze Blue Star. Oficjalnie nie był to lokal dla gejów, ale w naszym miasteczku za taki go uważano.

Wizja Jasona Yodera – zagorzałego macho stanowiącego jedną trzecią tura bydłaków – przywiązanego nago do słupa telefonicznego była dziwaczna. Prawdopodobnie stanowiła jego najgorszy koszmar.

– Rachel, nie ma sensu powtarzać tego typu plotek – upomniała mama. – Biedny chłopak.

– Biedny chłopak? – powtórzyłem, czując, jak na nowo ogarnia mnie gniew. – Ten bydlak traktował Haydena jak śmiecia. W ogóle nie jest mi przykro.

– Sam! – warknęła mama. – Możesz go nie lubić, ale nie powinienesz wygadywać tego typu rzeczy.

– Zresztą czemu miałyby ci być przykro? – spytała Rachel. – Przecież to nie twoja sprawa.

– Wiadomo, że nie. Chodziło mi o to, że nie jest mi go żal. Ten gość to zwykły dupek.

– Nie wyrażaj się, Sam! – upomniała mnie mama. – Poza tym w tej rodzinie nie mamy zwyczaju cieszyć się z cudzych nieszczęść.

„Mów za siebie” – miałem ochotę powiedzieć i wiedziałem, że Rachel myśli dokładnie to samo.



*Diane Young*

## **Vampire Weekend**

Po kolacji poszedłem do swojego pokoju. Wiedziałem, że za szybko nie zasnę, więc postanowiłem pograć w *Mage Warfare*, bez względu na to, czy pojawi się Arcymag. Przypomniało mi się, jak zaczynaliśmy grać z Haydenem. Dużo gadaliśmy o postaciach, które chcieliśmy stworzyć. Dopiero co przeczytałem książkę o grze wideo imitującej rzeczywistość, której autor tłumaczył, dlaczego ludzie wcielają się w różne postacie i zachowują w określony sposób w wirtualnym świecie. Niektórzy z nich powielali w grze swoje prawdziwe życie – wykonywali te same zawody, jeździli tymi samymi samochodami, spędzali czas z tym samym typem osób. Zupełnie jakby po raz drugi przeżywali własne życie. Ale byli też inni, którzy starali się jak mogli pójść w przeciwnym kierunku: księgowi zostawali gwiazdoramii filmowymi, nauczyciele gwałcicielami i tak dalej.

Zafascynowało mnie to, lecz Hayden był wstrząśnięty.

– Obie te opcje są nienormalne – stwierdził. – Ciężko sobie wyobrazić, że zadowoleni z życia ludzie chcą doświadczyć tego samego w wirtualnym świecie – mogą przecież po prostu cieszyć się rzeczywistością i nie zawracać sobie głowy grą. Nie ma też sensu, że czyjeś fantazje kompletnie odbiegają od życia. Na przykład, że nauczyciele mieliby mordować nieposłuszne dzieciaki.

Uznał, że byłoby o wiele sensowniej, gdyby ludzie zostali sobą, tylko objawili się w lepszej wersji. Ktoś, kto miał nudną pracę, ale uwielbiał karaoke, zostałby gwiazdą rocka, a znużeni życiem policjanci ratowaliby świat przed zagładą. On sam byłby wysokim przystojniakiem obdarzonym magiczną mocą i walczyłby po stronie dobra. Tak jak

Arcymag.

Mnie intrygowały za to mroczne aspekty gier. Przyjemność sprawiało mi odgrywanie czarnego charakteru w świecie, w którym nikt nie wiedział, kim jestem, i nie groziły mi żadne konsekwencje. Tak wiele osób niezasłużenie cieszy się dobrą reputacją, dlaczego zatem stanie po stronie dobra musi oznaczać coś lepszego niż opowiedzenie się po stronie zła?

– Gdyby wszyscy myśleli w ten sposób co ty, panowałaby anarchia – stwierdził Hayden.

– Nie jestem pewny, czy to byłoby aż tak złe – odparłem. – Jak możesz odnosić wiarę w absolutne dobro i zło do polityki? W polityce obie strony uważają się za wcielenie dobra, a tak naprawdę sprawiają wrażenie idiotów. Zresztą politykom totalnie brakuje konsekwencji – jedni głoszą, że rząd jest zły, chcą za to kontrolować każdy nasz ruch, podczas gdy drudzy twierdzą, że rząd jest dobry, ale nie jest w stanie niczego dokonać, przez co władza traci w oczach obywateli. Gdyby panowała anarchia, musielibyśmy się nauczyć dogadywać, żeby cokolwiek osiągnąć.

– Chyba oszalałeś, jeśli myślisz, że ludzie daliby sobie radę bez kogoś u steru – powiedział Hayden. – Sam pomyśl, jak rozpaczliwie większość z nich potrzebuje, aby ktoś powiedział im, co mają robić.

– Może niektórzy tak – przyznałem. – Ale popatrz na nas: obaj o wiele więcej uczymy się na własną rękę niż w szkole i znacznie bardziej interesują nas rzeczy, które sami odkrywamy.

– Dlatego jesteśmy takimi dziwakami – podsumował Hayden ze śmiechem.

Po jego śmierci wielokrotnie wspominałem tamtą rozmowę. Nie rozmawialiśmy wtedy o tym, że w kwestii samodzielnej nauki kierowały nami różne cele: ja robiłem to, bo mogłem, bo chciałem uczyć się innych rzeczy niż te, które wpajała mi szkoła, bo nie mogłem się doczekać dnia, kiedy opuszczę Libertyville i zacznę życie od nowa. Mama nieustannie przypominała mi, że najlepsze lata życia mam dopiero przed sobą. Że palanty ze szkoły nie doświadczą niczego lepszego, ale na kogoś takiego jak ja czeka wiele ekscytujących przeżyć. „Będiesz miał piękne życie” – mawiała, przyglądając mi włosy chłodną dłonią – „a liceum stanie się

tylko odległym wspomnieniem”.

Natomiast Hayden uczył się samodzielnie, bo nauka sprawiała mu trudności. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jak bardzo musiało go to frustrować: być kimś tak błyskotliwym – genialnym wręcz – jak on, i nie potrafić wyrazić swoich myśli. Ze mną komunikował się bez problemu, ale przy nauczycielach stawał się nerwowy, zaczynał się jąkać, gdy zadawali mu jakiegokolwiek pytanie. Na piśmie radził sobie niewiele lepiej – w edytorze tekstu dawał sobie radę, po części dzięki autokorekcie, ale gdy miał przelać myśli na papier, dysleksja za każdym razem podcinała mu skrzydła. Zdałem sobie sprawę, że nigdy nie omawialiśmy jego planów na przyszłość; gdy tylko zaczynałem o nie pytać, zmieniał temat.

Czy to możliwe, że cały czas wiedział, jak skończy? Czego jeszcze mi nie zdradził?

Przez głowę przemknęła mi dziwna myśl. Był przecież ktoś, kogo mogłem o to spytać.

Arcymag.

Ta, jasne. Pozbyłem się tej myśli, a potem zalogowałem się do *Mage Warfare* i na kilka godzin zatraciłem się w grze. Szło mi jak po maśle – zabiłem tylu ludzi, że przestałem liczyć gniewne wiadomości na czacie, które od nich otrzymywałem. Miałem wrażenie, że sami zagrzewają mnie do boju: im bardziej miesza mi błotem, tym lepiej sobie radziłem. Nie obchodziło mnie, czy dany gracz jest dobry czy zły. Jeśli wszedł mi w drogę, miał przechlapane. Tak mocno zaabsorbowało mnie zniszczenie, które siałem, że dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że brzęczenie okienka czatu nie ma związku z grą.

Arcymag\_Ged: Jak tam, tego?

To znowu się działo. Byłem pewny, że nie śpię – popiłem pizzę tak dużą ilością coli, że być może już nigdy nie będzie mi dane zmrużyć oka, mimo że nie zacząłem jeszcze rekompensować sobie braku snu. Spojrzałem na zegar: 1:43. Później, niż myślałem. Powinienem się wkrótce położyć.

Sam\_Goldsmith: Kimkolwiek jesteś, daj sobie spokój.

Arcymag\_Ged: Wiesz, kim jestem. Stęskniłeś się za mną?

Sam\_Goldsmith: Serio, przestań.

Mówiłem poważnie. Bez względu na to, jak bardzo chciałem

pogadać z Haydenem, nie wierzyłem, że to naprawdę on. Życie pośmiertne, w ramach którego ludzie powracają w wymyślonych przez siebie wcieleniach, po prostu nie istnieje. Nawet w świecie *Mage Warfare*.

Arcymag\_Ged: No co ty, impreza dopiero się rozkręca!

Impreza? Mój najlepszy przyjaciel nie żył, a ktoś próbował mnie wciągnąć w gadki na temat zabawy? Czysta podłość.

Sam\_Goldsmith: Wylogowuję się.

Czekałem jednak na przekór sobie, bo ciekawiło mnie, co tak naprawdę się dzieje.

Arcymag\_Ged: Słuchaj, mogę ci pomóc.

Pomóc? W czym? W pogodzeniu się z odejściem najlepszego przyjaciela? Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

Sam\_Goldsmith: Nie możesz nic dla mnie zrobić.

Arcymag\_Ged: Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, czego jestem w stanie dokonać. Nie żałujesz, że w pewnych sytuacjach nie postąpiłeś inaczej? Nie chciałbyś niczego zmienić?

Pewnie, że tak. Ale nie mogłem cofnąć czasu.

Sam\_Goldsmith: Nie mogę niczego zmienić. Już za późno.

Arcymag\_Ged: Nie dla wszystkich.

Sam\_Goldsmith: Co masz na myśli?

Kursor migotał, a ja czekałem, aż odpowie.

Arcymag\_Ged: Jeden z głowy, zostało jeszcze dwóch.

Co to miało znaczyć?

Przypomniało mi się, co Rachel opowiedziała o Jasonie Yoderze. Wyobraziłem sobie, jak bardzo musiał się bać, że jego orientacja wyjdzie na jaw, a nie dało się jej wyjawić w bardziej jednoznaczny sposób, niż przywiązując go nagiego do słupa przed gejowskim barem.

Może to tylko zbieg okoliczności.

Sam\_Goldsmith: Masz na myśli trio bydlaków?

Kursor po prostu migał i tak jak ostatnim razem, z moich głośników popłynęła piosenka z playlisty. Do tej pory konsekwentnie przeskakiwałem ten kawałek, bo nie mogłem znieść wspomnienia ostatniego razu, gdy go słyszałem. Zamknąłem iTunes, żeby uciszyć muzykę, ale jakimś cudem nie przestała grać.

Nie chciałem słuchać tej piosenki, ale najwyraźniej nie miałem wyboru.

\* \* \*

– Nie rozumiem, dlaczego nagle masz ochotę na imprezę – wyznałem.

Siedzieliśmy w pokoju Haydena, otoczeni akcesoriami z *Gwiezdných Wojen* pokrywającymi każdą ze ścian. Bez dwóch zdań nikomu nie przyszłoby do głowy, że mieszka tu dziewczyna.

– Przecież nie znosisz imprez. Wściekasz się za każdym razem, gdy próbuję cię na jakąś zaciągnąć.

– Dlatego właśnie jesteś mi to winny – stwierdził Hayden. – Skoro cię o to proszę, to musi to być dla mnie ważne, nie?

– Pewnie tak, ale nadal tego nie czaję.

– A co tu jest do czajenia? Bez przerwy powtarzasz, że powinniśmy spędzać więcej czasu z innymi ludźmi.

Jak zwykle nie byłem w stanie stwierdzić, czy mówi sarkastycznie, czy nie, i wkurzyło mnie to. Co było złego w sugestii, że nie jesteśmy jedynymi osobami w liceum Libertyville, z którymi warto się spotkać? Nie mówiąc już o tym, że niektóre z tych osób mogły okazać się dziewczynami.

– Ale tak... bez powodu? – dociekałem dalej.

– A kto powiedział, że nie ma powodu?

Uśmiechnął się z przekąsem i zrozumiałem, że nic mi nie zdradzi. Przez cały dzień bezskutecznie wierciłem mu dziurę w brzuchu. Ależ to było nieznośne.

– Słuchaj, nie musisz mi mówić wszystkiego, ale przecież mamy zamiar wypuścić się na terytorium wroga. Zazwyczaj tego typu okazje zasługują na jakieś wyjaśnienie.

Impreza miała odbyć się w domu Stephanie Caster należącej do ekipy Ryana. Nigdy przedtem nie byliśmy na żadnym z jej przyjęć; te nieliczne, na które się wybraliśmy, miały odrobinę mniej ekskluzywny charakter.

– Ryan gra dziś wieczorem mecz wyjazdowy, więc powinno być bezpiecznie.



– Nie takiego wyjaśnienia oczekiwałem i dobrze o tym wiesz – odparłem, wciąż wściekły.

– No cóż, czasem życie jest takie niesprawiedliwe.

Durny, tajemniczy, racjonalny Hayden.

– W tym idziesz? – spytałem.

Spojrzał na siebie.

– A co jest nie tak z moim ubraniem?

Tak naprawdę to nic. Dżinsy, trampki i koszulka Vampire Weekend. Prawdę mówiąc wyglądał dosyć fajnie – może nawet stracił trochę na wadze? Czyżby się odchudzał, a ja nie zauważyłem?

– Po prostu nie wiedziałem, że ich słuchasz. Nie za bardzo popowi jak na ciebie?

Hayden zazwyczaj lubił smutną, płacziwą muzykę. Vampire Weekend byli bardziej w moim stylu.

– Może mam dzisiaj radosny nastrój.

– Tak? No to gratulacje – odparłem.

Typowe: radosny nastrój ogarnął go dopiero teraz, chociaż nie wiadomo od jak dawna próbowałem go namówić na udział w imprezie z ludźmi, których moglibyśmy polubić. A teraz, gdy w końcu postanowił się wynurzyć z domu, byliśmy skazani na Stephanie Caster i jej klikę. Wiedziałem, że powinienem być wdzięczny, że stara się poszerzyć pole manewru, ale z jakiegoś powodu wnerwiało mnie to. Dlaczego to on zawsze miał ustalać warunki?

– Czemu się zachowujesz jak dupek? – Hayden nie miał w zwyczaju doprowadzać do konfrontacji. Musiał się mocno podekscytować wizją tej imprezy, skoro tak bardzo się na mnie wściekł.

– Wybacz, nie chciałem psuć ci krwi.

Przesiadłem się z jego łóżka na krzesło przy biurku i zacząłem przeglądać iTunes na jego wypasionym MacBooku.

– Chcesz, żeby było radośnie? To będzie.

Kliknąłem na kawałek *Diane Young*.

– Na cześć twojej koszulki – dodałem.

– Agresywna ta radość – zauważył Hayden.

– Tekst i tak jest dołujący. Stwierdzenie, że ktoś ma fart jak rodzina Kennedych jest dosyć bezwzględne.

– Będziemy przez cały wieczór gadać o tekstach piosenek? Lepiej już chodźmy.

\* \* \*

Nie.

Otrząsnąłem się z zamroczenia. Nie znajdowałem się na imprezie w towarzystwie Haydena, tylko w domu – siedziałem samotnie w swoim pokoju. I nie byłem jeszcze gotowy, żeby o tym wszystkim rozmyślać. Próbowałem zrestartować komputer, aby zatrzymać muzykę, ale nic to nie dało. Piosenka nadal grała, a jej bit – szybki jak seria z karabinu – odbijał się echem od ścian.

Upiorne. Zwłaszcza że kawałek był taki radosny. Zupełnie jakby ze mnie drwił.

Rozległo się piknięcie okienka czatu Google.

Arcymag\_Ged: Daj spokój, przecież wszystko pamiętasz.

Nie ma mowy. Nie teraz. Nie zniósłbym jeszcze jednej nieprzespanej nocy. Wszystkiemu winny był brak snu. To się nie działo naprawdę.

A jednak piosenka wciąż grała.

Znowu próbowałem zamknąć iTunes, wylogowałem się z czatu Google. Na próżno.

Miałem wrażenie, że muzyka robi się coraz głośniejsza. Co było niemożliwe.

Serce waliło mi jak młotem, a gdy spuściłem wzrok, dostrzegłem, że drżą mi dłonie. W końcu zatrzasnąłem pokrywę laptopa. Muzyka umilkła równie gwałtownie, jak zaczęła grać. Cisza, która nastąpiła, była wyraźnie słyszalna. I wystarczająco głośna, żeby nie dać mi zmrużyć oka, ale ja naprawdę musiałem się przespać.

Gdy się obróciłem, zobaczyłem, że ktoś siedzi na łóżku.

Otworzyłem usta, żeby wrzasnąć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Na łóżku siedział jakiś mężczyzna, młody, ale niezbyt przystojny, z długimi brązoworudymi włosami, których kolor prawie idealnie pasował do jego cery.

Arcymag\_Ged.

A przynajmniej ktoś, kto wyglądał dokładnie tak jak kupiona

przeze mnie figurka czarnoksiężnika. Zerknąłem na półkę, ale nie było jej tam.

To nie miało sensu. Zacząłem wpadać w panikę. Jak się dostał do mojego pokoju? To nie mogło działać się naprawdę.

– Kim jesteś? – spytałem w końcu, ale nic nie odpowiedział. Tylko na mnie patrzył. Potem powietrze wokół niego zaczęło drżeć, a w pokoju zrobiło się chłodno, jakby zrobił się przeciąg, chociaż okna były zamknięte. Mimo to oblałem się potem.

Zamknąłem oczy, czując, jak krew dudni mi w skroniach, jakby mózg próbował się przecisnąć przez uszy. To nie działało się naprawdę. Nie mogło.

Starąłem się kontrolować oddech, żeby nie wpaść w panikę. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Spokojnie. Musiałem znaleźć sposób na zracjonalizowanie sytuacji. Zgodnie z wizją Haydena Arcymag\_Ged był pełnym wigoru magikiem, olśniewającym Davidem Blainem z alternatywnej rzeczywistości. Jeśli naprawdę to on był Arcymagiem\_Gedem, czy nie taką właśnie postać bym ujrzał? Zawsze wyobrażałem go sobie raczej jako kogoś podobnego do Gandalfa: wysokiego starca z długimi siwymi włosami, odzianego w powłóczytą szatę. Gdyby chodziło o wytwór mojej wyobraźni, osoba na łóżku tak właśnie by wyglądała.

Trochę się uspokoiłem. Otworzyłem oczy.

Figurka stała na miejscu.

Po czarnoksiężniku nie było ani śladu.



## *Smells Like Teen Spirit*

### **Nirvana**

Pamiętaj, że wieczorem jest impreza. Przyjdź wcześniej.

Przez cały dzień gapilem się na SMS-a od Astrid. Naprawdę chciała, żebym się tam pojawił. Było piątkowe popołudnie i chociaż pamiętałem o imprezie, nie byłem pewny, czy wybranie się tam jest dobrym pomysłem.

Przez cały tydzień nie mogłem się otrząsnąć po sytuacji z Arcymagiem. Co tak naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru w moim pokoju? Byłem tak roztrzęsiony, że w ogóle nie spałem, a przez większość nocy, które nastąpiły od tamtej pory, próbowałem rozgryźć tę zagadkę. Czułem się jak zombie. Musiałem z kimś o tym pogadać, tyle że Astrid nie mogłem brać pod uwagę, a pozostałe znane mi osoby – mama, pan Beaumont, Jimmy – uznałyby mnie za czubka. Zresztą sam zaczynałem tak o sobie myśleć. Nie, musiałem wyrzucić to wszystko z głowy. Powinienem pewnie zostać w domu – zwłaszcza w świetle tego, co się stało, gdy ostatnim razem poszedłem na imprezę – ale może przydałaby mi się odrobina rozrywki.

Zakładanie, że na pewno idę, jest trochę aroganckie, nieprawdaż?

Przeczytałem wiadomość przed wysłaniem jej i zdałem sobie sprawę, że brzmi niegrzecznie, więc dodałem buźkę z uśmiechem puszczającą oczko w nadziei, iż to załatwi sprawę.

;) )

Dobra, dobra, idziesz. Zaufaj mi, dobrze ci to zrobi.

Jak mogłem się z tym spierać? Rozpocząłem przygotowania. Szorowałem zęby tak wiele razy, że aż zaczęły mi krwawić dziąsła, i przez przypadek nałożyłem na włosy za dużo żelu, więc musiałem

ponownie je umyć. Przez jakąś godzinę wpatrywałem się w wysuniętą szufladę z koszulkami, zanim zdecydowałem się na T-shirt z napisem: NAWET NIEZDARNE PODCHODY MIŁOSNE SĄ LEPSZE NIŻ MANEWRY WOJENNE. Mama wywróciła oczami, gdy ją kupiłem, ale pewnie uznała, że prawdopodobieństwo wykonywania przeze mnie którejkolwiek z tych dwóch czynności jest wystarczająco niskie. I pewnie miała rację. Przeczuwałem, że ta koszulka mogła przynieść więcej szkód niż korzyści, ale i tak ją lubiłem.

Na składance Haydena ciężko było o imprezowe kawałki, ale w obecnym stanie ducha nie potrafiłem słuchać niczego innego. Miałem wrażenie, że już nigdy nie będę mógł znieść tamtej piosenki Vampire Weekend, więc zamiast niej wybrałem numer, przy którym kiedyś szaleliśmy. Wydawał się rodzajem hołdu.

Tyle że zaostrzył on mój wewnętrzny konflikt związany z decyzją, czy powinienem wyjść z domu. Nie mogłem sobie wyobrazić, co na moim miejscu zrobiłby Hayden, bo sam nigdy nie pozwoliłbym mu znaleźć się w takiej sytuacji. A ja bym się w niej nie znalazł, gdyby on nadal żył. Konkluzja pełna goryczy i do bólu szczera.

Impreza miała być w mojej części miasta, co samo w sobie przemawiało na jej korzyść. Bogate dupki trzymały się swojej strony Libertyville i bez przerwy coś organizowały, bo ich rodzice często podróżowali.

– Trochę się denerwuję – wyznałem Astrid, gdy ta zadzwoniła, żeby przekazać mi szczegóły. – Nie byłem na wielu imprezach, a na tej ostatniej...

Nie byłem w stanie dokończyć zdania. Nie na głos.

– Tak, wiem – odparła. – Może wpadnę do ciebie i pójdziemy tam razem? Może to sprawi, że poczujesz się mniej nieswojo?

– Byłoby super – powiedziałem, z ulgą wypuszczając powietrze z płuc.

Sam miałem ochotę poprosić, abyśmy się wcześniej spotkali, ale się wstydziłem. Co tam niezdarne podchody miłosne – nie byłem zdolny nawet do podchodów w sferze przyjacielskiej!

– Eric nie będzie miał nic przeciwko?

– Skąd! Może nas potem odwieźć do domu.

Przez chwilę miałem nadzieję, że powie, iż zerwali, ale przypomniałem sobie, że Astrid to moja nowa przyjaciółka, a nie przyszła dziewczyna. Nawet jeśli ta druga opcja byłaby fajna. Albo nawet niesamowita.

Teraz musiałem tylko poczekać, aż się zjawi. Ze wszystkich nocnych zmian mamy ta była najgorsza, bo mama nie wyszła jeszcze nawet z domu.

– Fiu, fiu – powiedziała, mierzwiąc mi włosy.

– Przestań! – Wyrwałem się.

– Spokojnie, nadal wyglądają... Nie jestem pewna, jaki efekt chciałeś osiągnąć. Niedbały? O to chodziło?

– Nie są niedbałe, tylko nastroszone – odparłem.

– Skarbie, masz na to za długie włosy. Ale wyglądają super.

Naprawdę.

Wcale tak nie myślała, ale miałem to gdzieś.

– A teraz muszę się wcielić w rolę twojej rodzicielki. Gdzie ma być ta impreza? O której wrócisz do domu?

Wyrzuciła z siebie te pytania w maszynowym tempie, jakby żartowała, ale wiedziałem, że traktuje sytuację poważnie.

Nie rozumiałem, po co chce wiedzieć, skoro i tak przez całą noc nie będzie jej w domu, ale co tam. Podałem jej szczegóły, ucinając, że nie mam pojęcia, kto tam będzie, ani o której wrócę.

– Chcesz mnie sprowokować do wyznaczenia ci godziny policyjnej, tak?

– Byłabyś do tego zdolna?

Nigdy wcześniej tego nie robiła. Bo nie było takiej potrzeby.

– A powinnam?

Mama zmarszczyła brwi i położyła dłonie na biodrach.

Nie musiała tego robić – w miasteczku i tak obowiązywała godzina policyjna, którą wyznaczała północ, więc nie mógłbym wrócić później. Przypomniałem jej o tym.

– To powinno wystarczyć – przyznała. – Już po ósmej. Powinieneś się zbierać.

– Czekam na kogoś. – Psiakrew, poczułem, że się rumienię.

– Tak? – Mama sprawiała wrażenie podekscytowanej. –

Wspaniale! Na kogo?

– Yyy, na kogoś – odparłem.

– Kogoś płci żeńskiej, czy kogoś płci męskiej?

Wyglądała raczej na zaintrygowaną niż zatroskaną. Faktem było, że nigdy przedtem nawet nie wspomniałem przy niej o żadnej dziewczynie. Wiele lat wcześniej odbyliśmy rozmowę, podczas której spytałem ją, skąd się biorą dzieci, ale z tym skromnym wyjątkiem szerokim łukiem omijaliśmy tematy takie jak randki. No chyba żeby się ponabijać z adoratorów Rachel.

Zanim zdołałem wydusić z siebie odpowiedź, rozległ się dzwonek u drzwi. Rzuciłem się, żeby je otworzyć, ale mama stała bliżej, więc mnie uprzedziła.

– Cześć, jestem mamą Sama – powiedziała. – Możesz mówić do mnie Sarah. Jak masz na imię?

– Dobry wieczór, jestem Astrid. Miło panią poznać.

Nie sprawiała wrażenia wkurzonej spotkaniem z moją mamą, co było miłe. No i wyglądała fantastycznie – w rozpuszczonych platynowych włosach widać było srebrne, złote i brązowe pasemka, a do tego ubrana była w srebrną koszulkę i lśniące złotem spodnie.

– To przyjęcie kostiumowe? – spytała mama. – Bo jeśli tak, to Sam chyba za słabo się wystroił.

– Mamo! – wrzasnąłem, ale Astrid tylko się zaśmiała.

– Nie, to zwykła impreza. Po prostu miałam ochotę pójść na całość. Do szkoły bym się tak nie ubrała.

– Raczej nie – zgodziła się mama. Bacznie wsłuchiwałem się w ton jej głosu, ale brzmiała na rozbawioną. – No cóż, wyglądasz... olśniewająco.

– I o to chodziło – odparła Astrid, ponownie parskając śmiechem. – Sam, musimy już iść.

– Dobra. Na razie, mamo. – Modliłem się w myślach, żeby nie pocałowała mnie nie odchodne albo nie zrobiła czegoś równie irytującego.

– Bawcie się dobrze – powiedziała tylko. – I nie wyłączaj telefonu. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogę cię potrzebować.

Przewróciłem oczami i zamknąłem za sobą drzwi.



– Twoja mama jest bardzo fajna – stwierdziła Astrid.

– Chyba raczej męcząca – odparłem, chociaż wcale tak nie myślałem. – Co masz w torbie? – spytałem, wskazując na wypchany brązowy plecak.

– Piwko – poinformowała Astrid. – Nie będzie tam beczki, trzeba przynosić swoje.

Nawet mi to do głowy nie przyszło.

– Niczego ze sobą nie wziąłem – wyznałem przeproszającym tonem.

– Nie ma sprawy. Mam go tyle, że chętnie się podzielę. Zresztą sama dużo nie piję.

Moje barki gwałtownie opadły. Nie zdawałem sobie sprawy, że je napiąłem.

– Ja też nie.

– Kolejna rzecz, która nas łączy – powiedziała.

Albo oszalałem, albo ona ze mną flirtowała.

– Podoba mi się ta koszulka – dodała.

– Dzięki – powiedziałem, czując, że znowu się rumienię.

– Jeszcze nie skomentowałaś mojego stroju. Miałaś zamiar pozwolić, żeby mama odwaliła za ciebie całą robotę? Czy po prostu ci się nie podoba?

Wyglądała na zaniepokojoną. Czyżby naprawdę obchodziło ją to, co myślę?

– Nie, podoba, to znaczy, chciałem powiedzieć... – Weź się w garść, Sam. – Wyglądasz wspaniale. Naprawdę. Olśniewająco, jak ujęła to moja mama.

Uśmiechnęła się szeroko, a klejnocik w jej wardze załśnił w nikłym świetle. Była taka ładna i podobało mi się, że była to uroda nietypowa i nie każdy byłby w stanie ją dostrzec. To czyniło ją wyjątkową. Przynajmniej dla mnie.

Na ulicach było ciemno i cicho – ta część miasta nie obfitowała w latarnie. Impreza odbywała się niedaleko, więc nie musieliśmy dużo gadać, co mnie ucieszyło, bo byłem zbyt zajęty rozmyślaniami o tym, jak właściwie mam rozmawiać z Astrid. Przeszliśmy kilka przecznic, mijając po drodze blok, który, od kiedy sięgałem pamięcią, bezowocnie

próbowano przekształcić w apartamentowiec, oraz otwarty przez całą noc 7-Eleven, przed którym pewien Meksykanin sprzedawał z wózka najlepsze tamale, jakie kiedykolwiek jadłem, choć przecież żaden ze mnie ekspert w dziedzinie autentycznej kuchni meksykańskiej. Imprezę zorganizowano w okolicy wypełnionej domami takimi jak mój – niewielkimi zaniedbanymi budynkami jedno- lub dwurodzinnymi, w których zbyt wiele osób gnieździło się w zbyt ciasnej przestrzeni.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – oznajmiła Astrid, wskazując na dom stojący przecnicę dalej. Z rozkręconych na full głośników dolatywały dźwięki muzyki, którą lubiłem, i od razu byłem w stanie stwierdzić, że impreza bije na głowę wszystkie, na których się do tej pory pojawiłem, gdzie do tańca puszczano badziewny pop z radia.

Jednak gdy dotarliśmy do drzwi, ogarnęły mnie wątpliwości. Przypomniała mi się tamta noc, a w mojej głowie jednocześnie rozbrzmiały dźwięki piosenki Vampire Weekend i śmiech Haydena. Naprawdę byłem na to gotowy?

– No chodź – powiedziała Astrid, chwytając mnie za rękę.

Drzwi prowadziły prosto do salonu; dom miał podobny rozkład do mojego. Była to miła odmiana po wcześniejszych imprezach, podczas których wszystko wydawało mi się obce. Tutaj przynajmniej mogłem się poczuć jak u siebie. W pokoju roiło się od fanów indie, z którymi Astrid siedziała podczas lunchu – kilkoro miejscowych z mojej części miasta oraz parę artystowskich dzieciaków z South Branch. Emo z pofarbowanymi włosami i kolczykami, chudzi hipsterzy pokroju Erica. Poczułem, że może tam jednak pasuję. Było to dziwne, nieznane mi wcześniej uczucie.

Przeszliśmy przez salon do kuchni, gdzie Astrid wyjęła piwo z plecaka, odłożyła dla nas dwie butelki, a resztę upchnęła w lodówce. Znaleźliśmy otwieracz, podważyliśmy kapsle, a następnie stuknęliśmy się szkłem.

– Zdrówko – powiedziałem.

– Za udany wieczór – dodała Astrid.

Pociągnąłem długi łyk piwa i prawie je wyplułem, gdy tylko przypomniałem sobie, jak podły ma smak. Może pewnego dnia do niego przywyknę, ale wątpię, żeby to się stało niebawem.

– Chodźmy do ludzi – zaproponowała, po czym zaczęła popychać mnie przez tłum. – Tutaj jest ktoś, kogo możesz polubić. Sam, poznaj Damiana. Damian, to Sam. Poznajcie się. Zaraz wracam.

To rzekłszy, odeszła, witając się po drodze z różnymi osobami.

No pewnie, nie było w tym przecież nic niezręcznego. Zwłaszcza dla gościa, który nie potrafił się odezwać do nikogo w szkolnym autobusie. Przez chwilę wpatrywałem się w Damiana.

– Fajna broda – odezwałem się w końcu.

Nigdy wcześniej nie spotkałem licealisty, któremu udałoby się zapuścić tak gęsty i długi zarost.

– Dzięki, stary – odparł z uśmiechem, pociągając za brodę. – Pozbędę się większej jej części w Wąsopadzie.

– Wąsopadzie?

– Ogólnokrajowym Miesiącu Wąsów. Rozważam wygolenie się na Van Burena.

– Van Burena? – Czyżbym był zdolny jedynie do zadawania głupich pytań?

– No wiesz, tego prezydenta. Miał zakręcony zarost. Wielkie wąsiska, puszyste baki, bez brody. Panie będą zachwycone.

Damian uniósł boki brody, żeby pokazać miejsca, w których miały powstać masywne baki.

Z miejsca go polubiłem. Okazało się, że chodzi na dodatkowe zajęcia z pisania i sztuki, bo pracuje nad własną powieścią graficzną, zaczęliśmy więc porównywać komiksową i serialową wersję *Żywych trupów*. Był to ten rodzaj rozmowy, jakie wcześniej prowadziłem z Haydenem, co jednocześnie przepełniło mnie radością i poczuciem samotności. Wcale nie próbowałem go nikim zastąpić, prawda? Gadaliśmy tak długo, że zdążyłem wlać w siebie jeszcze kilka piw, które stopniowo zaczęły tracić na goryczy.

Poczułem, że ktoś trąca mnie w lewe ramię, ale gdy się obróciłem, nikogo tam nie było. Z prawej strony za to dobiegł mnie śmiech Astrid.

– Nadal się na to nabierasz? Fajnie, że się zakolegowaliście.

– Miło cię było poznać, Sam – powiedział Damian. – To co, do zobaczenia w szkole?

– Pewnie – odparłem i odwróciłem się do Astrid. – Masz rację

w obu tych kwestiach. On jest bardzo fajny, a ja bardzo naiwny. I chyba trochę podchmielony.

Była to prawda. Czułem się rozluźniony. Prawdopodobnie o taki efekt chodziło – prawie zaczynałem rozumieć, dlaczego ludzie chodzą na imprezy. A przynajmniej w jakim celu tolerują smak piwa.

– Po jednym piwie? Nie kłamałeś, mówiąc, że niedużo pijesz. Masz tu kolejne.

Podawała mi butelkę.

– Wypiłem trzy. I nie mam w zwyczaju kłamać. – Co w większości przypadków było prawdą.

Podeszliśmy do kanapy, która dzięki Bogu stała wolna, i klapnęliśmy na nią. Pamiętała lepsze czasy, a siedzisko zapadało się tak mocno, że musiałem się powstrzymać przed rozłożeniem na kolanach Astrid.

– Nie masz w zwyczaju kłamać, tak? – powtórzyła. – W takim razie na każde pytanie, które ci zadam, udzielisz szczerą odpowiedź?

Jej siedzisko także musiało się zapadać, bo przysuwała się do mnie coraz bliżej.

– Tego nie powiedziałem. A ty? Jesteś kłamczuchą? – Chciałem, żeby zabrzmiało to jak flirt, ale wyszło trochę zbyt dosadnie.

Myślałem, że się obrazi, ale zamiast tego spuściła oczy. Srebrno-złoty cień do powiek idealnie pasował do jej stroju. Nawet rzęsy pokryte miała złotym tuszem.

– Zdarzało mi się opowiadać drobne kłamstewka. Staram się unikać poważnych kłamstw, ale czasem udaje się po prostu wymigać od udzielenia odpowiedzi. Może mnie sprawdzisz? Zadaj mi jakieś pytanie.

Dawała mi szansę. Siedzieliśmy tak blisko siebie, że nasze nogi stykały się ze sobą.

– Opowiedz, jak poznałaś Haydena.

Usiadła prosto i przesunęła się na własne siedzisko. Zupełnie jakby między nami opadła niewidzialna kurtyna. Jej dłoń podążyła ku głowie, gdzie zaczęła się bawić lśniąco pasemkami włosów, i zrozumiałem, że Astrid robi tak, gdy się denerwuje.

– Nie chcesz mi tego wyjawić? – spytałem. – To tyle, jeśli chodzi o unikanie kłamstw.

– Nie o to chodzi – powiedziała. – Po prostu chcę, żebyś dobrze się tu bawił, chcę odwrócić twoją uwagę od smutnych kwestii. Chcę, żebyś nie myślał tyle o Haydenie.

– O nikim innym ostatnio nie myślę – przyznałem, co stanowiło tylko częściowe kłamstwo. Bo myślałem też o niej. I to dużo. – Ale jak nie chcesz powiedzieć, to nie.

– Kiedyś powiem.

Westchnęła i widziałem, że myśli o dniu, w którym będzie musiała to zrobić. Maskę śmiałej, pewnej siebie Astrid lekko się zsunęła, a spod niej wyjrzał ktoś zaniepokojony, nerwowy. Ktoś taki jak ja.

– Pewnego dnia, obiecuję. Ale dziś wieczorem po prostu się bawmy, okej?

Przysunęła się do mnie, a w pokoju nagle zapadła cisza, zupełnie jakby cała impreza zdała sobie sprawę, że zaraz wydarzy się coś ważnego.

I niestety tak właśnie było.

– Co słychać, frajerze?

Trevor.



*One Step Closer***Linkin Park**

Pochylał się nad kanapą, wielki i groźny. Odsunąłem się jeszcze dalej od Astrid, która była wyraźnie wściekła, po czym wstałem. Oczywiście, że pojawił się właśnie teraz, zaraz po tym, jak ogarnęło mnie wrażenie, że coś się kroi, chociaż nie wiedziałem co.

– Co ty tu robisz? – spytała Astrid, mrużąc oczy.

– Nie wtrącaj się, Alison – odparł Trevor.

Alison?

– Nie nazywaj mnie tak – powiedziała.

Co on wygadywał? I co w ogóle tutaj robił? To nie była impreza w jego stylu.

– Przegiąłeś pałę na pogrzebie, ty mały gnoju – oznajmił Trevor, popychając mnie z powrotem na kanapę.

Starąłem się nie młócić rękami, zrywając się na równe nogi z zasysającego mnie siedziska, ale nie dało się tego dokonać z gracją.

– Wdarłeś się więc na imprezę, żeby wszcząć ze mną bójkę? Tak chcesz to rozwiązać?

Poczułem, że ogarnia mnie wściekłość. Koleś uczynił życie Haydena nieznośnym, a teraz miał czelność wypominać mi zachowanie na jego pogrzebie? Serio?

– Spójrz tylko na siebie – jesteś olbrzymem. Nawet byś nie poczuł, gdybym ci przywalił. Naprawdę tak bardzo zależy ci na obronie czci Haydena, chłopaka, którego życie pomogłeś zamienić w piekło? Gdyby nie ty, pogrzeb nie byłby potrzebny!

Wrzeszczenie na niego sprawiło, że poczułem się lepiej. Prawie nie zauważyłem, że wokół nas zebrał się tłumek gapiów. Byłem ciekawy, co

by zrobili, gdyby Trevor naprawdę postanowił się na mnie rzucić.

– I kto to mówi? – spytał. – Chcesz zrzucić na mnie całą winę? Widziałem cię na tamtej imprezie, stałeś jak kołek i patrzyłeś na to, co się działo. No co, próbowałeś mu pomóc? Taki z ciebie bohater? Ja przynajmniej jestem tu w obronie przyjaciela.

– No cóż, twój przyjaciel świetnie radzi sobie sam. Zwłaszcza teraz, gdy irytujący braciszek nie będzie mu psuł reputacji w szkole. Pewnie skacze z radości.

Czyżbym się starał sprowokować Trevora? Nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo jego pięść weszła w kontakt z moim policzkiem. Było to takie uczucie, jakby moja twarz przemieniła się w piłkę do baseballu, którą ktoś wybił poza boisko. Upadek na kanapę zajął mi pewnie moment, ale miałem wrażenie, że trwa to wieki.

– Popisałeś się, Trevor, a teraz stąd spieprzaj. – Usłyszałem głos Astrid, a potem poczułem, jak zapada się kanapa, gdy usiadła obok mnie. – Nic ci nie jest, Sam?

Pokręciłem głową, ale możliwe, że skłamałem. Nie potrafiłem stwierdzić, czy kręciło mi się w głowie w wyniku uderzenia, wypitych piw czy z braku snu; w każdym razie wstanie nie stanowiło na razie wykonalnej opcji.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem – oświadczył Trevor.

– Teraz będziesz mi wygrażał przy wszystkich? – spytałem, ale on już odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Próbowałem się podnieść i pójść za nim, ale Astrid powstrzymała mnie, kładąc mi dłoń na udzie, i poczułem wdzięczność – nadal nie byłem pewny, czy udałoby mi się wstać i z miejsca się nie przewrócić.

– Niech idzie – powiedziała. – Pewnego dnia mu oddasz. Zemsta poczeka.

– Z przyjemnością chociaż raz bym mu przyłożył. Nawet jeśli nic dobrego by z tego nie wyniknęło.

– Nie ma potrzeby, żebyś zachowywał się jak jakiś tępak – powiedziała, wyglądając na wkurzoną. – Sądziłam, że jesteś ponad to.

Do tej pory też tak myślałem. Jednak teraz ogarnęły mnie wątpliwości.

– Zazwyczaj się tak nie zachowuję, słowo – zapewniłem. –



Pamiętasz, jak mówiłem, że nie kłamię?

Skinęła głową.

– Udowodnię ci to.

Nigdy wcześniej nie przyznałem tego na głos, ale teraz przyszła właściwa pora.

– Oni byli na imprezie zorganizowanej w wieczór, kiedy Hayden... no wiesz. Byli dla niego okropni, jak zwykle zresztą. Tyle że jeszcze bardziej. A ja stałem jak kołek, jak określił to Trevor. I nawet nie kiwnąłem palcem. Jak zwykle. Co oznacza, że to wszystko moja wina. Nastrój poprawia mi tylko obwinianie ich. Wiem, że stawianie się Trevorowi to megahipokryzja, skoro nigdy nie stanąłem w obronie Haydena, ale chyba lepiej późno niż wcale.

Spojrzenie Astrid trochę złagodniało.

– Sam, wiesz, że to wcale nie jest twoja wina, prawda?

– Dlaczego tak twierdzisz? – spytałem.

– Opowiedz mi, co dokładnie się wtedy wydarzyło – poprosiła, zamiast odpowiedzieć.

\* \* \*

Stephanie Caster mieszkała zaledwie kilka przecznic od Haydena, w domu, który wyglądał jak żywcem wyjęty z filmu. Połowa ścian zrobiona była ze szkła, a wszystko inne było czarne, białe lub metaliczne. Pełne płaskich powierzchni. Jak na ironię Stephanie była najmniej płaską dziewczyną w liceum Libertyville. Bejsbolowa czirliderka o niesamowitym ciele, którego krągłości występowały we wszystkich stosownych miejscach, wymiałała w gimnastyce do momentu, gdy jej ciało zaczęło się zmieniać. Nigdy nie widziałem osoby o bardziej ponętnych kształtach, a jednak Stephanie mieszkała w domu, w którym wszystko było proste. Czy tam prostopadłe. Wszystko jedno.

– Co za dziwaczne miejsce – mruknąłem do Haydena, ale ten nie słuchał. Omiatał wzrokiem tłum wypełniający salon. Szukał kogoś? Paczki jego brata miało tu nie być i był to jedyny powód, dla którego zgodziłem się przyjść. Starąłem się nie denerwować tym, że mnie ignoruje – w końcu to ja nalegałem, abyśmy częściej wychodzili z domu, więc powinienem się cieszyć, że w końcu nabrał chęci, nie? Narastała

we mnie frustracja wywołana naszą izolacją i chociaż ciężko byłoby stwierdzić, że zaczynamy się od siebie oddalać, Hayden coraz więcej czasu spędzał przed komputerem, podczas gdy ja miałem ochotę bawić się wraz z resztą świata. W ciągu ostatnich kilku tygodni nieprzerwanie chciałem siedzieć w domu i grać w *Mage Warfare* i zdałem sobie sprawę, że mam tylko jego. Nie mogłem zadzwonić do nikogo innego, z nikim innym nie dzieliłem zainteresowań. Prawda była taka, że czułem się samotny.

Teraz znajdowałem się jednak na imprezie, a Hayden polazł gdzieś, żeby załatwić coś, co sobie zaplanował, i naprawdę zostałem sam, mimo że byłem w pomieszczeniu pełnym ludzi. Nie o to mi chodziło, oj, nie o to.

Beczka z piwem stała na tyłach salonu, napełniłem więc kubek z czerwonego plastiku prawie samą pianą i zacząłem się rozglądać za kimś, z kim mógłbym pogadać. Tłum składał się jednak głównie ze szkolnych koszykarzy i lekkoatletów. Nie było tu futbolistów i ich klik, ale brakowało też artystowskich dzieciaków, które czasem pojawiały się na imprezach, w których udział rozważałem. Widziałem kilka dziewczyn ze szkoły, ale te ładne przyszły ze swoimi chłopakami. Pojawienie się tu było pomyłką. Przynajmniej nauczyłem się, że imprezy same w sobie nie stanowią rozwiązania. Chciałem wracać do domu. Przez chwilę siorbałem pianę, wypatrując Haydena, ale nigdzie nie było go widać.

Nagle dobiegł mnie jego głos. Krzyczał. Z początku krzyk tłumiła okropna muzyka taneczna rycząca z zestawu stereo, a wrzaski dobiegały z piętra, więc byłem w stanie tylko rozpoznać, że to Hayden. Wkurzony jak diabli.

Przesunąłem się bliżej schodów, zastanawiając się, czy powinienem wejść na górę, żeby go odszukać. Potem usłyszałem więcej znajomych głosów. Co tam robiło trio bydlaków? Złapałem za ramię jakiegoś gościa i spytałem, czy mecz futbolowy został odwołany.

– Druga drużyna przegrała walkowerem – wyjaśnił. – Ci kolesie siedzą na górze już od paru godzin i są nieźle nawaleni.

O, nie. Nie, nie, nie.

– To nieprawda! Nie ma mowy! – Usłyszałem krzyk Haydena.

– Dowód jest tutaj – odpowiedział Ryan. – Spójrz.

– Nie!

– Nie trzeba było tu przyłazić – oznajmił Trevor, a ja zdałem sobie sprawę, że mówi nie tylko do Haydena, ale i do mnie, bo trio bydlaków schodziło właśnie ze schodów. Przed nim szedł Hayden, którego Trevor trzymał za kołnierzyk koszulki.

– Co jest grane? – spytałem, starając się nadać głosowi mężny ton, ale w rzeczywistości byłem przerażony. Ten gość mógł mi skopać tyłek, nawet nie wypuszczając Haydena z uścisku.

– Nie twoja sprawa – odparł Ryan.

Hayden spojrzał mi prosto w oczy. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. Nie wiedziałem, co robić. Czyżby oczekiwał, że stawię im czoła? Ryan tłukł Haydena, od kiedy byli dziećmi, i mimo krępej budowy ciała – był niski, tak jak Hayden, ale bardziej krzepki – choć i tak najdrobniejszy z całej trójki.

– Zjeżdżajcie stąd – powiedział do nas Ryan. – Nie macie tu czego szukać.

Po tych słowach Trevor jeszcze mocniej chwycił Haydena za kołnierz, który zaczynał się już pruć, a następnie uniósł go w powietrze. Widziałem, jak szwy koszulki zaczynają pękać. Ryan stał i patrzył na to bez słowa.

A potem Trevor puścił Haydena.

To nie byłoby nic takiego, gdyby nie to, że a) nie zeszli jeszcze ze schodów i b) stałem na samym dole. Hayden stracił równowagę, lądując między dwoma stopniami, po czym stoczył się i uderzył mnie łokciem w kolano, przez co obaj poleciliśmy na podłogę. Usłyszałem, jak głowa Haydena uderza z łoskotem o drewno i przez chwilę bałem się, że coś sobie zrobił.

W pokoju zapadła kompletna cisza. Ktoś wyłączył muzykę, a gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że wszyscy na nas patrzą. Z początku ludzie mieli zszokowane miny, chociaż nikt nie popędził nam na ratunek. Jednak gdy wstałem i stwierdziłem, że Hayden jest przytomny, rozległ się chichot. Najpierw chichrało się tylko kilka dziewczyn, potem dołączyło do nich paru chłopaków, a wkrótce wszyscy ryczeli już ze śmiechu.

\* \* \*

Umilkłem. Nie byłem jeszcze gotowy do omawiania dalszego ciągu.

Gdy przestałem mówić, Astrid chwilę odczekała, po czym wyciągnęła rękę nad kanapą i położyła dłoń na mojej dłoni. Czułem się do tego stopnia wycieńczony opowieścią o tamtej imprezie, że jej dotyk sprawił mi ulgę – skoro mnie dotykała, skoro mnie wysłuchała, znaczyło to, że nie uważa mnie za najgorszą osobę na świecie. Nawet jeśli sam nadal tak o sobie myślałem.

– To, co się wydarzyło, było straszne, ale wina nie leży po twojej stronie – powiedziała.

– Łatwo ci mówić.

Zresztą co ona tam wiedziała. Miło, że tak twierdzi, ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że to nieprawda.

– Nie rozumiesz. Nie powtarzam tego ot tak, ja to wiem.

Zmarszczyła brwi, ale miałem wrażenie, że nie jestem obiektem jej dezaprobaty.

– Super, teraz będziesz zachowywać się równie skrycie, jak Hayden. Myślisz, że możesz sprawić, żeby moje poczucie winy po prostu rozplynęło się w powietrzu?

Odsunąłem się od niej i wstałem. Niepotrzebnie próbowałem jej to wytłumaczyć. Skąd właściwie wziąłem pomysł, że wszystko zrozumie?

Dostrzegłem idącego w naszym kierunku Erica. A ten kiedy się tu zjawiał?

– Już prawie północ – poinformował Astrid. – Musimy spadać.

Spojrzał na mnie. Przystojniak w obcisłych portkach, z idealnie ułożonymi włosami.

– Hej, Sam, fajnie cię widzieć. Podrzucić cię na chatę? Jestem samochodem.

Do tego był miły. Z przykrością stwierdziłem, że doskonale rozumiem, co mogło jej się w nim podobać.

– Chodź z nami, Sam – powiedziała Astrid. – To był długi wieczór.

– Dzięki, ale wolę się przejść – odparłem. – Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Nie mówiąc już nic więcej, wstałem, na tyle zgrabnie, na ile

pozwalala ta durna kanapa. Jutro bede chcial sie dowiedziec, skad wzieła tę pewnośc, że to nie moja wina, ale na razie musiałem radzić sobie ze świadomością, że opowiedziałem jej o tamtej imprezie. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę o niej rozmawiać, przez cały tydzień przecież robiłem wszystko, żeby o niej nie myśleć. A teraz mogłem w końcu przestać, choć nie opisałem jeszcze Astrid najgorszej części. Potrzebowałem samotności. Poczekałem, aż Astrid i Eric wyjdą, a potem ruszyłem w kierunku drzwi.

Przy wyjściu zaczepił mnie Damian.

– Spadasz już? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– Strzelisz jednego na drogę? – Podał mi piersiówkę.

A cholera, czemu nie. Cokolwiek było w środku, pięknie pachniało, ale smak był do dupy. W moim gardle zapłonął żywy ogień i miałem wrażenie, że alkohol potęguje działanie całego piwa, które w siebie wlałem. Lekko zakręciło mi się w głowie.

– W porządku? – spytał Damian.

– Jak najbardziej – odparłem.

Chyba jednak byłem nałogowym łgarzem.

– To do zobaczyska – powiedział.

Gdy otworzyłem drzwi, uderzyło mnie zimne powietrze –temperatura wyraźnie spadała. Poczulem się cudownie, chociaż tamten łyk alkoholu uderzył mi do głowy. Jak na ironię, jeszcze tydzień temu sądziłem, że nie potrafię poznawać ludzi na imprezach, a przed chwilą wyszedłem z przyjęcia, na którym być może udało mi się z kimś zaprzyjaźnić. Czyli miałem rację, ale już nigdy nie będę miał możliwości wytknąć tego Haydenowi. Zabawne. Wręcz komiczne. Zacząłem rechotać, a potem zorientowałem się, że jest mi przeraźliwie zimno. Spojrzałem na pokryte gęsią skórka ramiona. Byłem w stanie dojrzeć moją skórę, a to oznaczało, że nie miałem na sobie bluzy. Cholera – zostawiłem ją na imprezie, razem z portfelem i komórką. Nie miałem pojęcia, która jest godzina i coraz bardziej kręciło mi się w głowie. Wiedziałem, że powinienem wrócić na przyjęcie, ale miałem wrażenie, że nie zdołam tam dojść. Byłem koszmarnie zmęczony. I doszedłem właśnie do 7-Eleven, przed którym stała ławka. Postanowiłem, że

przysiędę tylko na momencik. A potem wrócę na imprezę.



## *The Mariner's Revenge Song*

### **The Decemberists**

Dotyk dłoni na moim barku był łagodny, za to głos brzmiał srogo.

– Wstawaj, zasrańcu. Nie jesteś, kurwa, w swojej sypialni.

Otworzyłem oczy. Nade mną stał wściekły wąsаты mężczyzna w koszuli na guziki z logo 7-Eleven. Jego twarz obramowana była różowopomarańczowym blaskiem niezwykle pięknego wschodu słońca.

Wschodu słońca?

Jasna cholera.

Odrąciłem dłoń mężczyzny. Koleś musiał przyjść na poranną zmianę. To oraz wschód słońca wskazywały, że jest około szóstej rano. Mama miała wrócić do domu o siódmej. Musiałem lecieć.

– Daj mi pan spokój – powiedziałem do faceta, zrywając się na nogi.

Bolało mnie całe ciało, a prostując się, usłyszałem, jak strzyka mi w plecach. Gdy tylko do końca się obudziłem, zdałem sobie sprawę, że a) Trevor nabił mi pięścią porządne limo, b) pękała mi głowa oraz c) szanse na to, że zaraz rzygnę, wynoszą jakieś pięćdziesiąt pięć procent. Wyglądało na to, że rozkoszowałem się pierwszym w życiu kacem.

– Żebyś cię tu więcej nie widział! – krzyknął jeszcze za mną sprzedawca 7-Eleven, gdy ruszyłem po rzeczy zostawione na imprezie.

Nieważne, za dziesięć minut facet i tak nie będzie pamiętał, jak wyglądał. Martwiłem się nie nim, tylko tym, czy uda mi się wrócić do domu, w którym odbywała się impreza, nie puszczając po drodze pawia. Strasznie chciało mi się też sikać. Słyszałem kiedyś, że opatrność czuwa nad pijakami i głupcami, a z racji tego, że właśnie poczułem się członkiem obu tych grup, doszedłem do wniosku, że mogę liczyć na fart.



Dobry los przybrał formę kępy krzaków na tyle dużych, by można było w nie zanurkować i rozwiązać oba problemy. Nadal czułem się jak psu z gardła wyjęty, ale odnotowałem pewną poprawę.

Impreza musiała trwać jeszcze długo po nastaniu godziny policyjnej, bo gdy doszedłem na miejsce, drzwi były uchylone, a na podłodze salonu leżeli ludzie. Podreptałem tak cicho, jak tylko się dało, do pokoju na piętrze, w którym na łóżku zostawiłem swoje rzeczy. Spały na nich dwie osoby w stanie połowicznego negliżu, ale udało mi się wszystko spod nich wyciągnąć, nie budząc ich, co właściwie zakrawało na cud.

Wymknąłem się tą samą drogą, którą wszedłem, i gdy tylko opuściłem dom, wciągnąłem na siebie bluzę. Komórka i portfel tkwiły na swoich miejscach w kieszeniach, sprawdziłem więc, która godzina, żeby upewnić się, czy zdążę do domu przed mamą. Była dopiero 6:20, czyli nie tak źle. Chwileczkę, siedem SMS-ów? To chyba jakaś pomyłka.

Przeglądałem wiadomości, idąc do domu. Wszystkie były od Astrid.

Gdzie jesteś? Odpisz.

Od trzeciej rano, co pół godziny. Ta sama treść, ale z każdym SMS-em wyczuwało się rosnący niepokój. Musiało wydarzyć się coś złego. Ostatnia wiadomość została wysłana niecałe pół godziny temu, postanowiłem więc spróbować.

Nie śpisz?

A gdy tylko wróciłem do domu i poszedłem po schodach do swojego pokoju, napisałem jeszcze:

Wszystko w porządku?

Nie upłynęła nawet minuta, zanim zadzwonił telefon.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała Astrid wściekłym szeptem. Musiała być w domu.

Byłem zbyt zawstydzony, żeby przyznać się do nocowania na ławce przed 7-Eleven.

– Uderzyłem w kimono od razu po powrocie do domu – skłamałem. – Wyciszyłem telefon. Zobaczyłem twoje SMS-y, gdy wstałem, żeby pójść do łazienki.

– Dzięki Bogu – powiedziała.

- Czemu? Coś się stało?
- Nie zaglądałeś jeszcze na Facebooka, co?
- Nie. Nawet nie wstałem z łóżka.

Co było prawdą, tyle że jeszcze się w nim nie położyłem.

Najwyraźniej nie zorientowała się, że nie było mnie na Facebooku. Nie potrzebowałem potwierdzać znikomej liczby posiadanych przeze mnie znajomych.

– No cóż, lepiej wkrótce tam zajrzyj – poradziła Astrid. – Zeszłej nocy ktoś spuścił wpierdol Trevorowi.

Mój żołądek zrobił fikołka.

– Co takiego? – spytałem.

– Policjanci znaleźli go rano w bocznej uliczce. Ma wstrząśnienie mózgu i dwa złamane żebra. Wygląda na to, że ktoś potraktował go bejsbolem.

Brzmiała niemalże na podekscytowaną, ale to pewnie rezultat nieprzespanej nocy.

– Nic mu nie będzie?

Chciałem, żeby spotkała go zasłużona kara, ale nie taka. Tylko dlatego, że był dupkiem, nie powinno się go przerabiać na miazgę.

– Tak, wyliże się, ale do końca roku musi się pożegnać ze sportem. A może nawet do końca przyszłego roku, gdy już będzie w college’u.

– Nie rozumiem, jak to się mogło stać – wyznałem. – Gdzie byli Jason i Ryan?

– Nikt nie wie – odparła Astrid. – Tak naprawdę nikt niczego nie wie. Jason nadal się ukrywa po tym, co stało się przed Blue Star, a rodzice Ryana są podobno w tak kiepskim stanie, że chłopak od wiesz-czego nie wychodzi z domu. Zeszłej nocy Trevor był sam. Gdy jego rodzice zorientowali się, że nie wrócił do domu, poprosili policjantów, żeby go poszukali.

– Myślałem, że gliniarze wkraczają do akcji dopiero po dwóch dniach od momentu zaginięcia.

– We wschodniej części miasta to działa trochę inaczej – poinformowała Astrid.

Zauważyłem, że nie używa sformułowań takich, jak „w ich części miasta” czy „w naszej części miasta” i uświadomiłem sobie, że nie mam

pojęcia, gdzie właściwie mieszka. Teraz jednak nie była stosowna pora, żeby o to pytać.

– Złapali tego, kto to zrobił? – spytałem.

Zawahała się.

– O to właśnie chodzi – powiedziała w końcu. – Trevor twierdzi, że ktoś trzasnął go od tyłu w głowę i nic więcej nie pamięta. Nikogo nie widział. Ale kilka osób napisało na Facebooku...

– No co?

Usłyszałem, jak robi głęboki wdech.

– Ludzie utrzymują, że to byłeś ty.

Zakreśliło mi się w głowie.

– Ja? Dlaczego?

– Wszyscy na imprezie widzieli waszą przepychankę i słyszeli, jak mu groziłeś. Uznali, że poszedłeś do domu po kij bejsbolowy, bo nie dałbyś rady Trevorowi bez broni.

No to tyle, jeśli chodzi o potencjalne nowe przyjaźnie. Wszyscy uważali mnie za żadnego zemsty psychologa.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – zaprzeczyłem. – Wiesz o tym, prawda? Proszę, powiedz, że o tym wiesz.

– Oczywiście – potwierdziła. – Dlatego właśnie chciałam cię znaleźć, żebyś usłyszał o tym ode mnie, ale nie od kogoś, kto myśli, że to ty. Poza tym, z tego, co mówił Trevor, wszystko wydarzyło się po północy, a ty już wtedy wyszedłeś z imprezy. Mówiłam ludziom, że poszedłeś prosto do domu.

– Tak. Do domu.

Jakby mało mi było zmartwień, musiałem się jeszcze przejmować poczuciem winy wywołanym wygłaszanymi przeze mnie kłamstwami.

– Chciałam się tylko upewnić, że nic ci nie jest – powiedziała. – Muszę iść spać, padam z nóg.

– Jasne. Pogadamy niedługo.

Gdy się rozłączyłem, mój żołądek stanął dęba. Miałem nadzieję, że nie będę już wymiotować. Tak naprawdę nie wiedziałem, gdzie się znajdowałem, gdy Trevor został zaatakowany. Zakładałem, że spałem na ławce, bo ostatnią rzeczą, którą pamiętałem sprzed przebudzenia, było siadanie na niej. Wniosek, że spędziłem tam całą noc, wydawał się

logiczny.

Co jednak, jeśli wcale tak nie było?

Nigdy wcześniej nie wściekłem się na nikogo równie mocno, jak wtedy na Trevora. Podczas imprezy chciałem, żeby spotkało go coś złego, i najlepiej, żeby z mojej strony. Kto wie, może to jednak ja go pobitem w ataku ślepej pijackiej furii? Czy nie dlatego właśnie picie alkoholu uważano za coś niewłaściwego? Czyżby w końcu puściły mi hamulce i straciłem nad sobą panowanie, tak jak postać z piosenki znajdującej się na składance Haydena?

Usłyszałem piknięcie wyskakującego okienka czatu Google. Zwlokłem się z łóżka i podszedłem do komputera.

Arcymag\_Ged: Dwóch z głowy.

Z początku nie wiedziałem, o co chodzi Arcymagowi\_Gedowi. Byłem tak zmęczony, że z trudem mogłem się skupić, i wciąż kręciło mi się w głowie od alkoholu. Wtedy jednak przypomniałem sobie jego słowa po tym, jak Rachel opowiedziała mi o Jasonie: „Jeden z głowy, zostało jeszcze dwóch”.

Czyżby mówił o triu bydlaków?

To tylko nasunęło mi na myśl kolejne pytania. Na przykład: skąd Arcymag\_Ged wiedział, że oba ataki są ze sobą powiązane? Nie tylko tak utrzymywał, ale i chlubił się ich przeprowadzeniem. Jednak skoro nie był prawdziwy – bez względu na to, czy był duchem mojego najlepszego przyjaciela, czy halucynacją – oznaczało to nie tylko, że oszalałem, lecz również, że on nie mógł szwendać się po mieście i bić ludzi. Jednego byłem pewien: nie chodziło o zwykłe wkręcanie mnie. Sprawy zaszły za daleko.

Gdyby tylko tak bardzo nie kręciło mi się w głowie – rozgryzienie tego na trzeźwo i tak byłoby wystarczająco trudne. Musiałem jednak spróbować. No dobra, skoro Arcymag\_Ged odliczał, oznaczało to, że Ryan będzie następny. W normalnych warunkach zbytnio bym się tym nie przejął. Upokorzenie Jasona raczej mnie nie poruszyło, chociaż przymusowe ujawnienie kogoś jako geja nie było fair. Wieść o ranach odniesionych przez Trevora dosyć mną wstrząsnęła, ale świadomość tego, że ktoś inny nienawidzi go równie mocno, jak ja, nie wywoływała u mnie rozpaczy. Myśl o tym, że Ryana może spotkać coś złego,

wydawała się prawie na miejscu, zważywszy na fakt, iż uważałem go za osobę w najwyższym stopniu odpowiedzialną za śmierć Haydena. Zaraz po mnie, rzecz jasna.

W rozmowie z panem Beaumontem stwierdziłem, że decyzja o tym, kto powinien ponieść karę za śmierć Haydena, nie należy do mnie, i chyba rzeczywiście tak myślałem. W moim odczuciu problem polegał jednak na tym, że tylko dwie osoby uważały ową trójkę za źródło większości problemów, a jedna z nich już nie żyła.

Czyżby Arcymag\_Ged próbował mi powiedzieć, że ja to zrobiłem?

Brakowało mi dobrego alibi w przypadku obu ataków. Gdy napadnięto Jasona, gadałem na czacie z Arcymagiem, który tak naprawdę nie istniał, a zeszłą noc spędziłem nieprzytomny na ławce przed 7-Eleven. Byłem też cały w siniakach – Jason pchnął mnie na ławę na pogrzebie, Trevor przygrzał mi w twarz, kto wie, co jeszcze? Czy naprawdę mogłem mieć pewność, że moje ciało było obolałe w wyniku wydarzeń, które pamiętam? Czy to możliwe, że napadłem na Jasona, Trevora albo na nich obu? I że się bronili?

Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, a jednak dopuszczałem myśl, że to możliwe. Bez wątpienia o wiele bardziej możliwe niż to, że za wszystko odpowiadał Arcymag\_Ged. Czułem się skołowany.

Po raz kolejny musiałem się obyć bez snu, bo nie było mowy, żebym mógł teraz wrócić do łóżka. Nerwy miałem w strzępach; musiałem coś zrobić. Playlista Haydena miała dostarczyć mi odpowiedzi, otworzyłem ją więc na komputerze i po raz kolejny zacząłem przeglądać piosenki.

Hayden umieścił na niej poetycki utwór grupy The Decemberists, mojego ulubionego zespołu. Przypomniało mi się, jak po raz pierwszy wybraliśmy się sami do centrum handlowego. Mieliśmy po jedenaście lat i moja mama podwiozła nas tam, udzielając wyraźnych instrukcji: dwie godziny, zakaz zakupów rzeczy droższych niż dwa dolary, zakaz wstępu do McDonalda. Ostatnie dwie zasady złamaliśmy od razu, zamawiając warte pięć dolarów pozycje z najtańszej części menu McDonalda, co było super, chociaż nas zemdliło. Siedzieliśmy przy stole, a Hayden słuchał, jak skamlę na temat taty, który odwołał kolejną wizytę. Mieszkał w Kalifornii i nigdy nie zapraszał do siebie ani mnie, ani

Rachel – twierdził, że nie stać go na nasze bilety. Przyjeżdżał tylko wtedy, gdy chciał wyciągnąć trochę kasy od własnych rodziców; kasy, której sami nie mieli, ale i tak zawsze coś tam mu dawali. To dosyć smutne uczucie, gdy jest się na tyle dużym, żeby zdać sobie sprawę, że twój ojciec to frajer.

– Za to poszczyściło ci się z mamą – stwierdził Hayden. – Jeden dobry rodzic jest lepszy niż dwójka gównianych.

Wiedział, co mówi. Rzadko zapraszał mnie do siebie i początkowo sądziłem, że to dlatego, iż jego rodzina ma pieniądze, a moja nie. Jednak po kilku wizytach u niego domyśliłem się, że chodzi o jego rodziców. Jego mama nie wahała się wyrazić swojego rozczarowania nim w mojej obecności, a jego tata był prawie zawsze nieobecny, a gdy już się pojawiał, dołączał do żony. Brat Haydena dokuczał mu w szkole, a rodzice czepiali się go w domu. Nawet w młodym wieku musiałem zdawać sobie sprawę, że bezpiecznie czułem się tylko w moim towarzystwie.

Naturalnie mieliśmy swoją bezpieczną przystań: MKH. Naszą ziemię obiecaną. Nie wolno mi było kupować komiksów – były drogie i rodzice uważali, że przestanę przez nie czytać „prawdziwe” książki. Co się właściwie sprawdziło, ale i tak nie oznacza to, że mieli rację. Hayden dla odmiany zawsze uważał się za kolekcjonera. Konsekwentnie kupował pierwszy numer każdego nowego komiksu na wypadek, gdyby dana seria zyskała popularność, a wartość początkowych zeszytów wzrosła. Jego rodzice, podobnie jak moja mama, tego nie pochwalali, ale jego ojciec to dziany gość, który uważał, że Hayden i Ryan powinni otrzymywać kieszonkowe, aby nauczyć się planować budżet. Może pod pewnym względem szanował też to, że Hayden postrzega swoje hobby w kategoriach inwestycji, chociaż nigdy nie przyznał tego na głos. Broń Boże, żeby kiedykolwiek pochwalił za coś Haydena.

Tamtego dnia odkryłem, jak bardzo Hayden był wkręcony w komiksy. Wypożyczałem z biblioteki wszystkie numery starych serii *Batmana*, ale jego interesowały inne klimaty. Pokazał mi wszystkie komiksy napisane przez muzyków z zespołów, których słuchaliśmy: jeden stworzył lider My Chemical Romance, inny – koleś z The Dandy Warhols; nawet członkowie Dresden Dolls wydali komiks. Wydawało

mi się oczywiste, że Colin Meloy, wokalista The Decemberists, też musiał jakiś napisać.

– To literat, a jego żona jest rysowniczką. Niemożliwe, żeby nie miał swojego komiksu, skoro wszyscy inni je wydają.

Doprowadziło to do naszej pierwszej kłótni na temat muzyki, jednej z wielu, tak wielu, że ciężko byłoby je zliczyć. Żałuję, że nie zdawałem sobie sprawy, jak ważne były dla mnie te sprzeczki. Może wtedy uświadomiłbym sobie, jak dobrze się w trakcie nich bawiłem.

Nie mogłem uwierzyć, że Hayden nie lubi The Decemberists – cechowały ich przecież mądrość, kreatywność i dziwność, czyli wszystko to, za czym przepadał. Może byli jednak zbyt intelektualni; Haydena wkurzało, gdy w tekstach piosenek napotykał słowa, których nie znał. Uważałem to za część zabawy, ale on patrzył na to w inny sposób. Gdy przyjechała po nas mama, nadal na siebie wrzeszczeliśmy. Kazałem więc jej włączyć w samochodzie dziesięciominutową wersję *The Mariner's Revenge Song*, co sprawiło, że w końcu się zamknęliśmy. Siedzieliśmy cicho, słuchając opowieści o dwóch mężczyznach, którzy próbują odtworzyć swoją historię po tym, jak zostali połknięci przez wieloryba.

– Brzmi jak muzyka klezmerska – stwierdziła mama, marszcząc nos, ale ją zignorowaliśmy.

Hayden nawet się do mnie nie odezwał po wyjściu z samochodu. Podziękował tylko mojej mamie za podwiezienie i skinął do mnie głową.

– Wszystko w porządku? – spytała mama. – Coś cicho siedzieliście tam z tyłu. Dobrze się dzisiaj bawiliście?

– Super – odparłem i mówiłem szczerze.

W moich oczach to, że Hayden umieścił tę piosenkę na swojej składance, było gestem pojednawczym. W przeciwieństwie do uwielbianych przez niego piosenek, o które się spieraliśmy i które trafiły na listę, tym razem wybrał kawałek z mojego ulubionego albumu. Chociaż należałoby dodać, że The Decemberists zmienili styl na swojej ostatniej płycie, przez co Hayden dołączył do grona ich fanów. Mógł wybrać którąś z tych piosenek, a i tak wiele by to dla mnie znaczyło, o wiele więcej jednak znaczyło dla mnie to, że zdecydował się na ten konkretny utwór.

Mimo wszystko nie była to moja najulubiejsza spośród ich piosenek. To oznaczało, że Hayden wybrał ją z innego powodu. Był to w końcu utwór o zemście, może odpowiedź była więc prosta. Czy tkwiła tu jakaś wskazówka? Albo instrukcja? Czyżby Hayden popychał mnie do dokonania zemsty w swoim imieniu? Czy chodziło o coś jeszcze dziwniejszego? Skoro w moim pokoju ukazał się Arcymag\_Ged, może Hayden był w stanie dokonać czegoś jeszcze. Co prawda trąciło to szaleństwem, ale wydawało się możliwe.

Jeśli nawet Arcymag\_Ged rzeczywiście był Haydenem, to i tak trudno było mi to sobie wyobrazić. Hayden, którego znałem, nigdy nie posunąłby się do czegoś takiego. Ale Hayden, którego znałem, nie odebrałby sobie życia. Nie sądziłem też, abym sam potrafił kogokolwiek skrzywdzić, a już na pewno nie w taki sposób, w jaki zraniono Jasona i Trevora.

Haydenowi jednak udało się mnie zaskoczyć, może więc i ja byłem do tego zdolny?





*Adam's Song***Blink-182**

O wpół do dziesiątej obudziło mnie brzęczenie. Z początku byłem zdezorientowany i wydawało mi się, że muszę wstawać do szkoły, ale chwilę później zdałem sobie sprawę, że jest sobota i nie nastawiałem budzika. Poza tym rolę budzika odgrywała dla mnie stacja dokująca do iPod'a, więc ostatnimi czasy budziłem się do dźwięków playlisty Haydena. Mojemu mózgowi chwilę zabrakło otrząśnięcia się z otępienia i uświadomienie sobie, że brzęczał dzwonek u drzwi wejściowych. Co było dziwne, bo przecież nikt do nas nigdy nie przychodził. Chłopaki Rachel zazwyczaj siedzieli w samochodach przed domem i walili w klakson, czego mama szczerze nie znosiła, a znajomych Rachel nigdy do siebie nie zapraszała. Gdy przychodził Hayden, pukał, ale naturalnie to nie mógł być on. Serce podskoczyło mi na myśl, że może Astrid postanowiła do mnie wpaść, ale właściwie po co miałyby to robić? Zaledwie kilka godzin temu rozmawialiśmy przez telefon i na pewno zaraz potem poszła spać. Po głosie dało się poznać, że jeszcze nie spała.

Znowu rozległo się brzęczenie, a ja zrozumiałem, że prawdopodobnie powinienem wstać i otworzyć drzwi. Mama zazwyczaj kładła się spać od razu po powrocie z pracy, a Rachel nigdy nie chciało się ruszyć tyłka, więc nie miałem wyboru. Nie chciało mi się rozebrać przed położeniem do łóżka, rozgryzłem więc tylko tic-taca, żeby zamaskować ohydny poimprezowy chuch i wybiegłem z pokoju.

Mama jednak jeszcze się nie położyła, więc zanim zszedłem ze schodów, zdążyła już otworzyć drzwi. Nie od razu dostrzegłem, kto przyszedł; widziałem tylko kartonowe pudło wyładowane rzeczami – na samej górze leżały T-shirty, ale kto wiedział, co kryło się pod spodem.

Dojrzałem nadruk na jednej z koszulek – parodia ilustracji ludzkiej ewolucji, tyle że z udziałem zombie – i uświadomiłem sobie, że należała do Haydena. Potem zobaczyłem, kto trzyma pudło: jego matka.

– Proszę wejść, pani Stevens – powiedziała mama.

Zabawne, prawie nigdy nie widywałem ich obu jednocześnie i nie zdawałem sobie sprawy, jak dużo wyższa była mama od pani Stevens, która była bardzo drobna. Zastanawiałem się, czy tak właśnie wyglądaliśmy z Haydenem, stojąc obok siebie.

Widok pani Stevens w naszym domu był dla mnie sporym zaskoczeniem. Nigdy mnie nie lubiła i nie pochwałała przyjaźni mojej i Haydena. Pani Stevens była szczupłą, modnie ubraną kobietą, zawsze idealnie umalowaną, obwieszoną biżuterią pasującą do torebki i butów. Hayden zdradził mi, że chciała urodzić córki, które mogłaby nauczyć, jak się ubierać i nosić. Garderoba Haydena złożona z obwisłych spodni i rozciągniętych T-shirtów doprowadzała ją do szału. Zawsze mu powtarzała, że gdyby nosił ładniejsze ubrania, miałby więcej znajomych. Cóż za motywujący przekaz. „Tak naprawdę chodzi o to, że wtedy nie wstydziliby się mnie aż tak bardzo” – wyjaśniał Hayden, i chociaż starał się zabrzmieć bez troski, wiedziałem, że jest mu przykro.

Jego mama była przekonana, że gdyby zaczął zadawać się z ludźmi z klasą, tak jak Ryan, czułby się szczęśliwszy, bardziej zmotywowany do przemiany w osobę, którą chciałaby, żeby był. W ogóle go nie znała. Wkurzało ją, że przychodził do mnie, a moja mama pozwalała nam oglądać telewizję i grać w gry wideo. Mógł też jeść to, na co miał ochotę, chociaż rzecz jasna wynikało to raczej z braku talentu kucharskiego mojej mamy niż braku poważania dla pragnienia pani Stevens, by jej syn w końcu schudł.

W przeciwieństwie do Haydena sprawiała wrażenie osoby, która trafiła do niewłaściwego miejsca. On zawsze powtarzał, że czuje się u nas bardziej u siebie niż we własnym domu, co nie było zaskakujące, gdy znało się jego dom. Jestem pewny, że pod względem architektonicznym miał jakąś wartość – był ultranowoczesny, cały ze szkła i stali, pełen świetlików i kątów prostych niczym dom Stephanie Caster i wiele innych domów w okolicy – jednak pod wieloma względami panował w nim chłód. W domu Stephanie były przynajmniej

drewniane podłogi i dywaniki, które ocieplały atmosferę; w domu Haydena posadzki pokryte były płytkami, po których nie wolno było chodzić w butach, chociaż były zimne jak lód. Podczas moich nielicznych wizyt tam martwiłem się, że idąc w samych skarpetkach, poślizgnę się i zaryję czołem o kant stolika do kawy. Przynajmniej krew łatwo dałoby się zmyć.

Chociaż nasz dom nie był w najmniejszym nawet stopniu luksusowy, to przynajmniej sprawiał wrażenie, jakby mieszkali w nim ludzie. Mama była znacznie lepszą dekoratorką wewnątrz niż kucharką i nawet rzeczy znalezione przez nią w sklepach z używanymi meblami okazywały się wygodne. Krzesła w salonie były beżowo-brązowe, a kolorowe dywaniki zakrywające nudną wykładzinę oraz poduszki w tych samych barwach poukładane na kanapie rozjaśniały pomieszczenie. Doskonale rozumiałem, dlaczego Hayden wolał tu spędzać czas. Miał swój ulubiony fotel i pozwalaliśmy mu w nim siadać za każdym razem, gdy przychodził pooglądać telewizję, mimo że zazwyczaj było to miejsce mamy. Miał u nas nawet swój ulubiony koc.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak pani Stevens owija się kocem i mości wygodnie w naszym domu czy nawet we własnych czterech kątach. Sprawiała wrażenie osoby, która śpi na baczność. Tym dziwniej było więc zobaczyć, że sama niesie pudło – spodziewałbym się raczej, że znajdzie kogoś, kto zrobi to za nią, choć naturalnie nie mógłby to być Ryan.

– Sam, może pomożesz pani Stevens? – poprosiła mama.

Z radością przyjąłem możliwość zajęcia się czymś, wzięłem więc pudełko od mamy Haydena, uważając, aby nie doszło między nami do kontaktu fizycznego. Zawsze była dla mnie taka chłodna, że bałem się, iż dotknięcie jej zmroziłoby mnie do szpiku kości.

Najwyraźniej mamą nie targały tego typu obawy, położyła bowiem dłoń na ramieniu pani Stevens, wyczuwając, że uścisk byłby przesadą, i spytała:

– Jak się państwo trzymacie? Dużo o was myślę.

– Doceniam to – odparła pani Stevens z dystansem. – Trzymamy się tak, jak można by się spodziewać.

– Nie mogę sobie nawet wyobrazić, przez co musicie państwo

przechodzić – powiedziała mama – ale jeśli moglibyśmy pomóc, w jakikolwiek sposób...

– Właśnie w tym celu przyjechałam – oznajmiła pani Stevens. – Zaczęliśmy segregować rzeczy Haydena i uzbierało się kilka pudełek przedmiotów, które mogą się spodobać Samowi.

W pierwszej chwili uznałem, że bezduszością z ich strony jest próba zatarcia wszelkich śladów po Haydenie, który odszedł zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Potem jednak zdecydowałem, że to miłe, iż pani Stevens o mnie pomyślała, zważywszy na to, jak bardzo mnie zawsze nie znosiła. Sytuacja musiała być dla niej trudniejsza, niż mi się zdawało. Mogłem zrozumieć, że ciężko było im każdego dnia zaglądać do pokoju Haydena i widzieć tam jego rzeczy, jakby zaraz miał wrócić do domu.

– Dziękuję, pani Stevens – powiedziałem. – Też chcę powiedzieć, że bardzo mi przykro. Żałuję...

Nie za bardzo wiedziałem, jak dokończyć.

– Tak, wiem – odparła, nie patrząc na mnie.

Zastanawiałem się, czy obarcza mnie winą za to, co się stało z Haydenem. Na jej miejscu tak właśnie bym robił. Zresztą i tak to robiłem.

– Wszyscy przepadaliśmy za Haydenem – odezwała się mama. – Był dla nas jak członek rodziny.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odrzekła pani Stevens, a ton jej głosu wyraźnie sugerował, że nie uważa tego za coś pozytywnego.

Następnie wyszła bez słowa.

Mama zamknęła za nią drzwi.

– Niezły z niej numer – stwierdziła. – Ale dobrze sobie poradziłeś. Jestem pewna, że nie miałeś ochoty jej oglądać.

– Zgadza się – przytaknąłem, opierając pudło o biodro. Zaczynało mi już ciężko.

– Pewnie chcesz zabrać te rzeczy do swojego pokoju. Mam też nadzieję, że za chwilę uznasz za stosowne przebrać się z wczorajszych ciuchów i weźmiesz prysznic.

Wiedziałem, że zauważy. Przynajmniej nie zająknęła się ani słowem na temat podbitego oka. Byłem jednak pewny, że jeszcze o nim

wspomni.

– Od razu się za to zabiorę.

Zaniosłem pudło na górę i zamknąłem za sobą drzwi do pokoju. Z kartonu wysypywały się koszulki, więc wyjąłem je jako pierwsze – stare T-shirty z ironicznymi napisami i nazwami zespołów, które kolekcjonował Hayden. Był niski i krągły, a ja wysoki i tykowaty, przez co właściwie nosiliśmy podobny rozmiar i czasem wymienialiśmy się ubraniami. Nie byłem pewny, czy jestem gotów, aby je nałożyć, ale przyjemność sprawiło mi posiadanie ich u siebie. Zerknąłem na figurkę maga stojącą na półce. Nasze spojrzenia się spotkały. Wyglądało na to, że jednak nie potrzebowałem tego typu pamiątki, zważywszy zwłaszcza na to, że wywoływała u mnie halucynacje.

W pudle znajdował się też sprzęt Haydena do gier – konsole Xbox i Playstation, których sam nie posiadałem – oraz stare poradniki do *Dungeons & Dragons* i trochę filmów na DVD. Wszystkie odsłony *Gwiezdnych wojen*, te nowe i te remasterowane; wszystkie części *Obcego*; produkcje Jossa Whedona, na punkcie których Hayden miał obsesję. Ja za nimi nie przepadałem do momentu, gdy wyszedł film *Avengers* i okazał się super. Hayden starał się ze mnie nie nabijać, ale kazał mi obiecać, że kiedyś obejrzę z nim serial *Firefly*. Teraz będę musiał oglądać go samotnie. Wraz z siedmioma sezonami *Buffy: Postrachu wampirów*.

Na samym dnie kartonu leżał laptop Haydena. Piękny, lśniący MacBook, którego tak bardzo mu zazdrościłem. Po co pani Stevens mi go oddała? Mogłem zrozumieć, dlaczego się pozbyła gier i koszulek – Ryan nigdy by się nimi nie zainteresował. Jednak komputer wydawał się rzeczą tak osobistą, czymś, czego się nie oddaje byle komu. Zastanawiałem się, czy skasowała najpierw dane z dysku. Pewnie nie, nie sprawiała wrażenia osoby obeznanej z nowoczesnymi technologiami.

Uznałem, że warto to sprawdzić, więc uruchomiłem laptop. Wydobył z siebie kilka dźwięków, które dość dobrze znałem. Nieraz widziałem, jak Hayden włącza swój komputer. Następnie wyświetlił się ekran logowania. Nazwa użytkownika uzupełniła się sama – HaydenStevens, jego nick z Gmaila, nic wydumanego – trzeba było jednak wpisać hasło. Nie miałem pojęcia, jak brzmi.

Bez przekonania wstukałem kilka słów – Radiohead, imię myszosczka, którego Hayden miał w dzieciństwie, tytuły lubianych przez niego piosenek. A potem do mnie dotarło: hasłem musiał być Arcymag\_Ged. Wpisałem je pewny, że to strzał w dziesiątkę.

Nic.

Najwyraźniej odgadnięcie czyjegoś hasła było proste tylko w filmach. Zwłaszcza gdy, tak jak ja, było się zwykłą osobą, a nie geniuszem komputerowym. Zrozumiałem, że Hayden nadal ma przede mną sekrety. Tak jak do tej pory.





*Alison*

## Elvis Costello

Resztę weekendu spędziłem na próbach rozgryzienia hasła Haydena i graniu na jego konsolach podłączonych do telewizora na dole. Z powodzeniem odwracało to moją uwagę od możliwości, że jakimś cudem przemieniłem się w nieustraszonego mściciela, a potem o tym zapomniałem. Grałem, trzymając pod ręką włączony laptop, i za każdym razem, gdy przychodziło mi do głowy coś, co mogłem wpisać, w napięciu wstrzymywałem oddech, ale szczęście mi nie sprzyjało. Gry okazały się potrzebną mi rozrywką. Mama nie była zachwycona, ale pewnie doszła do wniosku, że to i tak lepsze niż *Mage Warfare*, bo przynajmniej wylazłem ze swojego pokoju. Rachel wkurzała się, że zajmuję telewizor, do momentu, gdy obiecałem, że nauczę ją grać w *Halo*.

– To strzelanka pierwszoosobowa – wyjaśniłem. – Nie jest to mój ulubiony gatunek, ale wszyscy ją uwielbiają.

– Dla mnie wygląda raczej głupawo – powiedziała, ale widziałem, że się zainteresowała.

– Masz. Kontroler trzymasz tak. Lewa gałka porusza awatarem, a prawej możesz używać do rozglądania się.

Pokazałem jej, co i jak, a potem włączyłem rozgrywkę, w której mieliśmy możliwość gry przeciwko innym ludziom.

– Jak się strzela? – spytała.

Zaprezentowałem jej różne rodzaje broni i mogliśmy zacząć. Fajnie było patrzeć, jak bardzo się angażuje. Strzelanie przypadło jej do gustu bardziej niż mnie. Tyle że miała gdzieś cele misji.

– Rozumiesz, że gramy jako drużyna, prawda?

Jej awatar cisnął w mojego kolejnym granatem, takim, który szybko eksploduje. W prawdziwym życiu straciłbym nogę, ale może udałoby mi się ujść z życiem.

– Wojna to męski sport, braciszku – odparła Rachel.

– Ciężko cię uznać za mężczyznę – zauważyłem.

– Ciebie też – odgryzła się, a jej awatar wycelowwał do mnie z broni.

Nadeszła pora, aby przenieść konflikt do rzeczywistości.

Chwyciłem jedną z poduszek i cisnąłem nią w kontrolera Rachel.

Przynajmniej próbowałem, bo trafiłem ją w łokieć. W każdym razie podziałało i jej awatar chybił.

– Spójrz, udało ci się dokonać czegoś pożytecznego – stwierdziłem. – Nawet jeśli przez przypadek.

Zbłąkana kula wystrzelona przez Rachel trafiła jednego z wrogich nam obcych.

Rozpętałem wojnę. Ledwo zdążyłem wymówić słowo „przypadek”, gdy zasypał mnie grad poduszek. Jakim cudem Rachel udało się chwycić je tak szybko? Zaczęliśmy się okładać jak wtedy, gdy byliśmy mali, zanim odszedł tato, zanim poznałem Haydena. Tyle razy oberwałem w głowę, że zaczęło mi dzwonić w uszach, ale z pewnością sam zadałem kilka porządných ciosów.

Tłukliśmy się nie wiadomo, jak długo, aż w końcu padliśmy na podłogę, zdyszani i głodni. Po przeczesaniu kuchni w poszukiwaniu ukrytych przez mamę niezdrowych przekąsek, rozpoczęliśmy drugą rundę gry. Tym razem współpracowaliśmy ze sobą, tak jak powinniśmy byli to robić od początku.

Graliśmy tak długo, że Rachel przegapiła randkę z Jimmym. Byłoby mi nawet przykro, gdyby nie fakt, iż naprawdę świetnie się bawiliśmy. Zdemolowaliśmy salon, ale było warto. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni robiliśmy wspólnie coś fajnego.

Wiedziałem jednak, że gry wideo nie rozwiążą moich problemów. Nie pomogą mi nawiązać nowych przyjaźni, nie sprawią, że Astrid rzuci Erica i zacznie ze mną chodzić, ani nie wyjawią odpowiedzi na pytanie, kto zaatakował Jasona i Trevora – odpowiedzi, której tak naprawdę się bałem. Pozwoliły mi jednak odwrócić uwagę od wszystkiego innego, a na chwilę obecną tylko tego pragnąłem. Kolejną korzyścią siedzenia

przed telewizorem była możliwość spędzenia czasu z dala od komputera. Obawiałem się powrotu Arcymaga i nie byłem gotowy, by usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Nadejścia poniedziałku nie dało się jednak uniknąć. Gdy siedziałem na godzinie wychowawczej, wręczono mi karteczkę zawierającą prośbę, abym w przerwie między lekcjami zgłosił się do pana Beaumonta. To nie mogło oznaczać nic dobrego. Cały rano ignorowałem nauczycieli na zajęciach oraz spojrzenia rzucane przez ludzi na korytarzach, którzy musieli słyszeć plotki o moim udziale w pobiciu Trevora. Widziałem, że nauczyciele nie są pewni, czy minęło już wystarczająco dużo czasu, aby wytykać mi brak uwagi na lekcjach, ale, jak widać, wszyscy postanowili się jeszcze wstrzymać, za co byłem im tylko częściowo wdzięczny. Gdyby na mnie nawrzeszczeli, musiałbym choć na chwilę przestać rozważać możliwość, że spiłem się tak bardzo, iż za nic nie mogłem sobie przypomnieć okładania Trevora kijem bejsbolowym. Nie chciałem się zastanawiać, dlaczego pan Beaumont chce się ze mną zobaczyć. Nie byłem jeszcze gotowy, żeby stawić mu czoła.

Gdy nadeszła pora lunchu, nadal rozważałem prawdopodobne scenariusze, czekając w kolejce po kawałek pizzy, która wyglądała, jakby dwa razy podgrzano ją w mikrofalówce. Słuchałem jednocześnie losowo wybieranych piosenek z playlisty na iPodzie. Na widok Astrid, czekającej na mnie przy stole, mój żołądek zrobił fikołka z radości. Gdy tylko ją dostrzegłem, wyjąłem słuchawki z uszu. Wyglądała ładnie jak zawsze – pasemka we włosach były dziś w różnych odcieniach zieleni. To sprawiało, że wyglądała jak jakieś morskie stworzenie, oraz podkreślało zielony kolor jej oczu. Bębniła palcami o leżącą przed nią tacę i aż podskoczyła, gdy położyłem swoją na stole.

– Wiesz, że lepiej by było, gdybyś nie jadł tej pizzy? – spytała.

Jej oczy otworzyły się szerzej na widok mojego lima, ale dzięki Bogu nic o nim nie wspomniała.

Spojrzałem na swoje jedzenie. Ser miał nienaturalnie żółty kolor, jakby ktoś podkolorował go pisakiem.

– Chyba tak – przyznałem. – Ale to było najmniejsze zło.

– W takim razie nie rozważyłeś wszystkich możliwości –

oznajmiła. – Chodźmy. Myślę, że powinieneś stąd spadać.

Miała rację, ale ja nigdy wcześniej nie urwałem się ze szkoły. Dzieciaki tak jak ja uczęszczające na zajęcia przygotowawcze do college'u, nigdy nie wagarowały. Mimo brawury, do której byłem zdolny w internecie, w realu nigdy nie dopuściłem się czegokolwiek, co można by uznać za złe, a przynajmniej tak mi się wydawało. Sytuacja się jednak zmieniła. A opuszczenie kilku lekcji mnie nie zabije.

– A gdzie pójdziemy? – spytałem.

– Mam pewien plan. Musimy tylko, jak gdyby nigdy nic, wyjść tylnymi drzwiami.

Wskazała na wyjście prowadzące prosto na boisko do futbolu. Zazwyczaj ustawiał się przed nimi nauczyciel, ale teraz nikogo tam nie widziałem.

– Pan Cartwright nie przyszedł dzisiaj do pracy i nie znaleźli dla niego zastępstwa. To on miał pilnować nas podczas lunchu. Nie będzie lepszej okazji, żeby się urwać. Idziemy!

– Skoro masz jakiś plan... – powiedziałem, ale tak naprawdę było mi wszystko jedno. Podążyłbym za nią wszędzie, bez względu na to, czy miała plan, czy nie. Szedłem tuż za nią, gdy spacerowym krokiem wyszła przez tylne drzwi stołówki, jakby to nie było nic takiego, mimo że nadal nosiła na ramionach wypchany brązowy plecak, który miała ze sobą na imprezie.

Gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, Astrid parsknęła śmiechem.

– Byłeś świetny! – zawołała. – Ani razu się nie obejrzałeś. Bałam się, że obudzi się w tobie wewnętrzny Orfeusz.

– Orfeusz?

– Jest taki grecki mit, w którym żona pewnego gościa trafia do piekła, a on może ją odebrać tylko pod warunkiem, że opuszczając zaświaty, nie obejrzy się za siebie.

– Nigdy go nie czytałem. Ale brzmi jak historia żony Lota.

– Co to takiego? – spytała.

– Przypowieść biblijna. Uczyłem się o niej w szkółce żydowskiej. Bóg pozwolił Lotowi i jego rodzinie opuścić Sodomę i Gomorę przed ich zniszczeniem pod warunkiem, że się nie obejrzą. Jednak żona Lota się obróciła i przemieniła w słup soli. To prawie to samo.

– Zabawne, jak wiele mitów z różnych religii jest do siebie podobnych – zauważyła Astrid. – Uwielbiam je wszystkie. W dzieciństwie miałam hopla na punkcie *Starcia tytanów*. Oglądałam ten film za każdym razem, gdy puszczała go w kablówce. Na dobre wkręciłam się wtedy w grecką mitologię.

– Szaleję za tym filmem! – zawołałem. – Za oryginałem, nie remakiem. Próbowałem namówić Haydena, żeby go obejrzał. Sądziłem, że mu się spodoba, skoro obaj lubimy fantasy, ale on uznał animacje z użyciem gliny za tandetne.

– Zgadza się. I to sprawia, że są takie wspaniałe!

– Wiem – potwierdziłem i ogarnęło mnie poczucie winy, jakbym wybierał Astrid zamiast Haydena. Przypomniałem sobie jednak, że przecież nie mam już wyboru.

Niebo było jasnoniebieskie i pełne puchatych chmur – nie takich, które niepokoją wizją nadchodzącego deszczu, tylko ładnych, wyglądających jak zrobione z waty. Jaskrawe słońce ułatwiało dojrzenie ścieżki, którą podążaliśmy, ale momentami drogę zagrażały nisko wiszące gałęzie i chwasty. Astrid odsuwała je na bok stopą, żebym się nie potknął. Wyglądało na to, że wie, gdzie jesteśmy, co mnie cieszyło, bo sam czułem się kompletnie zagubiony. Do tego zaczynałem się robić głodny – prawie żałowałem, że nie zjadłem pizzy wyglądającej na radioaktywną.

– Jesteśmy już prawie na miejscu? – spytałem.

– Prawie.

Jakieś pięć minut szliśmy jeszcze przez las i dopiero wtedy przed nami wyłoniło się pole. Tak daleko, jak byłem w stanie sięgnąć wzrokiem, przestrzeń była porośnięta przez kukurydzę i soję. Pośrodku pola znajdował się dziwny budynek przypominający stodołę, ale taką, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem – nie był ani okrągły, ani kanciasty. Drewniane ściany były szare i wyblakłe. Najwyraźniej nikt ich nigdy nie pomalował.

– O to nam chodziło? – spytałem.

Astrid skinęła głową.

– Co to takiego?

– Ośmiokątna stodoła – odparła. – Jedna z nielicznych, na które

można się jeszcze natknąć w stanie Iowa. Jest bardzo stara i bardzo fajna.

No dobra, to tłumaczyło ten kształt.

– Co w niej takiego fajnego?

– Pokażę ci.

Złapała mnie za rękę. Jej uścisk był mocny, ale palce splecione z moimi sprawiały wrażenie kruchych. Miałem nadzieję, że nie poca mi się dłonie. Zaczęliśmy biec przez pole w kierunku stodoły. Ledwo byłem w stanie dotrzymać jej kroku, chociaż niosła olbrzymi plecak. Byłem bardzo podekscytowany tym, że trzymamy się za ręce, więc dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, iż jeśli nie przyspieszę, upadnę i spalę się ze wstydu. Zachodziłem w głowę, co pomyślałby Eric, gdyby nas teraz zobaczył, ale szybko odpędziłem tę myśl od siebie.

Zatrzymaliśmy się tuż przed stodołą. Jak na październik było całkiem ciepło i trochę się zgrzałem. W powietrzu unosiła się ulotna woń cynamonu, zapach, który zazwyczaj kojarzył mi się z wiosną – mama chyba wspominała, że wydziela go jakaś miejscowa roślina. Drzwi stodoły zostały zrobione z olbrzymich płyt drewna, a w poprzek nich przybito skrzyżowane deski. Były zamknięte na zasuwę, ale Astrid po prostu podeszła i ją otworzyła, bo brakowało zamka. Rozchyliła drzwi, a ja ujrzałem, jak słońce oświetla podłogę z sękatego drewna. Stodoła była w zasadzie jednym dużym, pachnącym trocinami pomieszczeniem, ze schodami prowadzącymi na strych mieszczący się tuż pod wysokim sufitem.

– Nie cierpisz na lęk wysokości, prawda? – spytała Astrid, po czym poprowadziła mnie na górę.

Zazwyczaj nie miałem z tym problemu, ale schody okazały się bardzo wąskie i skrzypiały przy każdym kroku, podłoga na strychu zaś nie sprawiała wrażenia zbyt solidnej. Starłem się nie myśleć o tym, że mogłaby się pod nami zapaść. W normalnych warunkach pogrążyłbym się w tego typu rozmyślaniach, ale jakimś cudem wiedziałem, że nic złego się dziś nie wydarzy. To, co się działo, miało tak idealny charakter, że ogarnęła mnie prawie całkowita pewność, iż nic nie jest w stanie tego schrzanić.

Astrid zsunęła plecak z ramion, a następnie go otworzyła.

Zakładałem, że jest pełen książek, bo wyglądał na bardzo ciężki, ale wyjęła z niego kołdrę patchworkową, którą rozłożyła na podłodze i gestem poleciła mi usiąść.

– Tak jest wygodniej niż na gołych deskach – poinformowała.

– Chyba żartujesz! – Byłem pod wrażeniem skali jej przygotowań. Naprawdę dużo musiała nad tym myśleć. – Czy ktoś w ogóle korzysta z tego miejsca?

– Wydaje mi się, że ludzie czasem wynajmują je na imprezy, ale nikt nie używa już tej szopy w charakterze stodoły – oznajmiła. – To trochę smutne. Jak byłam mała, mój tato znał ludzi mieszkających na farmie przy tej drodze i przychodziliśmy tu, żeby bawić się ze zwierzętami. Razem z tatą patrzyliśmy przez okno stodoły na pola. Teraz przychodzę tu tylko wtedy, gdy chcę побыć w samotności, co ostatnio często mi się zdarza.

Wskazała palcem na okno i byłem w stanie zrozumieć kojący efekt spoglądania na bezkresną przestrzeń, jeśli tylko siedziało się tu w towarzystwie kogoś, kogo się lubiło.

– Nawet wryliśmy swoje imiona na ścianie, widzisz? Nadal tu są.  
*Tu byli Alison i Richard.*

– Alison? – spytałem.

Pokiwała głową.

– To jeden z powodów, dla których cię tu przyprowadziłam.

Chciałam się wytłumaczyć.

Ucieszyłem się, że nie musiałem o to specjalnie prosić.

– Tak naprawdę mam na imię Alison – powiedziała. –

Przynajmniej kiedyś tak było. Zeszłej zimy, gdy byłam w drugiej klasie, zmarł mój tato.

– Przykro mi – powiedziałem, wiedząc, że to nie wystarczy.

Przypomniała mi się piosenka Elvisa Costello z playlisty.

Wcześniej nie zwracałem na nią większej uwagi, ale teraz zacząłem się zastanawiać, czy nie oznaczało to przypadkiem, że Hayden od początku o wszystkim wiedział.

– Dzięki – odparła. – Kto jak kto, ale ty dobrze wiesz, że nie wiadomo, co w takich chwilach powiedzieć. Ale nie wyznałam tego po to, abyś się nade mną użalał. Chciałam, żebyś zrozumiał. Zginął nagle,

w wypadku samochodowym, i wszystko się zmieniło. Nigdy wcześniej nie czułam się równie samotna i chociaż miałam masę znajomych i chłopaka, za którym szalałam, nie miało to znaczenia – zupełnie jakby oni wszyscy stali mi się obcy. Wiedziałam, że już nigdy nie będę tą samą osobą co wcześniej, i było dla mnie ważne, aby wszyscy to zrozumieli. Przechrzciałam się więc na Astrid, zmieniałam fryzurę, zaczęłam się ubierać i zachowywać tak, jak zawsze chciałam, oraz zaczęłam zadawać się z ludźmi, z którymi zawsze chciałam się zadawać, bo zdałam sobie sprawę, że wszystko, co robiłam do tamtej pory, było jedną wielką ściemą. Moi starzy znajomi się wystraszyli, zwłaszcza gdy przestałam być czirliderką.

– Chwileczkę, byłaś czirliderką?

Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. A potem przyjrzałem się jej uważnie, próbując dostrzec oczami wyobraźni włosy innego koloru oraz jeden z tych głupkowatych strojów złożonych z krótkiej spódniczki i trampek z pomponami, i zniemacka uświadomiłem sobie, że widywałem ją wcześniej w szkole, jeszcze w towarzystwie jej starych znajomych.

– Dobra. Widzę to.

– No niestety – odparła, parszając śmiechem. – Sprawiało mi przyjemność, że jesteś ostatnią osobą, która o tym nie wie. Tak, byłam czirliderką i spędzałam czas w wiadomych kręgach, dopóki wszystko się nie spieprzyło. Ale nie mówmy o tym teraz. Zjedźmy lunch i nie rozmawiajmy o niczym, co wprawia nas w smutny nastrój. Na to będzie jeszcze czas.

– Dobry pomysł – odparłem, bo naprawdę tak myślałem.

Planowanie, że odbędziemy jeszcze wiele rozmów, że w końcu uda nam się wszystko obgadać, bardzo mi pasowało. Pomogło mi też powstrzymać się od zadawania wszystkich dręczących mnie pytań, chociaż jej relacje z Haydenem ciekawiły mnie coraz bardziej. Czyżby on rzeczywiście znał jej prawdziwe imię?

Na tę chwilę jednak wystarczyło mi, że mogę skupić się na jedzeniu wydobywanym przez Astrid z plecaka: kanapkach, jabłkach, dużej tabliczce czekolady i butelce wody. Naprawdę wszystko dokładnie zaplanowała i świetnie zorganizowała, ale to poczucie wywołało u mnie i nerwowość, i smutek. Zacząłem się martwić, czy będę w stanie



cokolwiek przełknąć, ale gdy tylko Astrid rozpakowała kanapkę z indykiem i awokado, zrozumiałem, że dam radę.

– Spokojnie, stary – powiedziała. – Mamy cały dzień. Masz, napij się.

Otworzyła butelkę wody i mi ją podała. Zgadłem, że mamy się nią dzielić, co sugerowało pewien rodzaj intymności.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś to wszystko.

Nie dodałem „dla mnie”, ale właśnie to miałem na myśli.

– Od pewnego czasu miałam ochotę lepiej cię poznać – wyznała tonem, w którym pobrzmiwała nietypowa dla niej nieśmiałość. – Chciałam, żebyśmy spędzili razem miłe popołudnie, z dala od szkoły i wszystkich tych przykrych rzeczy.

Dokładnie wiedziałem, co przez to rozumie, chociaż smutkiem napawały mnie myśli o rzeczach, które sprawiały jej przykrość. Domyślałem się, że było ich więcej, niż mi do tej pory zdradziła, ale teraz nie była pora, by o nie pytać.

– Jest miło, bez dwóch zdań – potwierdziłem.

Żałowałem, że brakuje mi słów, aby lepiej to opisać, ale przebywanie w jej towarzystwie, w takiej sytuacji, wywoływało u mnie nerwowość, nawet jeśli związaną z pozytywnymi wibracjami. Miałem wrażenie, że jestem przesadnie świadomy każdego, najdrobniejszego nawet aspektu siebie i jej – tego, jak jej pasemka przypominające morskie stworzenie pasują do mojej koszulki Celtics, zupełnie jakbyśmy uzgodnili szczegóły naszego wyglądu; tego, jak wpadające przez okno promienie słońca oświetlają fragment podłogi, na którym podpieraliśmy się rękoma, powodując, że lakier na jej paznokciach się skrzył, a włoski na moich przedramionach wydawały się jasne. W głowie słyszałem tamtą piosenkę.

A więc spędziliśmy popołudnie na zorganizowanym przez nią pikniku. Dużo gadaliśmy o naszych rodzinach. Astrid była jedynaczką i zazdrościła mi siostry, bez względu na opowiedziane przeze mnie historie o tym, jak Rachel mnie szczypała, skarżyła na mnie czy ćwiczyła nakładanie makijażu.

– Daj spokój, wściekasz się o odrobinę szminki, mimo że to ona podsunęła ci muzykę, którą teraz uwielbiasz?

– Nie wolno ci nikomu o tym opowiedzieć! – krzyknąłem. – Tego typu rzeczy powinna była robić z mamą, tylko że nasza bez przerwy pracuje.

Opowiedziałem jej o moim ojcu frajerze, ale nie wdawałem się w szczegóły, bo nie chciałem, żeby znowu zaczęła myśleć o swoim tacie.

– Rzeczywiście, ja tego typu dziewczynskie historie przerabiałam z mamą – przyznała. – Dziwna sprawa, za życia taty dogadywałyśmy się całkiem nieźle, ale gdy on odszedł, wszystko się diametralnie zmieniło. Mama nie jest zachwycona moim nowym wyglądem, a teraz zaczyna organizować sobie spotkania z facetami, a ja nie mogę tego znieść. Wiesz, zachowuje się tak, jakbyśmy były koleżankami, a nie jak moja matka. Nie mam zamiaru łązić z nią na zakupy po ciuchy na randki.

– Rozumiem – odparłem. – Ale nie wydaje ci się, że byłoby lepiej, gdyby nie była skazana na życie w samotności? Moja mama od ośmiu lat jest rozwiedziona i nie przypominam sobie, żeby była chociaż na jednej randce. Bezustanna praca tak bardzo ją stresuje, że pewnie nie widzi już sensu w romansowaniu, co jest smutne. Twoja mama była mężatką o wiele dłużej niż moja i wszystko w jej związku grało – może chce sobie przypomnieć, jak to jest być przez kogoś kochaną.

– Jesteś o wiele lepszą osobą ode mnie – stwierdziła Astrid. – Hayden zawsze to powtarzał.

Zamilkła na chwilę, marszcząc brwi.

– Chwileczkę, mieliśmy nie rozmawiać o rzeczach smutnych, a gadamy o moich problemach z mamą. Wybacz.

– Nic się nie stało – powiedziałem, ale nie ciągnąłem już dalej tego wątku i przez jakiś czas siedzieliśmy w ciszy.

Cudownie było siedzieć z nią na pikniku, w miejscu, które było dla niej wyjątkowe, i w pewnej chwili, gdy zjedliśmy już całą czekoladę i dzieliliśmy się resztką wody, jej twarz znalazła się tak blisko mojej, że aby ją pocałować, nie musiałbym się nawet zbytnio poruszyć. I może nawet chciała, abym to zrobił. Jednak wisiał nad nami temat, którego jeszcze nie poruszyliśmy, a mianowicie Eric. Nie wiedziałem, czy jest tym chłopakiem, za którym szalała, czy kolejnym, tak czy owak nie chciałem być gościem, który przystawia się do cudzej dziewczyny. Jeśli mielibyśmy ze sobą chodzić, trzeba by zacząć od początku, czyli od

zerwania z nim. Byłem jednak zbyt roztrzęsiony, żeby ją o to spytać. Nie chodziło tylko o nerwowość wywołaną jej obecnością – bałem się tego, co mogła odpowiedzieć.

Siedzieliśmy w stodole do momentu, gdy światło za oknem zaczęło blednąć. Nie było jeszcze ciemno, ale słońce przesuwało się szybko i niebo pokryły różowo-pomarańczowe smugi.

– Powinniśmy już wracać – stwierdziła Astrid, ale kilka dobrych minut zabrało nam podniesienie się na nogi.

Nie chciałem, żeby ten dzień dobiegł końca.

W końcu jednak posprzątaaliśmy po pikniku i złożyliśmy kołdrę, żeby zmieściła się do plecaka. Zupełnie jakbyśmy się bawili w dom.

– Mogę go nieść? – spytałem, siląc się na dżentelmeńskość.

Parsknęła tym swoim cudnym śmiechem.

– Poradzę sobie – zapewniła. – Wystarczy, że skupisz się na drodze przez las.

Słusznie. Gdy słońce zaczęło zachodzić, trudniej było wypatrzyć ścieżkę, musiałem więc się skoncentrować, aby się nie potknąć.

Zastanawiałem się, jakby tu zagadnąć ją o Erica i nie zepsuć nastroju.

– Co tak ucichłeś? – spytała, gdy omijaliśmy grupę drzew – pewnie sosen, sądząc po zapachu i igłach.

Nie chciałem jej zdradzić, o czym tak naprawdę myślałem, musiałem zatem szybko coś wymyślić.

– Mama Haydena przywiozła mi w weekend jego rzeczy – powiedziałem. – Zostawiła mi nawet jego komputer, ale nie mogę go włączyć, bo jest zabezpieczony hasłem.

Poczułem wyrzuty sumienia wywołane faktem, że wykorzystuję Haydena jako pretekst, by nie rozmawiać o Ericu, ale łamałem sobie głowę także nad komputerem oraz milionem innych rzeczy.

Astrid obróciła się do mnie, mrużąc oczy.

– No co? To makabryczne, że chcę zajrzeć do jego komputera? – spytałem, wystraszony, że tak właśnie może myśleć.

– Wcale nie. Dała ci go, więc chce, żebyś z niego korzystał. Ciekawi cię, co jest w środku, prawda?

– Pewnie.

Wyszliśmy z lasu i ujrzelśmy przed szkołą dwa ostatnie autobusy

jadące na wschód i zachód.

– Ja wsiadam w ten – oznajmiłem, wskazując na ten drugi.

– Ja mieszkam na wschodzie – odparła Astrid.

To wiele wyjaśniało. Spędziłem cały dzień w towarzystwie czirliderki z bogatej części miasta. Nigdy bym się tego nie spodziewał.

– No to do zobaczenia – powiedziałem. – Dzięki za piknik.

– Nie ma sprawy – odparła. – Sam? – dodała po krótkiej pauzie.

– Co?

– Co do tego hasła, spróbuj wpisać „Atena” – poradziła, po czym wsiadła do autobusu.



*This Is How It Goes***Aimee Mann**

NAZWA UŻYTKOWNIKA: HAYDENSTEVENS

HASŁO: ATENA

I już. Bułka z masłem. Choć tak naprawdę to wcale nie było takie proste, a w mojej głowie kłębiły się pytania. Kim lub czym była Atena? Dlaczego była wystarczająco ważna, aby Hayden wykorzystał jej imię jako hasło? I skąd znała je Astrid? Nie wspominając o nadal niewyjaśnionej kwestii tego, co przydarzyło się Jasonowi i Trevorowi. Miałem wrażenie, że mój mózg przemienił się w wirujący balon wypełniony zagadkami. To było ponad moje siły. Mogłem się skupić tylko na jednej rzeczy i w tej chwili całą uwagę poświęcałem komputerowi Haydena.

Od dziecka lubiłem myszkować. Dopóki nie skończyłem dziesięciu lat, co roku odszukiwałem miejsce, w którym ukryte były prezenty na Chanukę, aż w końcu mama powiedziała: „Wiesz, że sam sobie psujesz zabawę, prawda?”. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że element zaskoczenia był częścią frajdy, czasem istotniejszym niż sam prezent. Ale nawet gdy przestałem węszyć w poszukiwaniu podarków na Chanukę, nadal szperałem w rzeczach Rachel, starając się odkryć jej pamiętnik (szanse były raczej nikłe, bo kiepska była z niej pisarka, a gdyby go prowadziła, to z pewnością dobrze by go schowała), a potem w szafkach kuchennych, gdzie kryły się pochowane zapasy oreo należące do mamy (sądziła, że jeśli je schowa, nie będzie musiała się nimi dzielić, ale była w błędzie). Uważałem się również za króla internetowego stalkingu – kilka razy natknęliśmy się z Haydenem na dziewczyny, które się nam podobały, a ja stworzyłem folder

z informacjami na temat każdej z nich, chociaż ani ja, ani on nie mieliśmy odwagi wykorzystać tych wiadomości. Tak mi się przynajmniej wydaje.

To wszystko sprawiało, że proces przeglądania zawartości komputera powinien być jednym z najbardziej ekscytujących doświadczeń, jakie byłem w stanie sobie wyobrazić. Gwarantowało mi ono zaspokojenie wrodzonej ciekawości oraz dawało szansę na dowiedzenie się wreszcie, dlaczego Hayden zrobił to, co zrobił, nawet za cenę potwierdzenia mojej winy. Jak kocimiętka dla kota, nie?

Jednak przez długi czas po prostu tylko siedziałem wpatrzony w pulpit laptopa. Nie wiedziałem, od czego zacząć: sprawdzić maile? Przeczytać pliki tekstowe? Przejrzeć muzykę? Każda z tych opcji wydawała się niewłaściwa – nie tylko pod względem kolejności, lecz i moralności. Jak większość wścibskich osób ceniłem sobie prywatność i przerażała mnie sama myśl o tym, że ktoś mógłby zaglądać mi do komputera, nawet po mojej śmierci. Wyglądało na to, że wszyscy oprócz mnie wystawiają swoje życie na widok publiczny. Ja natomiast lubiłem widzieć, co porabiają inni, samemu kryjąc się w cieniu. Z tego, co wiedziałem, Hayden też taki był. I przeglądanie teraz jego rzeczy zakrawało na poważne nadużycie jego zaufania.

Nie wspominając o tym, że Arcymag\_Ged potrafił się pojawić w dowolnym momencie, w komputerze i w świecie rzeczywistym, i jeśli był Haydenem, mógł się wkurzyć. Może już mnie obserwował, bez względu na to, jak niedorzecznie to brzmi. I jeśli istniała szansa, że Arcymag\_Ged jakimś cudem był zamieszany w incydenty z udziałem Jasona i Trevora... Jeśli mógł wyrządzić im tak straszne krzywdy, to co zrobiłby ze mną?

Przypomniałem sobie jednak, że komputer należy teraz do mnie. Jeśli ktokolwiek miał prawo zerknąć na jego zawartość niezbyt krytycznym okiem, byłem to właśnie ja. W rzeczywistości miałem tylko trzy opcje: 1) wyczyścić dysk i zacząć życie od nowa; 2) zostawić dane Haydena tam, gdzie są, i korzystać z laptopa, nie przejrzawszy ich; 3) rzucić się w wir tajemnicy. Tylko spokojnie, czyżbym naprawdę rozważał pierwsze dwie możliwości?

Starałem się postępować tak metodycznie, jak tylko się dało.

Gdyby chodziło o mój laptop, sprawa byłaby prosta. Chociaż w realu byłem strasznym niechlujem, komputer utrzymywałem w idealnym porządku: wszystkie pliki i foldery opisane były nazwami, które trafnie odzwierciedlały ich zawartość. Hayden postępował jednak dokładnie odwrotnie – przedmioty traktował w sposób pedantyczny, ale w jego kompie panował totalny chaos. Wyglądało na to, że wszystko zapisywał na pulpicie; pokrywała go istna tapeta z plików, których nazwy nie miały sensu albo zawierały literówki. Bez względu na dysleksję był to komputer osoby, która porządek miała gdzieś. Pewnie doszedł do wniosku, że nikt inny i tak do niego nie zajrzy.

Powinno istnieć słowo określające to coś, co budzi poczucie winy i sprawia, że po skórze przechodzą ciarki, a uszy oblewają się czerwienią. Coś, co sprawia, że głowa opada bezwiednie na pierś, tętno zaczyna pędzić z niepokoju, a potem zwalnia, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że jednak nic się nie stało. Może wtedy ktoś mógłby wynaleźć lek, który zapobiegałby tej reakcji. Może on już nawet istnieje, ale na razie musiałem obyć się bez niego.

Postanowiłem najpierw przejrzeć dokumenty. Przeorganizowałem pulpit tak, aby ułożyć je w porządku alfabetycznym, po czym zacząłem czytać. Znalazłem jednak tylko stare szkolne wypracowania Haydena oraz komentarze, które otrzymał od nauczycieli. Jego rozprawki były bełkotliwe. Próbował pisać o filmach i muzyce, którą lubił, ale jego analiza sceny z deszczem żab w *Magnolii* była po prostu męcząca. Znałem go, więc byłem w stanie stwierdzić, na czym miały polegać złożone pomysły, które wywlekał z głowy i przedkładał nauczycielom, ale ich reakcje nie pozostawiały wątpliwości: nie wiedzieli, o co mu chodzi. *Liczba błędów gramatycznych niedopuszczalna w pracy na tym poziomie nauczania* – pisali. Przeglądałem kolejne wersje robocze każdego wypracowania, w których próbował poprawić wszystkie wytknięte przez nich błędy. Jednak jego styl pozostawał zagmatwany. *Dobre pomysły nic nie znaczą, jeśli nie potrafisz przekazać ich czytelnikom.*

Jestem pewny, że nie chcieli się na nim wyżywać, ale mogę sobie wyobrazić, jak się czuł. Czytając te uwagi, zacząłem się zastanawiać, jak mało brakowało mu do zostania na drugi rok w tej samej klasie – o ile



coś takiego jeszcze praktykowano. Z milion razy proponowałem, że mu pomogę, ale zawsze odmawiał. Teraz już wiedziałem, że nie chciał, abym zobaczył, czym zajmował się w samotności. Był jedną z najbardziej dumnych osób, jakie znałem, i nic mu to nie dało. Z tego, co się zorientowałem, college nie wchodził dla niego w grę. Dlaczego rodzice nie zabrali go do specjalisty? Tak bardzo zależało im, aby wszyscy uważali ich dzieci za idealne, że pewnie oczekiwali, iż sam poradzi sobie z problemem.

Potem sprawdziłem maile. Spodziewałem się istnej żyły złota. Przejrzałem wszystkie wiadomości, wypatrując wzmianek o Atenie, ale niczego nie znalazłem. Odkryłem za to kolejne dowody na to, że problemy Haydena w szkole stały się poważne. Najwyraźniej nie chciał rozmawiać o nich z rodzicami, więc zaczęli mu przysyłać maile utrzymane w coraz surowszym tonie, napominając go, aby zabrał się za poprawianie ocen. *Niech ci się nie wydaje, że będziemy cię utrzymywać, jeśli nie dostaniesz się do college'u – pisał jego ojciec. – Jeśli nie weźmiesz się w garść, nigdy niczego nie osiągniesz, a my przykręcimy kurek z pieniędzmi. Ciekawe, jaką pracę znajdziesz sobie z takimi stopniami? Co za dupek.*

Co dalej? Zalogowałem się na jego konto Google i zacząłem przeglądać historię rozmów na czacie. Przy nazwie „HaydenStevens” zamrugał kursor. Jednak gdy kliknąłem na listę uczestników czatu, wyskoczyłem na niej tylko ja. Wylogowałem się, a potem spróbowałem zalogować się ponownie jako Arcymag\_Ged, ale mimo że Google przyznał, że istnieje użytkownik o tej nazwie, jego konto chronione było innym hasłem. Bez przekonania podjąłem kilka prób odgadnięcia go, ale szybko się poddałem.

Nie wiedziałem, co dalej robić. Wyglądało na to, że komputer Haydena nie miał zamiaru zdradzić mi niczego więcej ponad to, że jego relacje z rodzicami były tak kiepskie, jak myślałem, a w szkole szło mu jeszcze gorzej. Nie było to duże zaskoczenie. Musiało istnieć coś jeszcze. Czyżbym coś przegapił?

Przypomniałem sobie, że wskazówki, które mi zostawił, miały być zawarte na playliście – stworzył ją, żeby coś mi przekazać. Może odpowiedzi znajdowały się więc w bibliotece iTunes.

Kolekcja muzyki Haydena była zorganizowana lepiej niż pozostała zawartość jego laptopa, ale należało za to dziękować raczej firmie Apple. Znalazłem w niej wszystkie lubiane przeze mnie zespoły oraz kilka, za którymi nie przepadałem – Hayden miał słabość do starego metalu oraz kapel hairmetalowych, było tam więc dużo wczesnego AC/DC oraz Poison z czasów, gdy Bret Michaels nie zaczął jeszcze przedłużać sobie włosów i zapraszać fanek ze sztucznymi cyckami do pokazywania się z nim w telewizji.

Natknąłem się na kategorię „Wkurzone/smutne laski”, pełną muzyki, której na sto procent nigdy razem nie słuchaliśmy. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że lubi tego typu rzeczy. Paramore, Evanescence, Skylar Grey – a więc stąd się wzięła! – Aimee Mann, nawet Alanis Morissette. Widzieliśmy kiedyś teledysk, w którym Morissette przechadza się nago, a potem omawialiśmy znaczenie słowa „ironiczny”, zastanawiając się, czy w swojej piosence nie kpi przypadkiem z samej siebie, jednak na tym się skończyło.

Nie, ta składanka musiała pochodzić skądś indziej. Od kogoś innego.

Przeleciałem wzrokiem playlisty, klikając na kilka przypadkowych, żeby sprawdzić, czy dostarczą mi jakichś informacji. W końcu znalazłem taką o nazwie „miksdlaimnie”. Nie wiedziałem, co to oznacza, ale część muzyki na niej pochodziła z kategorii „Wkurzone/smutne laski”, więc może warto było jej posłuchać.

Kliknąłem playlistę i podkreśliłem głośność. Składanka była dosyć radosna, mimo że wiedziałem, kto był jej autorem, i kto stworzył niektóre z tych kawałków. W każdym razie jej ogólna atmosfera okazała się zdecydowanie optymistyczna. Całkiem nie w stylu Haydena. Oprócz piosenek z kategorii „Wkurzone/smutne laski” pojawiały się na niej numery MGMT, Passion Pit, Metric. Sam nie wpadłby na pomysł, żeby je tam umieścić. Ta muzyka nawet mnie porywała do tańca, a przecież nie znosiłem tańczyć. Playlistę stworzył ktoś bardzo, ale to bardzo szczęśliwy.

Chciałem sprawdzić datę jej utworzenia, ale się nie dało. Wyświetlał się tylko ostatni dzień, gdy Hayden ją włączył, czyli dzień pamiętnej imprezy. Czy to możliwe, że tak wiele rzeczy uległo zmianie

w ciągu jednego dnia? No dobrze, impreza okazała się potworna, ale czy naprawdę była na tyle zła, żeby przysłonić radość, która doprowadziła do stworzenia tej składanki? Wcześniej wydawało mi się, że rozumiem, w jaki sposób przyjęcie mogło popchnąć Haydena do aktu desperacji, ale wtedy nie wiedziałem jeszcze o istnieniu tego dowodu szczęścia.

To oznaczało, że cokolwiek wydarzyło się na piętrze w trakcie imprezy, musiało być o wiele gorsze, niż wtedy myślałem.

Musiałem rozgryźć nazwę tej składanki. Wpatrywałem się w nią bez końca, aż w końcu do mnie dotarło. Miksdlaaimnie. Miks dla A i mnie. Może „A” oznacza Atenę? Może to prawdziwa osoba? Tylko kto?

Zerknąłem na okienko czatu Google, życząc sobie, żeby pojawił się Arcymag. Mógłbym udawać, że to naprawdę Hayden, i zadać mu kilka trudniejszych pytań. Ziewnąłem, przeciągnąłem się i zdałem sobie sprawę, że uwolniłem się od emocji, które tłumilem w sobie po spotkaniu z Astrid. Spojrzałem na zegar. Było już po północy – znowu. Nawet nie zauważyłem, kiedy zapadł zmrok, nie wspominając o przegapionej kolacji.

Zamknąłem laptop Haydena i już miałem położyć się do łóżka, gdy nagle zabrzęczało okienko czatu Google na moim komputerze.

*Pora na Mage Warfare* – brzmiała wiadomość.

Arcymag\_Ged powrócił.



*Despair***Yeah Yeah Yeahs**

Postanowiłem odpisać.

Hayden, to ty? Co jest grane?

Ale Arcymag\_Ged już zniknął. Był tak irytująco zagadkowy, że zaczynałem wierzyć, iż to duch Haydena. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co potwierdziłoby, że nie śpię, a to dzieje się naprawdę. Figurka czarnoksiężnika stała w milczeniu na półce, tak jak zawsze. Wpatrywała się we mnie. W powietrzu poczułem nagły chłód i zobaczyłem, że ramiona znowu pokrywają mi się gęsią skórką.

Czyżbym miał jakiś wybór?

Może gra w *Mage Warfare* była niezłym pomysłem; parę zabójstw dobrze by mi zrobiło.

Kliknąłem odpowiednią ikonkę.

Przez jakiś czas grałem na komputerze jako ja i chociaż czerpałem pewną dozę satysfakcji ze spuszczenia innym manta, nie rozumiałem, dlaczego Arcymag\_Ged polecił mi się tym zająć. I właśnie wtedy, gdy zacząłem już poważnie się wkurzać, w grze wyskoczyło okienko czatu.

Nie tu.

Ponownie usłyszałem melodię towarzyszącą rozpoczynającej się rozgrywce i przeniósłem wzrok na komputer Haydena. Jakimś cudem muzyka dobiegała właśnie z niego, mimo że wcześniej go wyłączyłem. Wydawało się to niemożliwe, ale nie bardziej niż pozostałe rzeczy, które jednak się wydarzyły. Otworzyłem laptop i wcale mnie nie zdziwiło to, że jest już włączony, *Mage Warfare* zdążyła się załadować, a do gry była zalogowana postać Haydena.

Dobra, Arcymagu, czaję.

Zacząłem grać jako Hayden, żeby zobaczyć, co się stanie. Wędrowałem przez wirtualny las, w którym znajdował się zamek zazwyczaj przeze mnie ignorowany, bo misja polegała na ratowaniu chłopów, co w normalnych warunkach średnio mnie interesowało. Jednak obecnie byłem Arcymagiem\_Gedem i miałem za zadanie podejmować się tego typu rzeczy. Dziwnie było udawać, że jestem nim, a jeszcze dziwniej odgrywać Haydena, który udaje, że jest kimś innym, zwłaszcza że czułem się zobligowany do uszanowania jego strategii i walki po stronie dobra, zamiast siać zniszczenie, jak miała w zwyczaju moja własna postać.

Jednak rozgrywka nigdzie mnie nie prowadziła i oczy same zaczęły mi się zamykać. Jaki był cel tego wszystkiego? Dlaczego Arcymag\_Ged nie pozwalał mi zasnąć?

Prawie czułem, jak Arcymag ma dość mojej tępoty. Z pewnością był jakiś powód, dla którego – w niezbyt subtelny sposób – zachęcił mnie do gry jako Hayden na komputerze Haydena. Musiało mi umknąć coś bardzo ważnego.

Na szczęście odgadłem co, zanim Arcymagowi\_Gedowi udało się zrobić ze mnie jeszcze większego idiotę, podając mi gotowe rozwiązanie. Kliknąłem okienko czatu gry i czekałem. Nie byłem pewny, na co. Może na Arcymaga, który pochwali mnie za zrobienie tego, co należy, albo obdarzy wskazówką dotyczącą tego, czego szukam. Jednak minęło pięć, a potem dziesięć minut i nic, a gdy spojrzałem na zegar, okazało się, że dochodzi trzecia rano. Nie mogłem uwierzyć, jak szybko mija noc, ale zmęczenie mnie opuściło i czułem się jak na haju – próby zaśnięcia okazałyby się bezcelowe. Za to rano zmuszony będę zaaplikować sobie krytyczną dawkę kofeiny, aby przetrwać cały dzień w szkole.

Na razie jednak wyglądało na to, że jestem sam. Dobrze, Hayden, jak nie chcesz do mnie wyjść, ja przyjdę do ciebie. Kliknąłem historię czatu. Utrwalono w niej niezliczone godziny rozmów między mną a Haydenem oraz kilka wymian zdań z przypadkowymi osobami, na które natknęliśmy się w grze. Hayden był dla nich niezmiennie grzeczny, podczas gdy ja miałem zwyczaj obrzucać obcych mi ludzi błotem. Jednak oprócz zapisów pogawędek, które spodziewałem się tam znaleźć,

odkryłem tam też kilka plików z historią rozmów z kimś jeszcze.

Kimś o imieniu Atena.

A więc Hayden miał w grze jeszcze innego znajomego. Kogoś, o kim nie wiedziałem. Kogoś, kto był dla niego na tyle ważny, by użyć jego nicka jako hasła. Nie mogłem się doczekać, aż dowiem się czegoś więcej.

Postanowiłem prześledzić historię ich rozmów od samego początku. Wszystko zaczęło się w zeszłe lato.

Arcymag\_Ged: Jakże miło jest spotkać tak nadobną niewiastę.

Atena: Z wzajemnością, zacny panie.

Niedobrze mi się od tego robiło, ale można się było tego spodziewać. Hayden miał skłonność do przejawów rycerskości wobec żeńskich postaci, zupełnie jakby gra stanowiła kontynuację mitu o królu Arturze, a nie szyty grubymi nićmi pretekst do wirtualnej przemocy. Ten świat to jedyne miejsce, w którym Hayden był skłonny podjąć ryzyko zagadnięcia jakiejś dziewczyny. W większości przypadków strzelał sobie samobója, bo tabuny koleśków tworzyły kobiece awatary sprawiające wrażenie słabych, aby uspić czujność ciap, takich jak Hayden, a potem kradły im broń albo spuszczały upokarzające lanie. Gdyby Trevor grał w *Mage Warfare*, prawdopodobnie postępowałby w taki właśnie sposób, więc moje pierwsze wrażenie było takie, że Haydena ktoś próbował zrobić w balona.

Arcymag\_Ged: Widzę, że miła pani zgromadziła moc złotego kruszcu. Czyżby jej spryt dorównywał powabowi?

Atena: Dobór słowa waszej mości nie wydaje mi się właściwy. Choć jestem tylko niewiastą, sztuki władania mieczem uczyłam się od maleńkości. O każdą bryłkę złota walczyłam niczym lwica. Atena to w końcu imię bogini wojny.

Arcymag\_Ged: Przebacz, szlachetna pani, tę niesnadną uwagę. Dostrzegam w tobie ogromny talent.

Galanteria Haydena tym razem zaprocentowała: Atena przymknęła oko na tę drobną wpadkę. A istotnie historia jej gry nie tylko potwierdzała, że nieźle sobie radzi z mieczem, lecz także wskazywała, iż rzeczywiście może być dziewczyną: zebrane złoto bowiem wydawała w większości na klejnoty oraz pancerze przypominające wyglądem

sukienki. Do tego we wczesnych rozmowach z Haydenem całkiem wiernie odgrywała nadobną niewiastę. Wywoływało to u mnie odruch wymiotny, ale nie ulegało wątpliwości, że oni bawili się przednio. Potrafili gadać w ten sposób przez wiele godzin. Nigdy bym nie pomyślał, że z Haydena taki flirtiarz. Kimkolwiek była ta dziewczyna, naprawdę go polubiła. Nie wiedziałem jeszcze, jaki wpływ miała Atena na decyzję podjętą przez Haydena, ale zaczynałem podejrzewać, że dosyć duży.

Czytałem dalej. Podczas kolejnych sesji czatu przestali gadać jak Lancelot i Ginewra, a zaczęli brzmieć jak normalni ludzie.

Arcymag\_Ged: Super się z tobą wczoraj rozmawiało, ale zaczęła mnie boleć głowa od tych wszystkich archaizmów. Mogę być dziś po prostu sobą?

Atena: Pewnie, że tak. Sama zaczynałam się martwić, skąd wezmę słownik staroangielski. Ale ty świetnie sobie radziłeś!

Arcymag\_Ged: Dzięki! Zazwyczaj nie jestem zbyt wygadany. Ale fajnie było o tym myśleć jak o zadaniu do rozwiązania.

Atena: Wiem, co masz na myśli. I tak bym kontynuowała, byle tylko móc z tobą gadać. Ale tak jest lepiej.

Z początku schlebiali sobie nawzajem, chcąc jednocześnie dać do zrozumienia, że chodzi im o coś więcej, ale nie mówili tego wprost. Ta bariera została jednak w miarę szybko pokonana i po jakimś tygodniu ich rozmowy na czacie stały się poważne.

Arcymag\_Ged: Czasami się martwię, że już zawsze będę się czuł tak samotny, jak teraz.

Atena: Ja też. Ale jest mi lepiej, gdy wiem, że też się tak czujesz.

Zajebicie smutne to było. Nie zdawałem sobie sprawy, że Haydenowi przychodzą do głowy takie myśli. Spędzaliśmy razem tak dużo czasu, że przyznanie mu się do tego, jak bardzo ja się czuję samotny, brzmiałoby jak zdrada, a tu wyszło na jaw, że on też tak się czuł. Mogłem mu pomóc, gdyby tylko coś powiedział. Odkrywanie kolejnych powodów, dla których Hayden mógł zrobić to, co zrobił, jeszcze bardziej wzmagało moje poczucie winy.

Musiałem jednak poznać całą historię. Zacząłem czytać zapisy kolejnych rozmów.



Arcymag\_Ged: Jakie to dziwne, że nigdy się nie spotkaliśmy, a ja mam wrażenie, że znam cię naprawdę dobrze.

Atena: Bo znasz. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Arcymag\_Ged: Naprawdę tak uważasz? Myślisz, że dwoje ludzi może się rozumieć tak dobrze, jak my, i nie znać swoich prawdziwych imion?

Atena: Obiecasz, że nie będziesz się śmiał, gdy ci coś powiem?

Arcymag\_Ged: Nigdy bym się z ciebie nie śmiał. Musisz to wiedzieć, skoro tak dobrze mnie znasz.

Atena: Powiedziałam koleżance, że mam chłopaka.

W zapisie rozmowy widniała pauza. Zbyt łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak Hayden siedzi w swoim pokoju i zaczyna panikować, bo nie wie, co napisać. W końcu:

Arcymag\_Ged: Nie chcę zabrzmieć jak idiota, ale czy to mnie miałaś na myśli?

Atena: LOL. Oczywiście, że ciebie. Wystraszyłam cię?

Arcymag\_Ged: Nie. Poprawiłaś mi nastrój na resztę dnia. Tygodnia. Roku. Mówiłaś poważnie?

Atena: Śmiertelnie poważnie.

To oznaczało, że zanim zaczęła się szkoła, Hayden miał już pierwszą dziewczynę.

I nic mi o tym nie wspomniał.

Nie wiedziałem, co myśleć. Instynkt podpowiadał mi, żeby się obrazić. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi i chociaż Hayden miał skłonność do zatajania informacji osobistych – choć zawsze uważałem go za osobę skrytą, to wiedziałem, że tak naprawdę wynika to z jego nieśmiałości – nie umiałem sobie wyobrazić, że mógłby ukryć przede mną coś równie istotnego.

Jednak właściwie byłem w stanie to zrozumieć. Bo bez przerwy chodziła mi po głowie myśl, że Atena nie była osobą, za którą się podawała. Co prawda jej ton z zapisów czatu wydawał się wiarygodny i otwarcie wyznawała Haydenowi te wszystkie rzeczy na swój temat, których trochę wstydziałem się czytać, mając wrażenie, że podsłuchuję intymną rozmowę, niemniej nie potrafiłem wyrzucić z pamięci przypadków upokarzania w internecie osób, które dały sobie zamydlić oczy wyznaniem miłości. Choć Ryan i jego kumple nie byli raczej

wystarczająco obeznani z komputerami, aby odszukać Haydena w *Mage Warfare*, to jeszcze nie znaczyło, że na świecie nie brakowało pozbawionych skrupułów ludzi, którzy mogli go wykołować. Poza tym Hayden znał mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że jeśli mi o tym opowie, to przynajmniej zadam mu niewygodne pytanie, a z pewnością nie miał ochoty na tego typu rozmowy, nie mówiąc już o szukaniu odpowiedzi, skoro istniała najdrobniejsza nawet szansa na to, że nie przypadnie mu ona do gustu.

Ponownie ogarnęło mnie zmęczenie. Ciężko mi było skupić wzrok i raz za razem przyłapywałem się na tym, że nie przewijam ekranu, tylko po raz kolejny czytam to samo. Było już jednak za późno, żeby się kłaść spać. Wkrótce miało wstać słońce. Poza tym musiałem poznać historię do końca.

W końcu wstałem, żeby pójść do łazienki, a następnie zszedłem na dół po colę – jeśli miałem osiągnąć swój cel, potrzebowałem kofeiny. Panowała tam cisza, którą zastać można tylko w pustym domu – mama była w pracy, a Rachel skorzystała z okazji i została na noc u Jimmy’ego, mimo że mama zabiłaby ją, gdyby się dowiedziała. Każdy mój krok odbijał się echem od ścian. Stare schody skrzypiały, gdy po nich wchodziłem, co zazwyczaj ignorowałem, ale tej nocy robiło to na mnie upiorne wrażenie. Cały czas się spodziewałem, że Arcymag\_Ged objawi mi się osobiście. Wiedziałem, że to szalony pomysł, ale i tak błyskawicznie obracałem głowę w reakcji na każdy dźwięk.

Ostatecznie położyłem się na łóżku z laptopem Haydena i kontynuowałem lekturę. Relacje Arcymaga\_Geda i Ateny robiły się coraz bardziej gorące. Dotarłem do fragmentu, w którym rozmawiali na temat muzyki, i potwierdziły się moje przypuszczenia, że wiele piosenek z playlisty znał właśnie od niej – tak jak tę, której właśnie słuchałem, kawałek wypełniony dziwną mieszanką rozpaczliwego smutku i optymizmu. Atmosfera uległa jednak zmianie, gdy Hayden uznał, że już czas, by wyjawili swoje prawdziwe imiona. Atena do tej pory zachowywała się otwarcie, ale poczułem, że jakby trochę zaczynała się wycofywać. Pewnie zbliżałem się do punktu zwrotnego w ich historii. Wiedziałem też, o co chodzi Haydenowi. Chciał się upewnić, że to dzieje się naprawdę; pragnął czegoś więcej niż wirtualnego związku.

Arcymag\_Ged: Zrozumiem, jeśli mieszkasz milion kilometrów stąd, masz sto lat albo jesteś facetem. Możesz mi wszystko powiedzieć. Przeboleję to. Po prostu chcę wiedzieć, kim naprawdę jesteś.

Atena: Nikim z powyższych opcji.

Arcymag\_Ged: W takim razie jest lepiej, niż myślałem.

Atena: Niekoniecznie.

Arcymag\_Ged: Nie rozumiem. Przecież przyznaliśmy się, że wiemy o sobie więcej niż ktokolwiek inny. Jesteś dla mnie strasznie ważna, ale muszę wiedzieć, że to się dzieje naprawdę.

Atena: To o wiele bardziej skomplikowane, niż myślisz.

Arcymag\_Ged: Pozwól zatem, że uproszczę sytuację. Cześć, nazywam się Hayden Stevens. Mam szesnaście lat. Chodzę do drugiej klasy liceum w Libertyville, w stanie Iowa. Widzisz? To wcale nie takie trudne. Teraz wiesz, kim jestem. Powiedz, kim jesteś, albo koniec z nami.

Znaczniki czasu pomiędzy tą a kolejną kwestią dzielił spory odstęp. Atena zastanawiała się, co zrobić.

Atena: No dobrze. Ale chcę to załatwić osobiście.

Arcymag\_Ged: Naprawdę? Jak?

Atena: Bo ja wiem o tym wszystkim, co mi właśnie powiedziałeś.

Arcymag\_Ged: Jak to możliwe?

Atena: Też jestem z Libertyville.

Nastąpiła kolejna przerwa, podczas której Hayden trawił to, co mu właśnie wyznała. Prawdopodobnie wystraszył się nie na żarty.

Arcymag\_Ged: Czyli nie poznaliśmy się tu przypadkiem.

Coś jednak do niego dotarło.

Atena: Ktoś nam pomógł. Wszystko wyjaśnię, gdy się spotkamy.

Arcymag\_Ged: Gdzie i kiedy?

Czułem, że Hayden oczekuje stosownego wyjaśnienia, godnego osoby, za którą ją brał.

Atena: W przyszły weekend jest impreza u Stephanie Caster. Możemy się tam spotkać.

Arcymag\_Ged: Jeśli naprawdę wiesz, kim jestem, rozumiesz pewnie, że nie jest to najlepsze miejsce.

Atena: To nie mój pomysł. Koleżanka, o której ci wspomniałam, uważa, że tak będzie lepiej. Będzie tam masa ludzi. Nikt nie zwróci na nas

uwagi.

Arcymag\_Ged: Czemu nie możemy pójść gdzieś, gdzie będziemy sami?

Atena: Bo się boję.

Arcymag\_Ged: Mnie? Daję słowo, że jestem nieszkodliwy.

Atena: Kiepsko radzę sobie w kontaktach z ludźmi. I obawiam się, że gdy mnie poznasz, może się okazać, że oczekiwałeś kogoś innego. Naprawdę chcę się z tobą spotkać osobiście, ale muszę się czuć bezpiecznie.

Była dosyć rozsądna. Znała życie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż otworzenie się przed osobą siedzącą przed ekranem komputera to jedno, ale osobiste spotkanie z nią to całkiem inna kwestia.

Jednak dzięki niej zdobyłem jeden z kawałków układanki: powód, dla którego poszliśmy z Haydenem na tamtą imprezę.

Kim była Atena? I czy w ogóle się tam pojawiła? Skąd wiedziała, że odnajdzie Haydena w grze?

W mojej głowie myśli goniły jedna drugą. Nie wiedziałem, od czego zacząć poszukiwania odpowiedzi na każde z dręczących mnie pytań. W końcu odwróciłem wzrok od komputera i dostrzegłem wschodzące słońce. Była już prawie pora zbierać się do szkoły – naprawdę przesiedziałem całą noc. Pytania musiały poczekać. Zamknąłem oczy. Zacząłem zasypiać z laptopem na piersi, ale zanim zapadłem w sen, przyszło mi do głowy jeszcze jedno:

Skąd Astrid wiedziała o istnieniu Ateny?



*On Your Own***The Verve**

– A co ty jeszcze robisz w domu?

Otworzyłem oczy i ujrzałem światło dzienne wlewające się przez okno oraz laptop Haydena nadal leżący na mojej piersi, chociaż już dawno musiał przejść w tryb oszczędzania energii. Najwyraźniej przespałem budzik, który włączył się w iPhone i tylko gdzieś w tle słyszałem piosenkę z playlisty. Mama stała w drzwiach, patrząc na mnie srogim wzrokiem. Musiała przed chwilą wrócić z pracy, bo miała na sobie wymięty różowy kitel pokryty nadrukiem w maleńkie małpki.

– Zaspałem – oznajmiłem ochryplym głosem.

Tak naprawdę jeszcze się nie obudziłem. Nic dziwnego, skoro zasnąłem około piątej rano.

Mama westchnęła.

– Ubieraj się szybko. Jeśli cię podwiozę, zdążysz akurat na godzinę wychowawczą.

Głupio mi się zrobiło – wyglądała na równie wyczerpaną, jak ja ostatnio. Tak szybko, jak tylko byłem w stanie, umyłem zęby, prysnąłem się dezodorantem i narzuciłem na siebie ubranie. Przynajmniej podbite oko zaczęło blednąć.

– Całą noc grałeś w *Mage Warfare*? – spytała mama, gdy wsiadłem do samochodu. – Czy chodzi o coś innego? Rozmyślałeś o Haydenie?

Trafiła w dziesiątkę.

– Obie te rzeczy – odparłem, pocierając powieki.

– Powiedz, co się dzieje.

Poprawiła dłonią zmierzwione loki i dostrzegłem, że nie miała czasu, aby przeczesać je szczotką przed zabraniem mnie do szkoły. Było

mi przykro, że opóźniam jej położenie się do łóżka, bo najlepiej wiedziałem, jakie to nieprzyjemne.

Spojrzałem przez okno na stojące w naszej okolicy zapuszczone domy, które stopniowo przechodziły w centrum miasta. Liście zmieniły już kolor i ulice były zavalone ich wilgotną masą, miazdżoną ludzkimi stopami i kołami samochodów. Kilka osób wywiesiło już dekoracje na Halloween. Odwróciłem wzrok na widok sztucznego nagrobka z napisem „Niech spoczywa w pokoju” wypisanym wysokim, drżącym pismem. Chciałem jej wszystko opowiedzieć, ale zaczęłaby się zamartwiać, a przecież i tak miała wystarczająco dużo na głowie. Zamiast tego oznajmiłem tylko:

– Po prostu dużo ostatnio myślę. O Haydenie i nie tylko. Wierzysz, że po śmierci coś się z ludźmi dzieje?

– Masz na myśli niebo? Harfy i puszyste chmurki?

Chodziło mi raczej o duchy, a konkretnie o duchy przybierające formę magów, ale nie było powodu, by o tym wspominać.

– Chyba tak – odparłem.

– Nie, raczej w to nie wierzę – wyznała mama. – Wydaje mi się, że powinniśmy się skupić na życiu. Zmarli żyją w naszych wspomnieniach. I snach. Po śmierci mojej mamy często mi się śniła. Zresztą wciąż mi się śni. Są to zarówno sny dobre, jak i złe. Ale nawet te przykre mi nie przeszkadzają. Dzięki nim nie przestała być dla mnie prawdziwą osobą.

Może to właśnie mnie spotkało? Może zasnąłem na siedząco i wydawało mi się, że widzę Arcymaga?

– Jak to wygląda? Tak jakby przebywała z tobą w tym samym pomieszczeniu? – spytałem, po czym wstrzymałem oddech.

– Niezupełnie – odparła mama, wjeżdżając na parking przed szkołą. – Ale wydaje się na tyle prawdziwa, że czasem budzę się i zapominam, że już jej nie ma. A innym razem mam wrażenie, że nas obserwuje. Patrzy, jak dorastacie, i się cieszy. Ale to tylko takie pobożne życzenia.

– Może nie – powiedziałem, otwierając drzwi.

Powietrze było chłodne i pachniało martwymi liśćmi.

Mama się uśmiechnęła.

– Nigdy nie wiadomo. Miłego dnia w szkole. Możemy jeszcze

później o tym pogadać, jak będziesz chciał.

Wiedziałem, że ten dzień w szkole wcale nie będzie przyjemny ze względu na wczorajsze wagary. Nie mogłem też do końca życia unikać pana Beaumonta. Nauczyciel prowadzący godzinę wychowawczą rzucił mi surowe spojrzenie i kazał od razu się u niego stawić. Zebrałem się w sobie i ruszyłem do gabinetu pedagoga.

– Miło cię znowu widzieć, Sam – powiedział na powitanie pan Beaumont, a następnie zasiadł w jednym z wygodnych foteli, wskazując mi drugi. – Chociaż prosiłem, abyś wpadł do mnie wczoraj. Nie spodziewałem się, że będę musiał cię ścigać.

– Tak, wiem – odparłem. – Ale nie miałem żadnego okienka.

– Rozumiem – stwierdził, chociaż wiedziałem, że jeśli posiada kopię mojego rozkładu zajęć, zdaje sobie sprawę, że wczoraj po południu miałem czas wolny na samodzielną naukę. – No dobrze, możemy odłożyć tę kwestię na później. Mamy dzisiaj dużo do omówienia.

– Naprawdę?

Zacząłem się zastanawiać, co wie i ile mam mu zdradzić. Przez chwilę rozważałem pomysł, aby opowiedzieć mu o Arcymagu, ale na samą myśl o wyrażeniu tego na głos czułem się jak wariat.

– Obawiam się, że tak. Przez cały ranek rozmawiałem z różnymi osobami o tym, co przydarzyło się w weekend Trevorowi. Włącznie z policją.

Serce zaczęło mi się tłuc w piersi.

– Policją?

– Zgadza się.

Głos pana Beaumonta stał się surowy, sprzeczny z wizerunkiem przyjacielskiego, otwartego powiernika, który stworzył podczas naszego ostatniego spotkania.

– Z tego, co rozumiem, w zeszłym tygodniu dwóch wychowanków naszej szkoły zostało rannych, a ty miałeś zatarg z obydwojema.

Poczułem, jak twarz oblewa mi się rumieńcem. Miałem nadzieję, że nie wyglądam przez to na winowajcę. Czy to znaczyło, że policja prowadzi śledztwo w sprawie tego, co spotkało Jasona? Myślałem, że nie chciał do tego mieszać organów ścigania. Tak przynajmniej twierdziła



Rachel. Zastanawiałem się, kto widział moją sprzeczkę z trzem bydłaków na pogrzebie. Byłem w stanie wydusić z siebie tylko:

– To nie tak, jak pan myśli.

Ku mojemu zaskoczeniu pan Beaumont pokiwał głową. Osunąłem się w fotelu, zdawszy sobie sprawę, że do tej pory siedziałem prosto, jakbym kij połknął.

– Mówiłem policjantom, że spotkałem się z tobą i moim zdaniem nie jesteś zdolny do aktów tego typu przemocy – poinformował. – A teraz chcę, abyś utwierdził mnie w przekonaniu, że postąpiłem słusznie.

– Oczywiście, że tak! – zawołałem, ale w moim głosie pobrzmiwała nutka powątpiewania.

– Zróbmy tak: opowiem ci, co wiem, a potem ty odwdzięczysz mi się tym samym – zaproponował pan Beaumont. – Wiem, że między tobą i Jasonem doszło do wymiany zdań na pogrzebie Haydena, a potem Jason został napadnięty przez niezidentyfikowanego napastnika. Wiem, że w weekend wdałeś się w przepychankę z Trevorem, na oczach dużej liczby osób, a tej samej nocy Trevor został zaatakowany również przez kogoś, kogo nie rozpoznał. Wiem, że Jason i Trevor to najlepsi przyjaciele Ryana Stevensa, a cała trójka, jak sam mi mówiłeś, traktowała Haydena w podły sposób. Wiem również, że jesteś wściekły, rozbity i tęsknisz za przyjacielem, a w zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o powstrzymaniu się od wybuchów złości. Wydaje mi się, że rozmowa była owocna, i chciałbym wierzyć, że uważnie mnie wysłuchałeś, dlatego właśnie powiedziałem policjantom to, co powiedziałem. Musisz jednak zdawać sobie sprawę, jak to wszystko wygląda.

Zdawałem sobie sprawę. I to doskonale. Spuściłem wzrok na dżinsy. Na prawym kolanie widniało niewielkie rozdarcie. Pociągnąłem za nitkę i tkanina zaczęła się pruć. Dostarczyło mi to pewnej satysfakcji.

– Sam, chcę, żebyś spojrział mi w oczy i powiedział, że tego nie zrobiłeś.

Podniosłem oczy, przypominając sobie rozmowę z Astrid na temat kłamstw. Nie chciałem wyjść na łgarza. Nie wiedziałem, co robić. Coś musiałem mu powiedzieć.

– Nie zrobiłem tego.

Było to tylko częściowe kłamstwo, bo wydawało mi się, że raczej tego nie zrobiłem.

Pan Beaumont wbił we mnie wzrok. Pamiętałem, że zeszłym razem był w stanie niemal czytać w moich myślach. Zachodziłem w głowę, czy i tym razem mu się to uda.

– Opowiedz zatem, gdzie byłeś, gdy tamci chłopcy zostali zaatakowani. To mnie uspokoi i może sam będę mógł przekazać wszystko policji, żeby oszczędzić ci stresu.

Ogarnęła mnie chwilowa ulga, ale zaraz potem uświadomiłem sobie, że brakuje mi alibi w przypadku obu nocy. Jednak świadomość tego, że pan Beaumont jest skłonny mi uwierzyć, działała pokrzepiająco, nawet jeśli istniało wysokie prawdopodobieństwo, iż długo to nie potrwa.

– W sobotę wieczorem byłem na imprezie.

Opowiedziałem mu, jak nagle pojawił się Trevor i zaczął się do mnie przypieprzać, i jak po raz pierwszy w życiu naprawdę się upiłem i zasnąłem przed 7-Eleven.

– Byłem na niego strasznie wściekły, ale przysięgam, że nawaliłem się w trupa.

Pan Beaumont zmarszczył brwi.

– Czy ktoś cię widział przed tym sklepem? – spytał.

– Tylko facet, który tam pracuje. Obudził mnie rano.

Twarz nadal mi płonęła, jakbym kłamał, ale przecież mówiłem prawdę. Przynajmniej tak mi się zdawało.

– Wiesz, o której wyszedłeś z przyjęcia?

Pokręciłem głową.

– Chyba przed północą, bo chciałem zdążyć przed godziną policyjną, ale tak, jak mówiłem: byłem porządnie wstawiony.

Czułem się zażenowany, że muszę się do tego przyznać, lecz nie widziałem innego wyjścia.

– A w nocy, kiedy ranny został Jason? Gdzie wtedy byłeś?

W głosie pana Beaumonta pobrzmiwała nadzieja. Wyraźnie nie chciał, aby chodziło o mnie. Zależało mi na tym jeszcze bardziej niż jemu.

– W domu.

Nieprzekonująco to zabrzmiało.

– Z kim?

– Sam. Mama często pracuje na nocną zmianę, a siostra gdzieś poszła. Chyba.

– Chyba? – Pan Beaumont zmarszczył brwi.

Westchnąłem.

– Od śmierci Haydena niewiele śpiam. Wszystko mi się miesza. Nie pamiętam, czy Rachel była w domu. Pamiętam tylko, że to ona nazajutrz opowiedziała mi, że Jason został tak potraktowany.

Pan Beaumont pochylił się do przodu, łokieć wspierając o kolano, a podbródek o dłoń. Niczym posąg antycznego filozofa.

– Trochę to niepokojące, że nikt nie może za ciebie poręczyć w przypadku żadnej z tamtych nocy. Popytaj lepiej, czy nikt się na ciebie nie natknął pod 7-Eleven albo czy siostra nie widziała cię w domu. Zrobię, co w mojej mocy, żeby samemu zająć się policją, ale niewykluczone, że na którymś etapie będziesz zmuszony pomówić z nimi osobiście.

– Czy to znaczy, że mi pan wierzy?

Nie chciałem, aby mój głos brzmiał na przepełniony nadzieją, ale nie mogłem nic na to poradzić. Jeśli mi wierzył, to może mówiłem prawdę.

Przez chwilę się wahał i zdałem sobie sprawę, że jeszcze ze mną nie skończył.

– Chcę ci wierzyć – stwierdził. – Ale miło byłoby znaleźć jakieś dowody. Zastanawiałeś się, kto inny mógłby być za to odpowiedzialny?

Oprócz Haydena i Astrid o niczym innym nie myślałem. Nikt jednak nie przychodził mi do głowy.

– Te chłopaki to zwykłe dupki. Na pewno jest ktoś jeszcze, kto ma z nimi na pieńku.

– Czy mówiąc „te chłopaki”, masz na myśli tylko Jasona i Trevora?

– Chodziło mi też o brata Haydena, Ryana. Trzeciego członka tria bydlaków.

Pan Beaumont parsknął śmiechem.

– Tak ich nazywają? Przepraszam, wiem, że to mało zabawne. Ale określenie jest dowcipne.

Jego śmiech poprawił mi nastrój. Nie śmiałyby się chyba, gdyby uważał mnie za winnego, prawda?

– Uznanie należy się Haydenowi, bo to on je wymyślił. Z tego, co wiem, tylko my tak na nich mówiliśmy. Mogę się wypowiadać tylko o tym, co robili Haydenowi. Nie mam pojęcia, czy upatrzili sobie jeszcze inne ofiary.

– Hayden był dużo bystrzejszy, niż powszechnie uważano, prawda? – spytał pan Beaumont łagodnym tonem, którego czasem używał.

Fajnie, że do kogoś to w końcu dotarło.

– O wiele bystrzejszy.

– Ryan jest zatem trzeci. Ale tylko Jason i Trevor padli ofiarą napaści.

– Na razie – dodałem i od razu tego pożałowałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przysięgam, że to nie ja i nie mam zamiaru niczego zrobić.

Chodzi mi tylko o to, że Ryan był z nich wszystkich najgorszy.

Przynajmniej dla Haydena. Jeśli ktoś się uwziął na Jasona i Trevora, logiczne jest, że Ryana też dopadnie.

I wcale nie byłem pewny, czy chcę tego kogoś powstrzymać. Ale nie miałem wyboru, skoro interesowała się mną policja.



*Let It Go***The Neighbourhood**

Z gabinetu pana Beaumonta wyszedłem przytłoczony. To wszystko było ponad moje siły – odejście Haydena, Arcymag, trio bydlaków. Musiałem się upewnić, że nie zwariowałem, a ostatnimi czasy pozwalało mi na to wyłącznie towarzystwo Astrid. Wyglądałem jej w stołówce podczas lunchu, ale na próżno. Jej znajomi siedzieli jednak przy tym stole co zwykle, włącznie z Erikiem, więc pomyślałem – a co tam! – podejdę i spytam, czy wiedzą, gdzie jest.

– Hej, Sam! – zawołał brodaty Damian. – Chcesz z nami usiąść? Posuń się, Jess.

Trącił łokciem drobną dziewczynę z krótkimi włosami, którą rozpoznałem z imprezy. Spuściła wzrok, ale skinęła głową i zrobiła dla mnie miejsce.

Nie planowałem z nimi siedzieć, ale nigdzie się przecież nie spieszyłem.

– Dzięki – powiedziałem.

Nie przyniosłem żadnego jedzenia, ale nie byłem głodny.

– Tak naprawdę szukam Astrid. Widzieliście ją może?

Wszyscy przy stole spojrzeli na Erica, co miało sens. Chłopak kiwnął głową.

– Pewnie, była wcześniej na zajęciach. Chyba darowała sobie lunch, żeby pouczyć się do testu. Mogę ci pokazać, gdzie jest jej szafka, jeśli chcesz ją złapać przed szóstą lekcją.

– Byłoby super – odparłem, chociaż poczułem się niezręcznie.

Dziwne, że chłopak Astrid chciał pomagać innemu koleśowi, któremu się ewidentnie podobała – nie łudziłem się, że dobrze wychodzi

mi skrywanie tego – ale właściwie to miło z jego strony.

– Nie ma sprawy – powiedział Eric.

Zastanawiałem się, czy w ogóle postrzega mnie jako zagrożenie.

Stołówka mieściła się na parterze, a szafka Astrid znajdowała się na ostatnim piętrze, w najodleglejszym kącie. Gdy Eric zdradził mi jej położenie, przestałem się dziwić, że nie wpadaliśmy na siebie z Astrid. Szkoła została podzielona na cztery sektory – moja szafka znajdowała się w południowo-zachodnim rogu, gdzie wszystkie były czerwone, podczas gdy szafka Astrid należała do tych jaskrawożółtych, umieszczonych w północno-wschodniej części budynku. Od samego przebywania w tamtym korytarzu zaczynała mnie boleć głowa.

– Sorry, że nie pogadaliśmy na imprezie – odezwał się Eric, gdy wchodziliśmy po schodach.

Miał na nogach bajeranckie buty ze spiczastymi noskami, które klikały przy każdym kroku. Do tego getry. Co za hipster.

– Słyszałem, że naparzialiście się z Trevorem – dodał.

Co miał przez to na myśli? Że jego zdaniem to ja zraniłem Trevora?

– Naparzialiśmy się?

– No tak, na imprezie. Ominęła mnie cała akcja, ale ludzie mi potem opowiadali, że przyłał ci w twarz. Słyszałem, że nieźle go opieprzyłeś.

– No, tak, zawsze się zachowywał jak dupek w stosunku do Haydena – wyjaśniłem. – Warto było dostać w pysk, żeby móc mu wygarnąć.

Bąłem się zadać to pytanie, ale i tak to zrobiłem:

– Słyszałeś o tym, co się potem wydarzyło?

– O, tak. – Spojrzał na mnie kątem oka, gdy przedzieraliśmy się przez chmurę dzieciaków zmierzających na kolejną lekcję. – Dostał to, na co zasłużył, nie? Tak jak Jason.

Przypomniała mi się uwaga Astrid na temat karmy.

Nie byłem pewny, co wyraża spojrzenie Erica. Czyżby próbował skłonić mnie do jakiegoś wyznania?

– Wygląda na to, że Trevor nieźle oberwał.

– Do wesela się zagoi – skomentował Eric.

Próbował zabrzmieć bezwzględnie, jednak głos trochę mu zadrżał. Mogłem się założyć, że tak jak ja uważa, iż to wszystko zaszło za daleko.

– Będzie miał czas na rozmyślenia o piekle, które zgotował innym ludziom.

– Wydaje ci się, że taki mięśniak jak on nad czymkolwiek się zastanawia? – spytałem.

Eric zarechotał.

– Pewnie nie. Gdyby miał chociaż minimalną zdolność do autorefleksji, dokonałby samozniszczenia.

Eric zatrzymał się przed szafką tak gęsto oklejoną nalepkami, że nie dało się stwierdzić, jakiego była koloru. Wyglądała, jakby zaatakował ją jakiś ośmiolatek – cała była w tęczach, jednoróżcach i kotkach.

– Nie spodobała jej się ta żółć – wyjaśnił Eric.

– No coś ty.

– Słuchaj, muszę lecieć na zajęcia, więc zostawię cię teraz samego. Ale musimy się niedługo spotkać. Zdaję sobie sprawę, że pewnie na razie nie wychodzisz zbyt często z powodu tego, co się stało z twoim kumplem, ale gdybyś miał ochotę gdzieś wyskoczyć, to przychodzi dziś do mnie paru znajomych. Astrid też. Powinieneś wpaść.

– Wielkie dzięki – odparłem. – Może tak właśnie zrobię.

– No to jesteśmy umówieni.

Przybił ze mną żółwika, a następnie odszedł korytarzem. Chyba nigdy wcześniej nie stuknąłem się pięściami z nikim oprócz Jimmy'ego. Czyżby zaprosił mnie szczerze, czy wcielał po prostu w życie filozofię nakazującą, by mieć wrogów na oku, żeby móc strzec przede mną Astrid? Zabawne, ale było mi chyba wszystko jedno. Polubiłem jej znajomych, włącznie z Erikiem, i na samą myśl o spędzaniu z nimi czasu czułem się mniej samotny.

Astrid nie dotarła do szafki przed rozpoczęciem lekcji, ale i tak miałem godzinę na samodzielną naukę, czekałem więc na nią, uważając, żeby nie natknąć się na dyżurnych. Włożyłem do uszu słuchawki i włączyłem piosenkę z playlisty. Napisał ją młody zespół, którego niedawno zaczęliśmy słuchać. Muzykę cechowała pełna napięcia



atmosfera, którą uznałem za stosowną. Jeśli Hayden próbował przekazać mi coś za pośrednictwem tej składanki, to niestety nic do mnie nie docierało. Może powinienem bardziej skupiać się na tekstach? Kawalek sugerował, że Hayden uważał, iż ludzie go okłamują. Wiele rzeczy można mi było zarzucić, ale oszukiwanie Haydena do nich nie należało. Musiałem pamiętać, że moim celem jest dowiedzieć się, co tak naprawdę zaszło.

Astrid pojawiła się w końcu przed szafką kilka minut po dzwonku, a ja uzmysłowiłem sobie, że w ostatnim czasie moje priorytety uległy zmianie. Z poczuciem winy zauważyłem, że wygląda ślicznie, tak jak zwykle. Pasma jej włosów były dziś czerwone, żółte i zielone, a ubrała się w koszulkę z Bobem Marleyem.

– Sam! – zawołała, uśmiechając się szeroko. – Co ty tu robisz?

Byłem tak podekscytowany faktem, że cieszy się na mój widok, iż prawie zapomniałem języka w gębie.

– Szukałem cię – oznajmiłem.

– I znalazłeś. Ale muszę lecieć na lekcję. Spotkasz się ze mną po szkole? Mam straszną ochotę na frytki, a ty obiecałeś przecież, że zabierzesz mnie na najlepsze w mieście.

– Z przyjemnością – odparłem, uśmiechając się do niej tak szeroko, że twarz prawie rozpadła mi się na pół. – Do zobaczenia po południu.

To tyle, jeśli chodzi o plan zdrzemnięcia się i nadrobienia zaległości ze snu. Ale chciałem zadać Astrid tak wiele pytań, poczynawszy od tych wynikających z pobudek egoistycznych (Czy Eric był w końcu jej chłopakiem, czy nie?), po te poważne (Skąd wiedziała o Atenie? I kim ona właściwie była?). Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Na szczęście moją ostatnią lekcją był angielski, a pan Rogers zazwyczaj ignorował mnie, gdy przysypiałem w klasie, mimo że moja ławka stała tuż przed jego biurkiem.

Krótką drzemką przywróciła mi wystarczająco dużo energii, abym mógł się puścić biegiem w kierunku szafki Astrid, gdy tylko zabręczał dzwonek. Też musiała biec, bo dotarła tam pierwsza.

– Umieram z ciekawości – powiedziała na mój widok. – Gdzie idziemy?

– Słyszałaś o lokalu Petersonów?

Petersonowie od lat pięćdziesiątych prowadzili bar z napojami gazowanymi położony niedaleko centrum. Właściciele nie mieli dzieci, a parę przecznic dalej swój lokal otworzyła sieć lodziarni Cold Stone Creamery, domyślałem się więc, że niedługo pójda z torbami. Lubiłem do nich chodzić, kiedy tylko się dało, więc czasami wybieraliśmy się tam z Haydenem przy okazji wizyty w centrum handlowym. Ze szkoły szło się tam zaledwie kwadrans.

– Brzmi znajomo. Chyba wiem, o które miejsce chodzi. Ale ono zawsze wygląda na zamknięte.

– Bo często tak jest – przyznałem. – Otwierają je naprawdę w dziwnych godzinach. Ale po południu zazwyczaj pracują. Czasami chodziliśmy tam z Haydenem po lekcjach, w drodze do centrum handlowego.

Nic nie odpowiedziała, tylko chwyciła mnie za rękę i przez chwilę ją ścisnęła. Żałowałem, gdy ją puściła, bo na ten krótki czas, gdy nasze dłonie były splecione, moją głowę opuściły wszelkie pytania. Jednak gdy tylko się rozdzieliły, pytania powróciły.

Początkowo szliśmy w milczeniu, mijając pola, z których w większości zebrano już plony, chociaż na niektórych nadal sterczały wysokie łodygi kukurydzy, idealne na halloweenowe labirynty. Czułem zapach palonych liści. Miło było iść obok Astrid, czując, że nie musimy na siłę wypełniać ciszy słowami. Tyle że nie do końca była to prawda – nie odzywałem się po części dlatego, aby z moich ust nie wyskoczyło pytanie: „Skąd wiedziałaś o Atenie?”. Bo musiała zaistnieć stosowna okazja na nawiązanie tej rozmowy.

Astrid też wydawała się lekko nerwowa – nieustannie ciągnęła za przedłużone kosmyki włosów i niemalże szła w podskokach. Zupełnie jakby wiedziała, że muszę z nią porozmawiać. Co pewnie miało sens: ostatnią rzeczą, którą mi wyjawiała, było hasło, musiała się zatem spodziewać, że będę chciał zadać parę pytań.

Gdy dotarliśmy do Pijalni Napojów Gazowanych Petersonów, przytrzymałem otwarte drzwi, a Astrid weszła do środka.

– Ależ waćpan szarmancki – skomentowała, dygając.

W sposobie, w jaki to powiedziała, coś przypomniało mi zapisy rozmów Haydena i Ateny. Głośno przełknąłem ślinę. Co Astrid

wiedziała na ich temat?

W lokalu znajdowały się tylko kontuar pokryty łuszczącym się linoleum oraz kilka stołków o siedziskach obitych popękana czerwoną skórą, z której wyłaziła gąbka. Wiedziałem, że nie jest to najprzyjemniejsze miejsce na świecie, ale miałem nadzieję, że Astrid mi zaufa, chociaż przez głowę przemknęła mi myśl, iż może sam nie powinienem jej ufać.

– Może być tutaj? – spytałem, wskazując na dwa najmniej zdezelowane stołki.

– Spoko. Gdzie są karty?

– Nie potrzebujemy ich. Pani pozwoli.

– Dżentelmen ma zamiar zamówić coś dla damy? – spytała.

I znowu przyszło mi do głowy, że ona brzmi zupełnie jak Atena. Co z kolei przypomniało mi, że Astrid interesuje się grecką mitologią. Na pewno wiedziała, że Atena jest boginią wojny, jak poinformowała dziewczyna w zapisie rozmowy z czatu.

A co, jeśli ona nie tylko wiedziała, kim jest Atena, ale sama nią była?

Niemożliwe. Bez sensu. W ogólnie nie potrafiłem wyobrazić sobie Astrid i Haydena razem. A może po prostu nie chciałem, żeby okazało się to prawdą?

Od konieczności odezwania się ocalił mnie pan Peterson, który pojawił się w końcu za ladą. Musiał już mieć z dziewięćdziesiątkę: był całkiem siwy, miał skórę pokrytą plamami wątrobowymi i wyglądał na przemęczonego. Kiedyś próbowałem z nim gawędzić; chciałem, żeby mnie zapamiętał, chciałem być osobą, dla której warto otworzyć lokal. Miałem też ochotę dowiedzieć się o Petersonach czegoś więcej niż tylko podstawowych danych na temat baru umieszczonych na papierowych podkładkach, które obecnie przed nami rozłożył. Jednak albo brakowało mi uroku osobistego, albo pan Peterson miał gdzieś moje starania – nasze rozmowy nigdy nie wykroczyły poza opis składanego zamówienia, a staruszek za każdym razem mnie nie rozpoznawał.

– Wiecie, na co macie ochotę? – zaskrzeczał.

– Dwa czekoladowe koktajle jajeczne i dużą porcję karbowanych frytek – zamówiłem.

– Koktajle jajeczne? – spytała Astrid, gdy pan Peterson oddalił się powolnym krokiem. – W sensie: z surowych jaj? Jesteś pewny, że to dobry pomysł?

– Od dwustu lat nie dodają do nich prawdziwych jajek – wyjaśniłem. – To tylko mleko, syrop i woda gazowana. Ale smakuje bosko.

Petersonowie może i poruszali się ospale, ale stanowili zgrany duet. Gdy frytki wrzucone przez pana Petersona do oleju zaczynały skwierczeć, jego żona kończyła już szykować napoje. Astrid usiłowała ich zagadać podczas pracy, ale zignorowali ją tak jak mnie.

– Też kiedyś próbowałem – powiedziałem, ciesząc się, że przyszło nam do głowy to samo, ale i doświadczając ulgi wywołanej faktem, iż nie poszło jej lepiej niż mnie.

Pani Peterson postawiła przed nami koktajle: z pianki zalegającej na czubku obu staromodnych szklanek wystawały powyginane słomki. Astrid pociągnęła długi łyk, a gdy przełknęła, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Miałem rację? – spytałem, na co skinęła głową.

– Skąd wiedziałeś, żeby to zamówić? – spytała. – Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– To stary przysmak rodem z Brooklynu – odparłem. – Pijałem je z tatą, kiedy mieszkaliśmy jeszcze na wschodzie.

– Nie jestem pewna, czy wiedziałam, że nie mieszkasz tu od dziecka – wyznała Astrid.

– Nie miałybyś skąd – powiedziałem. – Przenieśliśmy się do Libertyville, gdy miałem osiem lat, ale mieszkamy w drugiej części miasta. A ja do tej pory nie spędzałem czasu z żadną czirliderką.

– Zbyłą czirliderką – poprawiła. – Ale chodzę do trzeciej klasy. Jakby nie patrzeć, zadając się z drugoklasistą, ocieram się o mezalians.

– Chciałem ci doradzić, żebyś nie pozwoliła znajomym oglądać cię w moim towarzystwie, ale Eric powiedział, abym wieczorem do was dołączył. – Uznałem to za stosowne wprowadzenie. – A skoro już o nim mowa...

– Tak się składa, że chciałam cię o coś spytać – weszła mi w słowo Astrid, bawiąc się pasemkiem włosów. – Jest to kwestia potencjalnie

żenująca, więc chciałabym załatwić ją od razu.

O nie. Nie mogło chodzić o nic dobrego.

– To znaczy: żenująca dla mnie – sprecyzowała, a ja wypuściłem powietrze z płuc. – Chodzi o to, że już kilka razy spędzaliśmy ze sobą czas i było bardzo fajnie. Chyba z nikim innym nie dogaduję się równie dobrze, jak z tobą.

– Z wzajemnością – powiedziałem, czekając, aż powie „ale”.

– Ale... – Na dźwięk tego słowa żołądek zacisnął mi się w supeł. – Chociaż miałeś mnóstwo szans na to, żeby się do mnie przystawiać, nawet nie kiwnąłeś palcem. Czyżbym źle interpretowała sytuację? Rozumiesz, co miałam na myśli, mówiąc, że to może być dla mnie żenujące?

Rzeczywiście, oblała się wściekłym rumieńcem. Tyle że ja się spodziewałem czegoś całkiem innego.

– Chciałaś, żebym się do ciebie przystawiał? – wydusiłem z siebie w końcu, w wyobraźni spadając ze stolka, a potem zbierając się z brudnego linoleum.

Oczywiście pan Peterson wybrał ten właśnie moment, aby postawić między nami koszyk pełen frytek.

– Ketchup?

– I pieprz – poprosiła Astrid.

– Pieprzysz frytki? – spytałem.

– Nie, ketchup.

– Dziwna z ciebie dziewczyna – stwierdziłem. – No, ale moje pytanie. Jeszcze nie odpowiedziałaś.

– Czytaj między wierszami – powiedziała. – Zresztą ty też na moje nie odpowiedziałaś.

Trafna uwaga.

– Bo jestem zdezorientowany – wyznałem. – No bo co z Erikiem?

– Co z nim? – spytała zaskoczona. Dobry znak.

– Myślałem, że jest twoim chłopakiem.

Moje wyczucie czasu okazało się nie najlepsze. Astrid włożyła chwilę wcześniej do ust obficie popieprzoną frytkę i teraz wybuchła śmiechem tak mocnym, że zaczęła się krztusić. Co prawda zastosowanie manewru Heimlicha nie było konieczne, ale i tak w powietrzu zaczęły

fruwać smażone ziemniaki, a oczy Astrid wypełniły się łzami. Usunąłem z koszuli kawałek frytki i czekałem, aż dojdzie do siebie.

– Och, ty chowany pod kloszem słodziaku! – zawołała w końcu. – Bez dwóch zdań twój gejdar jeszcze się do końca nie wykształcił.

Gejdar? Gejdar! Moje nowe ulubione słowo!

– Eric jest moim najlepszym przyjacielem. Do niedawna był w poważnym związku z chłopakiem, ale obecnie oboje jesteśmy wolni jak ptaki. Chyba rzeczywiście spędzamy razem sporo czasu, więc rozumiem, dlaczego mogłeś tak pomyśleć. Ale nie. Wykluczone. I muszę wyznać, że bardzo mi ulżyło, że wszystko udało się tak łatwo wyjaśnić.

Mnie też. Serce biło mi tak mocno, że czułem pulsowanie za oczami.

– Chcesz więc powiedzieć, że gdybym zaczął się do ciebie przystawiać...

– Musisz spróbować, żeby się przekonać, stary.

W dalszym ciągu się uśmiechała i czyżby mi się zdawało, czy zaczęła nachylać się do mnie?

A więc nie martwiła się, że zacznę wypytywać o Atenę. Zachowywała się nerwowo, bo jej się podobałem. Nie mogłem w to uwierzyć! To właśnie było to: chwila, na którą czekałem. Trzęsła mi się ręka, gdy wyjmowałem z uchwytu na ladzie papierową serwetkę, a potem pochylałem się ku Astrid, żeby usunąć z jej policzka zabłąkany kawałek frytki pokryty keczupem.

– Tak lepiej – oświadczyłem i wreszcie ją pocałowałem.









*Say Something***A Great Big World**

– Wow – powiedziałem, gdy zrobiliśmy przerwę na zaczerpnięcie powietrza.

– „Wow” to właściwa reakcja – zgodziła się Astrid.

Pocałowałem ją ponownie. Na wargach czułem chłód jej koleczka, co wcale nie było tak dziwne, jak sobie wyobrażałem. Zdałem sobie bowiem sprawę, że wyobrażałem już sobie tę chwilę, i to częściej, niż mi się zdawało. Całowanie Astrid sprawiało wrażenie znajomej czynności, chociaż nigdy przedtem nie całowałem się z żadną dziewczyną.

Mogłem przesiedzieć cały dzień u Petersonów, jedząc frytki, pijąc koktajle jajeczne i całując Astrid, ale przecież spotkałem się z nią w konkretnym celu. Być może umknęło mi coś na temat Ateny, tak jak opacznie rozumiałem wcześniej relacje Astrid i Erica. Nie wiedziałem tylko, od czego zacząć.

– *A propos* naszego poprzedniego spotkania... – odezwałem się.

– Tego, kiedy powinienesz był mnie pocałować, ale tego nie zrobiłeś? – spytała Astrid.

– Nie o to mi chodzi. Gdy już wróciliśmy do szkoły...

– ...i powinienesz był mnie pocałować, ale tego nie zrobiłeś?

Droczyła się ze mną. Sądziła pewnie, że flirtujemy i z przykrością musiałem ją zawieść.

– Jeszcze długo będziesz mi to wypominać, prawda? – spytałem, chociaż bałem się, że użycie przeze mnie słowa „długo” to zbyt śmiałe założenie.

– Nie – odparła, po czym znowu mnie pocałowała.

Z trudem byłem w stanie się od niej oderwać. Musiałem jednak

pamiętać o moich priorytetach. Tak wiele rzeczy trzeba było jeszcze rozgryźć. Nie miałem pojęcia, czy zgłębienie natury związku Haydena oraz tego, jak się potoczył, pomoże mi zrozumieć, co się przytrafiło szkolnym dręczycielom, ale jeśli istniał choć cień szansy na to, aby oczyścić mnie z podejrzeń, to chciałem to wykorzystać. Odsunąłem twarz od twarzy Astrid, ale nadal siedziałem tak blisko niej, że nasze ramiona się stykały. Wyciągnąłem dłoń i delikatnie nawinałem sobie na palec jedno z przedłużonych pasemek jej włosów.

– Zawsze chciałem wiedzieć, jakie to uczucie – wyznałem.

– Teraz już wiesz – odparła, ale jej twarz zmieniła wyraz. Moja mina musiała mnie zdradzić. – Ale nie o tym chcesz rozmawiać.

– Nie o tym – przyznałem.

Przygryzła wargę, która była już lekko zaczerwieniona i napuchnięta od całowania.

– Śmiało. Powiem ci wszystko, co będziesz chciał wiedzieć.

Taką właśnie żywiłem nadzieję.

– Tamtego dnia przed szkołą, gdy opowiedziałem ci o komputerze Haydena. Miałaś rację. Hasłem była Atena.

Nieznacznie skinęła głową.

– To dla mnie żadne zaskoczenie – oznajmiła.

– A w końcu nigdy mi nie opowiedziałaś, jak poznałaś Haydena.

Wstrzymałem oddech. Nie miałem pojęcia, co odpowie. Nie miałem pojęcia, co chciałbym usłyszeć.

– Czy to naprawdę takie ważne? – spytała. – On odszedł. Nic nie przywróci mu życia.

– Wiem. Ale w dalszym ciągu męczy mnie wiele pytań. Muszę przynajmniej spróbować to wszystko zrozumieć. Jeśli wiesz więcej ode mnie, musisz mi pomóc.

– To długa historia – westchnęła Astrid.

– Nigdzie się nie spieszę.

Przez chwilę milczała, a potem zrobiła przeciągły wydech. Wyglądało na to, że też wstrzymywała powietrze w płucach.

– No dobra, to jedziemy.

Wzięła do ręki frytkę i zanurzyła ją w popieprzonym keczupie; widziałem, że próbuje grać na zwłokę. Miałem tylko nadzieję, że nie ma

zamiaru mnie okłamać.

– Pamiętasz, gdy opowiadałam ci o chłopaku, w którym byłam zabujana?

Skinąłem głową. Zakładałem wtedy, że to Eric, ale obecnie wiedziałem już, że byłem w błędzie.

– Chodziło o Ryana Stevensa.

Poczułem się, jakby ktoś przygrzał mi pięścią w żołądek. Zalała mnie potężna fala zazdrości, która tak naprawdę pozbawiona była sensu, skoro ich związek już się zakończył, a nasz dopiero zaczynał. Nakazałem sobie wysłuchać, co ma mi do powiedzenia, tak jak polecił mi Hayden.

– Poznaliśmy się, gdy byłam w pierwszej klasie. Niedługo wcześniej dołączyłam do zespołu czirliderek, a on trafił do szkolnej reprezentacji lacrosse. Bardzo mi schlebiało, że podrywa mnie drugoklasista, i wszystkie moje koleżanki uważały go za niezłe ciacho. Ja zresztą też. Naprawdę sprawiał wrażenie, jakby wiedział, czego chce, rozumiesz? Był bystry, przystojny, wysportowany – czegoż więcej mogłam chcieć?

W jej głosie pojawiła się nutka goryczy. Nie miałem pojęcia, co ją wywołało.

– Często spędzałam czas u niego w domu. To tam poznałam Haydena.

Jej głos znowu złagodniał.

– Był taki słodki. Z początku nieśmiały, niewiele się do mnie odzywał. Ale gdy się już ośmielił, pozwalał mi wchodzić do swojego pokoju.

– Który wyglądał jak wnętrze Gwiazdy Śmierci – dodałem z uśmiechem.

Zaśmiała się.

– Tak, było tam dosyć specyficznie. A gdy zaczął opowiadać o *Mage Warfare*...

– ...zastanawiałaś się, skąd przyszło ci do głowy, że jest nieśmiały.

– Właśnie. Jak już zaczął gadać, nie dało się go uciszyć, ale miało to swój urok. Nie mogłam pojąć, dlaczego nie są w stanie dogadać się z Ryanem.

– Nie przyszedł ci do głowy wieczny konflikt między

sportowcami i mózgowcami?

– Fakt, nie mieli ze sobą wiele wspólnego, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Poznałeś jednak ich rodziców, wiesz, jacy są. Mają niezwykle rygorystyczne oczekiwania, którym nie da się sprostać. Ryan starał się, jak mógł, i widziałam, że go to wykańcza. Hayden po prostu się na to nie zgodził. Mieli różne strategie, ale problem pozostawał ten sam.

Nigdy wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób.

– Robiłam, co w mojej mocy, żeby ich do siebie zbliżyć, ale nic tak naprawdę nie skutkowało. Nie pomagał też fakt, że kumple Ryana byli strasznymi dupkami.

– Amen – przytaknąłem.

– W każdym razie tak właśnie poznałam Haydena.

Zamilkła, przygryzając wargę.

– A co się stało z tobą i Ryanem? – Widziałem, że wolałaby o tym nie mówić, ale musiałem wiedzieć.

Spuściła wzrok na brudne linoleum na podłodze.

– Chodziliśmy ze sobą przez jakiś rok. Aż do...

– Wypadku – dokończyłem.

Nic dziwnego, że nie chciała na ten temat rozmawiać.

– Po śmierci taty byłam kompletnie zagubiona. Pojechał po jedzenie na wynos, a ja nie mogłam przestać myśleć, że gdybym umiała gotować albo nie była głodna, albo poprosiła o pizzę zamiast chińszczyzny... Tak wiele rzeczy dałoby się zrobić, aby temu zapobiec. Wiesz?

– Tak – odparłem. – Wiem.

I wiedziałem bardzo dobrze.

– Obecnie rozumiem już, że to nie była moja wina, a przynajmniej nie bardziej niż kobiety, która w niego wjechała, bo jej samochód był tak stary, że nie miał ABS-u, czy bogów odpowiedzialnych za pogodę, który zesłali mroźny deszcz, sprawiając, że droga zrobiła się śliska. Ale byłam kompletnie rozbita i potrzebowałam odpocząć od siebie samej. Wtedy właśnie narodziła się Astrid.

Przesunęła dłoń od czubka swojej głowy aż do stóp.

– Astrid jest cudowna – powiedziałem łagodnie.

– Astrid jest konieczna – poprawiła. – Sądziłam, że Ryan to zrozumie. Sam stworzył sobie przecież wizerunek idealnego dziecka, żeby osłonić się przed rodzicami. Hayden z kolei uciekał do świata *Mage Warfare*. Astrid wcale tak bardzo się od nich nie różniła. Ale ci jego kumple, ci jego pojebani, wstrętne kumple... nabijali się z niego, bo chodził z taką dziwaczką jak ja. Moi znajomi zresztą też nie okazali się lepsi. Nie docierało do nich, dlaczego potrzebna mi była odmiana, i wykopali mnie z drużyny czirliderek za naruszenie zasad dotyczących ubioru czy z jakiegoś równie durnego powodu. Gdy Ryan w końcu ze mną zerwał, czułam się, jakbym straciła wszystko.

– Złamał ci serce – stwierdziłem.

Parsknęła z pogardą.

– Głupawo to brzmi, co? Ale tak, oczekiwałam od niego czegoś lepszego. Wydawało mi się, że jest inny niż Jason i Trevor, ale byłam w błędzie. I nigdy mu tego nie wybaczę.

Chociaż ucieszyłem się na wieść, że Ryan nie stanowi dla mnie żadnej konkurencji, sposób, w jaki o nim mówiła, wprowadził mnie w zdenerwowanie. Nigdy nie pozwoliłbym sobie podobnie jej zranić, ale wciąż istniało wiele pytań, na które musiałem znaleźć odpowiedzi. A najbardziej naglące z nich brzmiało: kim jest Atena? Czyżby naprawdę była nią Astrid? Jak bliscy stali się dla siebie z Haydenem?

– Posłuchaj, wiem, że chcesz dowiedzieć się wielu rzeczy – powiedziała Astrid – ale ta rozmowa strasznie mnie dołuje, a już zaczynałam się przyzwyczajać do uczucia radości. Możemy pogadać o tym wszystkim kiedy indziej?

Nachyliła się i raz jeszcze mnie pocałowała, a ja zrozumiałem, że moje pytania zmuszone będą czekać tak długo, jak ona zechce.

– No dobra, dzieciaki, pora uregulować rachunek – przerwał nam pan Peterson. – Zamykamy lokal.

Czyżbym to sobie wyobraził, czy na jego ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu? Która w ogóle była godzina? Zegarek pokazywał szóstą z minutami. Najwyraźniej zaburzenia poczucia czasu nękały mnie nie tylko w domu.

– Chodźmy do Erica – zaproponowała Astrid. – Naprawdę powinieneś spędzić trochę czasu z tymi ludźmi. Poza tym Eric ci

kibicował i będzie mocno podjarany, gdy się dowie, że mnie pocałowałaś.

– Tylko mu nie mów, że mnie do tego zmusiłaś – poprosiłem, kładąc na ladzie pieniądze.

– Potrzebowałaś tylko kilku słów zachęty – odparła.

Do Erica dało się dojść na piechotę, ale jego dom znajdował się w przeciwnym kierunku do mojego i zacząłem się zastanawiać, jak potem wrócę do siebie.

– Nie martw się, coś wymyślimy – zapewniła mnie Astrid i ruszyliśmy przed siebie, trzymając się za ręce, jakby była to dla nas najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Zdawałem sobie sprawę, że ona nie ma już ochoty na żadne pytania, ale nie mogłem się powstrzymać – na pewno mogła wyjawić mi kilka niewinnych faktów.

– Wiesz, Hayden nigdy mi nie wspomniał, że się znacie.

– To zabawne, bo o tobie gadał bez przerwy – odparła. – Dlatego właśnie chciałam cię poznać. Skoro miałeś być równie słodki, jak on, a do tego przystojny...

Zarumieniłem się. Uważała mnie za przystojniaka?

– Jemu też kazałaś obejrzeć *Donniego Darko*? Na jego playliście był kawałek z filmu.

– Na jakiej playliście?

Zdałem sobie sprawę, że chociaż słuchaliśmy wspólnie jednej z piosenek, jeszcze nigdy nie opowiedziałem jej o składance.

– Hayden zrobił dla mnie playlistę. Przed śmiercią. Jest na niej trochę piosenek, które znam, i drugie tyle takich, których nie znam. Napisał, że gdy ich posłucham, wszystko zrozumie.

Wyraz twarzy Astrid ponownie uległ zmianie. Może przeholowałem?

– Tak, mówiłam mu o tym filmie – przyznała w końcu. – Uznał go za zbyt dziwny. Ale soundtrack przypadł mu do gustu.

Zdobyłem jeden fragment układanki. Zastanawiałem się, czy inne utwory też znał od niej, ale nie chciałem przeginać.

– Superkawałek – powiedziałem. – Kto jeszcze grał na tej ścieżce dźwiękowej?

Chyba jej ulżyło i przez resztę drogi do domu Erica rozmawialiśmy o muzyce i filmach. Podobnie jak ja, Astrid słuchała głównie alternatywy, gadaliśmy więc o tym, że znalezienie czegoś wartego uwagi w radiu graniczy z cudem, oraz o lubianych przez nas zespołach. Słuchałem uważnie, aby sprawdzić, jak wiele z nich pojawia się na składance, ale albo Astrid nie była Ateną, albo miała się na baczności – większość wspomnianych przez nią kapel znałem już wcześniej, nie umiałem więc stwierdzić, czy to ona podsunęła Haydenowi świeżą muzykę. Nie wiedziałem, co myśleć. Z powodów, które nie do końca rozumiałem, nie chciałem, żeby okazała się Ateną, nie miałem jednak pojęcia, kto inny mógłby nią być.

– Mogę posłuchać czegoś jeszcze z tej playlisty? – poprosiła. – Masz ze sobą iPoda?

– Zawsze go mam – odparłem, po czym wyciągnąłem urządzenie z kieszeni.

Przez chwilę się zastanawiałem, którą piosenkę jej puścić. Na składance znajdowało się wiele pięknych kawałków, ale jednocześnie były smutne, a ja nie chciałem jej znowu dołować. Przyszło mi do głowy, że mógłbym przeprowadzić test: wybrać jedną z piosenek, których jeszcze nie słuchałem, i sprawdzić, czy Astrid ją zna. Nie byłem jednak pewny, co chcę od niej usłyszeć. W końcu wybrałem jakiś utwór i podzieliliśmy się słuchawkami, tak jak w dniu pogrzebu Haydena.

Szliśmy, słuchając, a powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Słońce zachodziło w odcieniach czerwieni, różu i fioletu, od których pola kukurydzy wydawały się lśnić. Miałem nadzieję, że Astrid nie przeoczy fragmentu, o który mi chodziło – tego, w którym mowa o byciu tym jedynym, jeśli tylko ta druga strona będzie miała na to ochotę. Nie chciałem, żeby piosenka dobiegła końca, ale i tak się skończyła. Jak wszystko inne.

Gdy milkły ostatnie nuty, przystanąłem i przyciągnąłem Astrid do siebie. Całowaliśmy się już, ale jeszcze się nie przytulaliśmy i strasznie miło było przyciskać ją do siebie, czuć, jak jej ciało dopasowuje się do mojego. Prawie dorównywała mi wzrostem, co uznałem za idealne.

– Pomogła? – spytała Astrid.

– Co?



– Playlista. Pomogła ci coś zrozumieć?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Jeszcze nie – przyznałem. – Ale powoli zaczynam dostrzegać, że może wina nie leżała tylko po mojej stronie.

– Dobry początek – zauważyła.

I na razie to musiało wystarczyć.



*Everybody Knows***Leonard Cohen**

Znowu zaczęliśmy iść i po jakimś czasie skręciliśmy na nieutwardzoną drogę nieopatrzoną żadną nazwą, tylko numerem.

– To tu mieszka Eric? – spytałem głupio.

Nie byłem pewny, czego się spodziewać po Ericu – chłopaku ubierającym się w getry i obcisłe dzinsy – ale raczej nie tego, że mieszka na farmie. Bo nie było wątpliwości, że tam właśnie się znaleźliśmy. Znajdowały się tu: biały dom, czerwona stodoła, owce, świnię, kury – cały zestaw.

– Wyobrażałeś sobie coś innego? – spytała Astrid ze śmiechem. – Jego rodzina prowadzi gospodarstwo. Wszystko jest tu organiczne, samowystarczalne, niemodyfikowane. Sprzedają mięso i produkty rolne na targach w całym stanie.

– Eric nie buntuje się przeciwko temu?

– Ani trochę. Bardzo się tym wszystkim jara. Ma swój własny ogród i jeździ z rodziną na targi, kiedy tylko się da. Umie prowadzić traktor. Wie nawet, jak go naprawić.

Z jakiegoś powodu kompletnie mnie to zaskoczyło.

– Nie tylko ty prowadzisz drugie życie poza szkołą – zauważyła Astrid.

– Najwyraźniej.

Trafiła w dziesiątkę. Poczulem wstyd wywołany wcześniejszymi domysłami na temat Erica, które okazały się błędne. Nie był ani chłopakiem Astrid, ani ucieleśnieniem stereotypów dotyczących hipsterów, a to, że był gejem, nie wpływało na jego relacje z rodziną.

Czyżbym był równie mocno uprzedzony, co większość ludzi?

Miałem nadzieję, że nie.

Z miejsca, w którym staliśmy, farma przedstawiała sielankowy widok. Słońce prawie już zaszło i ostatnie czerwone promienie oświetlały biały dom.

– No chodź – powiedziała Astrid, po czym zaczęła biec w kierunku drzwi.

Zanim zdążyłem ją dogonić, zanim zdążyła do nich zapukać, otoczyła ją hałastrą dzieci i psów, które najwyraźniej dobrze ją znały. Dzieci miały włosy w różnych odcieniach blondu, a najstarsze mogło mieć jakieś osiem lat. Psy były labradorami o biszkoptowej lub czekoladowej sierści.

– Astrid przyszła! – wrzeszczały dzieciaki, podczas gdy psy na zmianę wskakiwały jej na nogi i lizały twarz.

Nie wyglądało to zbyt przyjemnie, ale na ustach Astrid widniał szeroki uśmiech, który przywitałem z wdzięcznością, gdyż upewnił mnie, że nie muszę rzucać się jej na ratunek. Nie przepadam za psami.

– Przyszłaś się z nami pobawić, prawda? – spytało najstarsze dziecko.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy to chłopiec, czy dziewczynka, bo wszystkie miały na sobie dzinsy oraz bluzę, a ich kręcone włosy były dosyć długie.

– Obawiam się, że nie tym razem – wyznała Astrid.

– Zawsze przychodzisz tylko do Erica! – zaskomlało inne dziecko.

– Pewnego dnia będę tylko i wyłącznie do waszej dyspozycji, obiecuję – odparła Astrid. – Wpuściecie nas, czy nie?

Zgraja dzieci i psów rozbiegła się równie szybko, jak się zgromadziła, a potem otworzyły się drzwi.

– Jest na strychu! – zawołał ze środka czyjś głos. – Jak zwykle.

– To mama Erica – poinformowała Astrid.

Wprowadziła mnie do domu, a potem do olbrzymiej kuchni, gdzie kobieta ubrana w identycznym stylu co dzieci stała nad głębokim zlewem, a zajęta była chyba oskubywaniem kurczaka. Przyjrzałem się uważniej. Tak, robiła właśnie to.

– Dzień dobry, pani Sueppel. To mój... To jest Sam.

Czyżby chciała powiedzieć „chłopak”? Miałem taką nadzieję.

– Miło cię poznać, Sam – powiedziała pani Sueppel. – Podałabym ci rękę, ale jak widzisz, jestem ubabrana po same łokcie kurzymi flakami.

– Nie ma sprawy – odparłem.

– Możemy iść na górę? – spytała Astrid.

– Śmiało.

Pani Sueppel obróciła się do zlewu i kontynuowała pracę.

– To był jeden z tych kurczaków, które biegają na zewnątrz? – spytałem cicho, gdy wspinaliśmy się po schodach.

– Lepiej nie zadzierać z panią Sueppel – odpowiedziała Astrid szeptem, uśmiechając się szeroko.

Na strych wchodziło się po schodach ciągnących się przez trzy piętra. Zrobiono je z drewna, ale nie było to drewno równe, gładkie i lśniące jak w domach Stephanie czy Haydena. Ktoś musiał własnoręcznie wyciąć jego kawałki z drzewa, wyszlifować papierem ściernym, a potem zbić razem, aby powstał dom – a wszystko to wiele lat temu. Przy każdym kroku stopnie skrzypiały tak głośno, iż bałem się, że przelecę przez nie na wylot. Choć jednocześnie drewno pod moimi stopami robiło niezwykle solidne wrażenie.

– Wchodzimy! – zawołała Astrid, gdy zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie kończyły się schody, a zaczynał sufit.

Nad nami otworzyła się kłapa i ujrzelśmy wąską drabinę, po której najpierw Astrid, a potem ja wspięliśmy się do pokoju Erica. Tyle że „pokój” nie był najlepszym określeniem, gdyż pomieszczenie ciągnęło się przez długość całego domu, zwężając w miejscach, gdzie opadał dach. Nie przypominało to pokoi nastolatków, które miałem do tej pory okazję oglądać, a raczej studio artystyczne.

Po jednej stronie, pochłapanej farbą, stały rozstawione sztalugi, przy których pracował Eric i jego znajomi. W kącie siedział Damian i rysował w szkicowniku. Obok dużej plastikowej balii pełnej gliny Jess – dziewczyna, którą pamiętałem z lunchu – lepiała garnek. Nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni, więc posłałem jej uśmiech, ale ona tylko na mnie zerknęła, a potem obróciła się do garnka. Uznałem więc, że to nie najlepsza pora na zapoznanie. Nie chciałem jej przeszkadzać, zwłaszcza że nie czułem się jeszcze ekspertem w dziedzinie

nawiązywania nowych znajomości.

Druga część pomieszczenia wypełniona była książkami oraz filmami na DVD, stał tam też okazały telewizor z płaskim ekranem podłączony do odtwarzacza płyt Blu-Ray oraz zestawu stereo. Nie dostrzegłem natomiast żadnej konsoli. Trudno.

– Cześć, ludziska, fajnie, że wpadliście – powitał nas Eric, wychodząc zza jednej ze sztalug. – Sam, zgaduję, że znalazłeś w końcu Astrid?

– Zgadza się – potwierdziłem, a ona chwyciła mnie za dłoń i ścisnęła.

Eric wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rozumiem. Lepiej późno niż wcale, Sam!

Zaczerwieniłem się. To wszystko było dla mnie kompletną nowością.

– To twój pokój? – spytałem.

– Moje królestwo – odparł. – Gdy urodził się mój najmłodszy brat, w domu zabrakło sypialni, więc przekonałem rodziców, żeby oddali mi strych. Przekształciłem go w połączenie studia i sali projekcyjnej, więc teraz spędzamy tu dużo czasu.

– Twoi starzy się nie wtrącają?

– Można tak powiedzieć. – Wrócił do sztalugi. – Rozgoście się.

Interesujesz się sztuką, Sam? Mamy tu wszystko, czego dusza zapagnie.

– Nie za bardzo – odparłem z żalem. – Co malujesz?

Eric zerknął na Astrid. Wymienili się spojrzeniami, których znaczenia nie zrozumiałem. Astrid wzruszyła ramionami.

– Chodź, zobaczysz – powiedział do mnie Eric.

Podszedłem do płótna. Widniał na nim portret chłopaka o jasnych włosach i smutnych oczach. Wyglądał znajomo, ale nie mogłem go zidentyfikować.

– Jesteś naprawdę niezły – stwierdziłem.

– Dzięki. Ale nie do końca mi wyszedł.

Eric spojrział na obraz, marszcząc brwi, a potem odłożył farby.

– Może obejrzymy film? – zaproponował. – Ktoś ma ochotę?

Podszedł do stojaka na płyty DVD i zaczął je przeglądać.

– Tematem przewodnim, tak jak zwykle, będzie młodzieńczy bunt.

- Wybierz coś – zawołał Damian.
- Jak sobie państwo życzą – odparł Eric.

Wsunął płytę do odtwarzacza, a Jess i Damian zaczęli rozkładać poduszki i koce pod ścianą położoną naprzeciwko telewizora. Najwyraźniej wiedzieli, co i jak. Oparłem się o dużą kwadratową poduchę, Astrid zwinęła się w kłębek obok mnie, a potem z głośników popłynęła ponura piosenka, którą rozpoznałem ze składanki Haydena. Leżenie obok Astrid i wspólne oglądanie filmu było bezdyskusyjnie najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała.

Film okazał się poruszający. Był stary – nakręcono go pewnie w latach osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych, nie byłem pewny – i opowiadał historię młodego samotnika prowadzącego piracką rozgłośnię radiową. W pewnym momencie bohater próbuje odwieść od samobójstwa jednego ze słuchaczy, ale ten i tak się zabija. Założyciel stacji bardzo mocno to przeżywa i wygłasza długą, pełną emocji mowę, w której tłumaczy, dlaczego odebranie sobie życia to kiepskie rozwiązanie. Musiałem zwalczyć w sobie chęć, by wstać i wyjść, mimo że monolog wcale nie trącił kazaniem. Chodziło raczej o to, że na sam dźwięk słowa „samobójstwo” czułem się, jakby ktoś wymierzył mi kopniaka w brzuch. Hayden nawet nie próbował z nikim o tym rozmawiać, a już na pewno nie z jakimś przypadkowym gościem z radia. A gdyby jednak tak zrobił, to czy w jakiś sposób polepszyłoby to sprawę, czy wprost przeciwnie?

– Dobrze się czujesz? – spytała szeptem Astrid, gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe.

Kiwnąłem głową, ale ciężko mi było stwierdzić, czy naprawdę tak myślę.

– Słabo przemyślany wybór filmu, Eric – zauważyła.

– Wiem, bardzo mi przykro – przyznał Eric ze zmieszaną miną. – Zanim go włączyłem, w ogóle nie przyszło mi to do głowy, a potem było już za późno. W porządku, Sam?

– Nie ma o czym mówić – odparłem, bo nie sądziłem, aby celowo chciał mnie zdołować.

– Z tego filmu wyraźniej zapamiętałem homofobię niż samobójstwo – wyznał.

Rzeczywiście, w fabule zawarty był również ten wątek, tyle że ja tak bardzo skupiłem się na śmierci, że nie zastanawiałem się, jak film odbierać może ktoś inny. Na przykład Eric.

– W naszym liceum homofobów nie brakuje – dodał.

– Ale nie jest chyba tak źle, jak w tamtych czasach, co? – spytałem.

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak bardzo musi mu być ciężko.

– Jest lepiej, ale sytuacji daleko do ideału – stwierdził Eric. –

Mówimy o miasteczku, którego mieszkańcy należą do jednego z dwóch Kościołów regularnie piętnujących homoseksualizm jako czyste zło. W szkole nie działa żadna grupa LGBT<sup>1</sup>, chociaż każde inne większe liceum w stanie Iowa je ma. Większość osób woli prowadzić drugie życie niż ryzykować utratę stypendium, gdy Kościół dowie się, że są gejami.

– Ale przecież ciebie wszyscy akceptują – zauważyłem. – Rodzina, znajomi.

– Teraz już tak – wtrąciła Astrid.

– Nie mówmy o tym – zaproponował Eric.

– W końcu dostaną to, na co zasłużyli – powiedziała Jess półgębkiem, a ja zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy słyszę jej głos.

– Może już dostali – dodał Damian.

Nie byłem pewny, o kim mówią, ale miałem przeczucie, że o Jasonie i Trevorze. Trevora bez problemu mogłem sobie wyobrazić jako homofoba, ale przecież krążyły plotki, że Jason jest gejem. Zastanawiałem się, czy przywołana przez Erica historia stypendium i Kościoła dotyczyła właśnie jego – wszyscy wiedzieli, że jego rodzina jest bardzo wierząca, a on zdecydowanie nadawał się na zdobywcę stypendium.

Na strychu zapadła cisza, ale nie było to milczenie naturalne. Dało się w nim wyczuć coś... Nie potrafiłem tego dokładnie określić, ale coś było na rzeczy. Czy oni wszyscy myśleli, że to ja pobiłem tamtych dwóch? Chciałem zaprzeczyć, ale sam nie byłem co do tego przekonany i nie chciałem kłamać.

– Późno się robi – powiedział ktoś w końcu. – Chyba powinniśmy się zbierać.

– Tak, my też – zgodziła się Astrid. – Podrzuci nas ktoś?



Damian pożyczył samochód od ojca, więc zaproponował, że nas podwiezie. Sądziłem, że w końcu się dowiem, gdzie mieszka Astrid, ale Damian najpierw podjechał pod mój dom.

– Fajnie było was zobaczyć – powiedział. – Musimy to wkrótce powtórzyć.

– Chyba że będę chciała zatrzymać Sama tylko dla siebie – powiedziała Astrid, a następnie pocałowała mnie na pożegnanie, zanim wysiadłem z samochodu.

Przyszło mi do głowy, że jeśli nadal będzie mnie obsypywać pocałunkami, może wszystko inne przestanie mieć znaczenie. Jednak na samą myśl o tym ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender – społeczność lesbijek, gejów, biseksualistów i osób transpłciowych. ⇐



*How to Fight Loneliness***Wilco**

Po powrocie do domu w salonie zastałem mamę, Rachel i Jimmy'ego.

– Ominęła mnie zabawa? – spytałem.

Na stoliku do kawy leżało puste pudełko po pizzy.

– To teraz cotygodniowa tradycja?

Mama wylegiwała się w fotelu, który lubił Hayden.

– Widziałeś się z pedagogiem? Dzwonili ze szkoły.

– Co tam pedagog! – zawołała Rachel. – Słyszałam, że spotykasz się z Alison Whitman.

Plotki szybko się rozchodzą.

– Teraz nazywa się Astrid – poprawiłem.

– To ta dziewczyna, która przyszła po ciebie przed imprezą? – spytała mama. – Ma taki... nietuzinkowy styl.

– Chciałaś chyba powiedzieć „dziwaczny” – prychnęła Rachel.

– Przyganiał kocioł garnkowi – zauważyłem.

Na aktualną stylizację Rachel składały się między innymi kolejna mikroskopijna spódniczka oraz cienie do powiek w tak wielu odcieniach różu, fioletu i pomarańczy, że jej oczy przypominały zachód słońca, który niedawno podziwiałem.

– Apeluję o pokój – odezwał się Jimmy, co okazało się bardzo zabawne z racji tego, że na szyi miał wysadzaną ćwiekami psią obrozę. Nie przypominał przedstawiciela ONZ. Ale jego uwaga zadziałała, a przynajmniej dała mi wystarczająco dużo czasu, aby odłożyć rzeczy i usiąść na kanapie.

– O czym gadaliście z pedagogiem szkolnym? – spytała mama.

Spojrzałem na Jimmy'ego.

– Cieszy mnie, że w tym domu tak bardzo szanujemy prywatność – powiedziałem z przekąsem. – Beaumont powiedział, że nasza rozmowa okryta jest tajemnicą.

– Dobrze, dobrze – odparła mama. – Przed twoją matką nic się nie ukryje.

No tak, wcale nie spodziewałem się, że to zadziała.

– Głównie gadaliśmy o Haydenie. I różnych dziwnych rzeczach, które działy się ostatnio w szkole.

– Takich jak pobicie Trevora Floyda po imprezie, na której też byłeś? – spytała Rachel. – Wszyscy o tym trajkoczą. Wiesz, jakie chodzą plotki, prawda?

– Tak, wiem.

– Jakie znowu plotki? – spytała mama. – Wiem, że nie wychodzę na miasto tak często, jak powinnam, ale to oznacza tylko tyle, że moje dzieci powinny mnie lepiej o wszystkim informować.

Rachel zachichotała.

– Spokojnie, mamó. Chodzą pogłoski, że winowajcą jest ten tu wymoczek, ale spójrz tylko na niego. Nie ma mowy, żeby pobił tak masywnego kolesia.

– Odpieprz się, Rachel – syknąłem.

– Sam, jak się wyrażasz! – Mama posłała mi surowe spojrzenie.

Rachel od dzieciństwa określała mnie mianem wymoczka, bo zawsze byłem dosyć kościsty. To prawda, że od tamtych czasów nabrałem niewiele masy – o ile w ogóle – ale poczułem się urażony, że uważa mnie za kompletnie niezdolnego do działania, do jakiegokolwiek pokazu siły. Wcale nie chciałem, aby okazało się, że to ja jestem winny, ale mimo wszystko było mi przykro.

– Zdziwiłbyś się, do czego są zdolni ludzie, gdy przyciśnie się ich do muru – odezwał się Jimmy. – Nie mówię, że to zrobiłeś, Sam. Tak tylko gadam.

Wiedziałem, co ma na myśli, i poczułem wdzięczność, gdy to powiedział.

– Sam, po tamtej imprezie poszedłeś prosto do domu, prawda? – spytała mama, a spomiędzy jej brwi wyłoniła się zmarszczka.

– Oczywiście, mam.

Chociaż sam coraz bardziej się tym zamartwiałem, nie było powodu, żeby i jej dokładać zmartwień.

– To co, istnieją jakieś sensowne teorie na temat tego, kto to zrobił? – spytałem Rachel. – To znaczy: oprócz mnie?

– No cóż, niektórzy sądzą, że te dwa incydenty nie są ze sobą powiązane – poinformowała. – O Jasonie właściwie już wiadano. A Trevora sam znasz. Zawsze był... – zerknęła na mamę – ...mało sympatyczną osobą.

– Może to jego diler sterydów – zasugerowałem.

– Wydaje mi się, że ludzie zazwyczaj kupują sterydy na siłowni – powiedział Jimmy.

Mama posłała mu spojrzenie mówiące: „A skąd ty miałbyś o tym wiedzieć?”, na co uniósł ręce i dodał:

– Nie mam w tej dziedzinie żadnych doświadczeń. Mieszkało się w wielkim mieście.

– Tęsknisz za tamtym życiem? – spytałem, byle tylko zmienić temat.

– Tak – przyznał. – Ale mam nadzieję, że pójdę tam do college’u. Mama otworzyła szeroko oczy.

– Do college’u? – powtórzyła z nadzieją w głosie. – Z jakiegoś powodu sądziłam, że nie chodzisz nawet do liceum.

– Bo wyglądam jak wyrzutek społeczny? – spytał Jimmy ze śmiechem. – Miałem na tyle dobre stopnie, że ukończyłem szkołę rok wcześniej, zaliczywszy wszystkie potrzebne fakultety i kursy przygotowawcze do college’u. Świadectwo ukończenia liceum już dostałem. W tym roku zapisałem się na internetowe kursy z nauk ścisłych i ryję do egzaminów wstępnych, żeby załapać się na stypendium. Będę lekarzem.

Oznajmił to z dużą pewnością siebie. Nie powiedział: „Chcę być lekarzem” albo: „Mam nadzieję, że zostanę lekarzem”, tylko: „Będę lekarzem”. A ja mu uwierzyłem.

– Widzisz, mam? – odezwała się Rachel. – Nie ocenia się książki po okładce.

– Przyznaję się do winy – odparła mama.

Najwyraźniej nie tylko mnie ludzie ostatnio zaskakiwali. Zacząłem się zastanawiać, czy wszyscy prowadzili sekretne życia, pielęgnując te przejawy osobowości, które nie pasowały do ich wizerunku. Zmęczyłem się na samą myśl o tym i przypomniało mi się, że zarwałem zeszłą noc. Musiałem nadrobić zaległości. Już miałem przeprosić i wyjść, gdy Jimmy spytał:

– Sam, masz chwilkę?

– Pewnie – powiedziałem, chociaż nie miałem pojęcia, o co może mu chodzić. – Miałem właśnie zamiar pójść na górę i się położyć. Możemy usiąść w moim pokoju?

Dostrzegłem, że zerka na Rachel, która nieznacznie skinęła głową. A więc razem to ukartowali.

Weszliśmy na piętro. Klapnąłem na łóżko, a Jimmy zaczął przyglądać się moim rzeczom.

– Niezła kolekcja książek – pochwalił. – Dużo czytasz?

– Kiedyś tak – odparłem. – Teraz bardziej kręcą mnie gry.

Uśmiechnął się.

– Rachel o tym wspominała. Wiesz o tym, że nie przyszła na randkę, bo graliście w *Halo*, prawda?

– Tak. Wybacz, nie przewidziałem tego.

– Ja też nie – przyznał. – Ale cieszę się, że mogliście odnowić stare więzi.

Kim był ten gość?

– Nie jestem pewien, czy tak bym to określił.

– W każdym razie powinieneś wiedzieć, że Rachel się o ciebie troszczy – oznajmił. – Nie znamy się zbyt dobrze, ale niewiele osób na tym świecie przeszło przez to co my. Chciałem więc sprawdzić, co u ciebie słychać.

– Bywało lepiej – przyznałem.

Tak naprawdę miałem chęć zadać mu kilka pytań, na przykład: czy przydarzyło mu się kiedyś coś dziwnego, może ujrzał przyjaciela po jego śmierci? Nie potrafiłem jednak znaleźć właściwych słów, dzięki którym nie zabrzmiałbym jak czubek. Ale o jedno mogłem spytać:

– Kiedy poczułeś się lepiej? Kiedy uznałeś, że masz prawo wrócić do normalnego życia?

Nie wiedziałem, jak opisać mieszankę euforii i poczucia winy, którą wywoływała we mnie Astrid, więc nawet nie próbowałem.

– Trudne pytanie – przyznał Jimmy, siadając obok mnie na łóżku. – Nie było chyba konkretnego momentu. Przez jakiś czas zachowywałem pozory normalności, chodziłem do szkoły i tak dalej, ale nie czułem się od tego lepiej. Myślę, że potrzebne mi były odpowiedzi, ale miałem ich nigdy nie otrzymać, bo jedyna osoba, która mogła mi wyjaśnić, dlaczego wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło, nie żyła. Gdy się z tym w końcu pogodziłem, zająłem się innymi sprawami. Przeprowadzka też pomogła – potrzebny był mi fizyczny dystans. Przyda ci się to, co mówię?

– Trochę – odparłem.

Przeprowadzka nie wchodziła w grę, ale chociaż zrozumiałem, co Jimmy miał na myśli, mówiąc o niemożności zdobycia odpowiedzi. W moim przypadku Hayden zostawił uchylone drzwi. Wyraźnie wskazał, że mam coś rozgryźć, więc musiałem się tym zająć.

– Wiem, że twoja sytuacja jest inna, ale może dobrze ci zrobi, gdy zmienisz zainteresowania, zaczniesz robić coś nowego. Rachel wspominała o tej dziewczynie...

– Nie chcę o niej mó...

Uniósł dłonie w pokojowym geście.

– Wcale o nią nie pytam – wyjaśnił. – Chcę tylko powiedzieć, że powinienesz sobie na nią pozwolić. Nie będziesz w stanie przestać myśleć o tym, co się stało, siedząc samotnie w domu. Słuchaj, Rachel mówiła, że w weekend będzie coś, co jej zdaniem mi się spodoba. Jakies wyścigi w błocie. Cokolwiek to jest, w Chicago tego nie urządzali. Powinienesz się z nami wybrać.

Słyszałem o tym i brzmiało dosyć głupawo. Faceci ścigali się półciężarówkami, tyle że w błocie. Rozrywka w sam raz dla macho. Czasem pojawiał się tam Trevor w swoim olbrzymim czerwonym pick-upie, ale podobno nie był zbyt dobry. Nie sądziłem, że może mi się coś takiego spodobać, ale każdy chłopak Rachel był mocno wkręcony w wyścigi w błocie, a ona sama też musiała je lubić, bo zawsze z nimi na nie chadzała.

– No, nie wiem – odparłem.

Jak na zawołanie w drzwiach stanęła Rachel. Zastanawiałem się, czy nas podsłuchiwała. Nie byłaby to dla niej pierwszozna.

– Zgódź się, to będzie coś nowego – powiedziała.

Naprawdę chciała, żebym pojawił się z nią w miejscu publicznym? Tego jeszcze nie grali.

– To jedno z nielicznych wydarzeń szkolnych, na których każdy może się czuć swobodnie – dodała Rachel. – Nikt nikogo nie ocenia.

Wszyscy są po równo upaprani w błocie.

– Zastanowię się – powiedziałem.

– Możesz o tym myśleć jak o wyświadczeniu mi przysługi – zasugerował Jimmy. – Raczej nie poczuję się tam jak w swoim żywiole.

Doskonale go rozumiałem.

Po wyjściu Jimmy’ego zastanawiałem się, czy włączyć komputer, czy iść spać. W głowie kłębiło mi się mnóstwo myśli i chciałem z kimś porozmawiać. Problem polegał na tym, że osobą, z którą chciałem pogadać, był Hayden. Ile czasu musiało upłynąć, zanim przestanę się tak czuć? Kiedy Hayden przestanie być pierwszą osobą, do której mam ochotę zadzwonić, gdy dzieje się coś ważnego?

Może już była pora, aby się poddać? Nawet jeśli chodziło tylko o halucynacje, istniały duże szanse na to, że po włączeniu komputera na czacie pojawi się ktoś posługujący się nickiem Arcymag\_Ged. Może okaże się równie skryty i wkurzający, co Hayden, ale może mnie również wysłucha. Przecież Hayden o to właśnie prosił.

Warto było spróbować. Włączyłem laptop i zalogowałem się do czatu Google.

Sam\_Goldsmith: Jesteś tu?

Zrobiłem głęboki wdech i dopisałem:

Już ci wierzę.

Nie była to do końca prawda, ale to nie miało znaczenia.

Kursor migał przez dłuższy czas, tak długi, że gdy usłyszałem dźwięk przychodzącej wiadomości, może już nawet zasypiałem.

Arcymag\_Ged: Serio?

Prawie słyszałem nadzieję zawartą w tym słowie. Ten ktoś brzmiał jak Hayden.

Sam\_Goldsmith: Pewnie.



Nie mogłem nic poradzić na to, że zabrzmiało to sceptycznie. Nigdy zbyt dobrze nie wychodziło mi okłamywanie go.

Arcymag\_Ged: Potrzebujesz z kimś pogadać? O to chodzi?

Sam\_Goldsmith: W pewnym sensie. Słucham playlisty i próbuję zrozumieć, o co chodzi, ale potrzebna mi pomoc.

To akurat bez dwóch zdań była prawda.

Arcymag\_Ged: Obawiam się, że stąd niewiele mogę zrobić.

Sam\_Goldsmith: „Stąd”, czyli skąd?

Robiło się coraz ciekawiej.

Arcymag\_Ged: Czyżbyś próbował rozpocząć dyskusję na temat życia pozagrobowego? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Jeśli naprawdę był to Hayden, to nie stracił umiejętności doprowadzania mnie do szału.

Sam\_Goldsmith: Nie mógłbyś mi czegoś podpowiedzieć? Czegokolwiek. Kim jest Atena? Co się przytrafiło Jasonowi i Trevorowi? Zapewnić mnie, że nie zwariowałem?

Arcymag\_Ged: Tego ci nie powiem. Zawsze miałeś nierówno pod sufitem.

Gdyby nie poczucie frustracji, wybuchnąłbym śmiechem.

Sam\_Goldsmith: No weź, zdradź mi coś.

Arcymag\_Ged: A czy zostało jeszcze coś istotnego, co musisz wiedzieć, a czego jeszcze nie wiesz? Jason i Trevor to dupki, które dostały to, na co zasłużyły. Atena jest sekretem, który skrywałem przed tobą, i wiem, że cię to wkurza, ale co, nie wolno mi było mieć sekretów?

„Nie przede mną” – miałem ochotę napisać.

Sam\_Goldsmith: Po prostu to powiedz. Kto zranił Jasona i Trevora? Ty? Ja?

Arcymag\_Ged: Jak już wcześniej wspomniałem, to nie ma żadnego znaczenia.

Chyba jaja sobie robił. Czyżby nie rozumiał, jakie to było ważne?

Sam\_Goldsmith: Dla mnie ma. Mogę wpaść w poważne tarapaty.

Arcymag\_Ged: Nic ci nie będzie.

Zastanawiałem się, czy on przypadkiem nie mówi mi po prostu tego, co chciałem usłyszeć.

Arcymag\_Ged: Jesteś teraz z Astrid, tak?

Skąd o tym wiedział?

Sam\_Goldsmith: Tak mi się wydaje. Mam taką nadzieję. Ale nadal męczy mnie wiele pytań. Chciałbyś odpowiedzieć na któreś z nich? Wyjawić mi kolejną tajemnicę?

Arcymag\_Ged: Wściekasz się, bo ci o niej nie powiedziałem. Rozumiem to.

Pewnie, że rozumiał. Tak jak zawsze. Przebiegł mnie lekki dreszcz, chociaż w pokoju wcale nie było chłodno.

Arcymag\_Ged: Chciałem, żebyś pewnego dnia ją poznał. Wiedziałem, że pasowalibyście do siebie.

Sam\_Goldsmith: Mielibyśmy się nią dzielić czy co?

Byłem na sto procent pewny, że Astrid była Ateną, chociaż wiele szczegółów nie zgadzało się ze sobą. Jednak na chwilę obecną nie było innych opcji. Co więcej, nie umiałem jeszcze sprostacć myśli, że Haydenowi i mnie mogła podobać się ta sama dziewczyna.

Migotanie kursora. Czyżby nie miał zamiaru odpowiedzieć?

Sam\_Goldsmith: Halo?

Kursor mrugał dalej. Za oknem błysnęło, a potem rozległ się grzmot. Zaczął padać deszcz, z początku niemrawo, a potem coraz szybciej, waląc o dach tak mocno, że zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie grad. Po jakichś piętnastu minutach spojrzałem na zegar i po raz kolejny zaskoczyło mnie, jak dużo godzin już upłynęło.

W końcu Arcymag znowu zaczął pisać.

Arcymag\_Ged: Wszystkie odpowiedzi znajdują się na playliście. Pora na akt trzeci.

To rzekłszy, zniknął.



*Conversation 16***The National**

Miałem już serdecznie dość Arcymaga\_Geda i jego tajemniczych tekstów. Kiedy miałem się wyspać, skoro albo sam się pojawiał, albo to ja próbowałem go wywołać. Jeśli nadal będę równie mocno zamroczony, kto wie, jak to wszystko się skończy. „Pora na akt trzeci”?

To chyba oznaczało, że Ryan jest następny w kolejce.

Nie miałem pojęcia, co robić. Im więcej się dowiadywałem na jego temat, tym bardziej go nie znosiłem. Był nie tylko okropnym bratem dla Haydena, ale i okropnym chłopakiem dla Astrid. Dlaczego miałbym się przejmować, że coś mu się stanie?

Jednak za Jasonem i Trevorem też nie przepadałem, a na samą myśl o tym, co się im przytrafiło, dostawałem mdłości. Fakt, zasłużyli na karę, ale nie na taką. Nie lubiłem się zastanawiać, czy to przypadkiem nie moja wina, głównie dlatego, że sam inaczej bym to załatwił. Nie podobały mi się te wszystkie tajemnice; wolałbym, aby sytuacja była jasna. Chciałem, żeby cały świat się dowiedział, że ci trzej goście to źli ludzie. Jednak wyrządzenie im zła nie oznaczało, że dotrze do nich, kim tak naprawdę są.

Zdałem sobie sprawę, że nie chcę, aby Ryana spotkało coś tajemniczego i przykrego. Pragnąłem, aby zrozumiał swoje zachowanie i wziął za nie odpowiedzialność. To z kolei znaczyło, iż muszę powstrzymać to, co się kroiło.

Tylko najpierw musiałem domyślić się, co to miało być.

Zasnąłem, słuchając playlisty, z nadzieją, że w tekstach piosenek ukryta jest jakaś wskazówka, jednak niczego nie znalazłem. Kolejne kawałki o smutku, miłości i śmierci... Nic innego nie przychodziło mi

do głowy, postanowiłem więc dowiedzieć się, skąd Hayden wziął tę muzykę. A w tym celu musiałem sprawdzić, czy Astrid naprawdę była Ateną. Wiedziałem nawet, od czego zacząć.

Spytałem Astrid w SMS-ie, czy spotka się ze mną po szkole, wiedziałem bowiem, że tego dnia przerwę na lunch mamy o różnych porach. Następnie wybrałem ze składanki najbardziej uspokajającą piosenkę i zapadłem w długo wyczekiwany sen.

Nazajutrz w szkole na zmianę próbowałem wymyślić, co dokładnie powinienem jej powiedzieć oraz jak uniknąć spojrzeń i szeptów pozostałych uczniów, którzy słyszeli plotki o Jasonie i Trevorze. Za każdym razem, gdy w korytarzu za plecami słyszałem kroki, wzdygałem się przekonany, że policjanci w końcu postanowili mnie przesłuchać. Była to moim zdaniem tylko kwestia czasu.

Plan polegał na spotkaniu w centrum handlowym. Poszedłem tam prosto ze szkoły. Odwołano ostatnią lekcję, zresztą chciałem przez chwilę pokręcić się samotnie po MKH. Nie było mnie tam od pogrzebu Haydena, a przecież wcześniej bez przerwy tam chodziłem. Miałem nadzieję, że sprzedawca mnie o niego nie spyta, chociaż tym razem lepiej bym sobie poradził. Poza tym wyszedł nowy numer *American Vampire*, a ja miałem zwyczaj czytać ten komiks w sklepie, kiedy tylko mogłem, żeby uniknąć zakupu kosztownego wydania w twardej okładce. Pierwszą część napisał Stephen King, jeden z moich ulubionych pisarzy – czytałem wszystkie jego wczesne książki, nawet nowele wydane pod pseudonimem, a jako dziecko wiele godzin spędziłem, próbując rozpalic ogień siłą umysłu albo obserwując samochody i psy, żeby stwierdzić, które kryją w sobie zło. Przez wiele lat próbowałem namówić Haydena do przeczytania tych powieści, ale miał problemy z dysleksją i pewnie powinienem być dla niego bardziej wyrozumiały. Kolejna rzecz, której obecnie żałowałem.

Komiksy i powieści graficzne znajdowały się na tyłach sklepu, więc szybko ruszyłem między półkami, mijając sekcję z literaturą science fiction i grami, byle tylko uniknąć sprzedawcy. Na szczęście nie było tu wielu osób, więc mogłem poczytać w spokoju. Wydawało mi się, że kątem oka dostrzegłem Jess, krótkowłosą znajomą Erica, ale gdy się obróciłem, nikogo tam nie było. Musiałem to sobie wyobrazić, przecież

dziewczyny spotykało się tu niezwykle rzadko.

Właśnie pojawiła się czwarta część sagi, więc z wdzięcznością zacząłem zgłębiać dalsze losy Skinnera Sweeta, protoplasty rodu amerykańskich wampirów. Siła tej serii wynikała z połączenia krwawych legend o wampirach z opowieściami z Dzikiego Zachodu i innych okresów amerykańskiej historii. Historia sama w sobie nigdy specjalnie mnie nie pociągała, ale obecność wampirów sprawiała, że o wiele ciekawiej było się jej uczyć.

Tak mocno wciągnąłem się w lekturę, że gdy ktoś nagle postukał mnie w ramię, prawie odrzuciłem komiks na drugą stronę sklepu. Jasna cholera. Sprzedawca postanowił mnie stąd wykopać. Zebrałem się w sobie, żeby zacząć błagać go, by pozwolił mi dokończyć numer, a następnie się obróciłem.

Nie było tam nikogo.

Potem rozległ się śmiech Astrid.

– Nie wierzę, że znowu się na to nabrałeś! – zawołała, stojąc z mojej drugiej strony.

– Cóż za przemiła niespodzianka – odparłem.

I tak właśnie było. Nie mogłem nic poradzić na to, że cieszę się na jej widok, bez względu na rzeczy, które mnie martwiły.

– Przyszłam wcześniej i domyśliłam się, że możesz tu być.

Zerknęła mi przez ramię, żeby zobaczyć, co czytam.

– Ale nie chciałabym przerywać ci lektury dziwnego komiksu o wampirach czy co to tam jest.

– Żaden problem – odparłem, odkładając komiks, żeby jej się przyjrzeć.

Dzisiejszy strój składał się z porwanej białej koszulki, długiej czarnej spódnicy z koronką oraz wysokich martensów. We włosach miała stosowne czarno-białe pasemka, a jej wargi przypominały szachownicę: górna była w połowie czarna, w połowie biała, a dolna tak samo, tylko w odwrotnej kolejności. Wyglądało to pracochłannie, doszedłem więc do wniosku, żeby lepiej jej nie całować, żeby nie zepsuć efektu.

Astrid zmarszczyła jednak lekko brwi, a ja przypomniałem sobie jej minę, gdy spytała mnie, dlaczego się do niej nie zalecałem. W końcu

szminkę można nałożyć jeszcze raz, nie? Przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem. Dobrze mi poszło, bo gdy się odsunąłem, Astrid obdarzyła mnie uśmiechem. Pomadka na jej wargach rozmazała się w siwe, kręte smugi. Parsknęła śmiechem na mój widok, więc moje usta wyglądały pewnie tak samo.

– Przydałaby ci się chusteczka – stwierdziła.

– Chyba raczej mokra ścierka.

Nie byliśmy w stanie przestać się uśmiechać.

– Kupujecie coś czy tylko blokujecie przejście? – dobiegł mnie głos sprzedawcy.

– Chodźmy stąd – powiedziała Astrid.

Złapała mnie za rękę i wyciągnęła z MKH, zmierzając do Salonu Słodkości, sklepu ze słodyczami położonego nieopodal strefy gastronomicznej. Sprzedawano w nim cukier w każdej postaci, jaką można sobie wyobrazić – była tam alejka z m&m'sami w dziwacznych kolorach, rząd półek z samymi żelkami oraz cała sekcja poświęcona czekoladzie z różnych stron świata. Astrid ruszyła prosto ku pojemnikom z cukierkami na wagę.

– Te są moje ulubione – oznajmiła. – Jak byłem mała, tata zawoził nas w Halloween do najbogatszej części miasta, bo mieli tam najlepsze przysmaki. W takim jednym domu zawsze rozdawali całe torby oldskulowych słodyczy: ciągutek, cukierkowych naszyjników, karmelków. Wydaje mi się, że właściciele prowadzili restaurację.

– Bardzo sprytnie – przyznałem. – Myśmy nigdy nie opuszczali swojego podwórka. Dostawałem same milky waye i almond joye, a nie znoszę kokosa. Mama podkradała mi babeczki z masłem orzechowym Reese i nazywała to podatkiem od słodyczy.

Kupiliśmy sobie cukierki i usiedliśmy w strefie gastro.

– Muszę cię o coś spytać – wyznałem.

– Poważnie to zabrzmiało – stwierdziła Astrid, ale czułem, że wcale tak nie myśli.

– Atena. To hasło. Skąd je znasz?

Po raz kolejny ta dziwna mina. Postanowiłem ją jednak zignorować.

– Naprawdę muszę wiedzieć – powiedziałem. – Zaczynam

wariować. W dalszym ciągu mam wrażenie, że to, co się stało z Haydenem, to moja wina, a do tego doszły incydenty z udziałem Jasona i Trevora, i sam już nie wiem, co mam robić.

– Nigdy nie wyjaśniłeś mi do końca, dlaczego uważasz, że to twoja wina – zauważyła Astrid.

– Zmieniasz temat.

– Ty też.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy, jakbyśmy chcieli sprawdzić, kto wymięknie pierwszy.

– Dobra – odezwałem się w końcu. – Zdradzę ci resztę historii, jeśli obiecasz, że opowiesz mi o Atenie.

– Zgoda – odparła Astrid, wsuwając do ust pałeczkę o smaku miętowym i nie patrząc na mnie.

\* \* \*

Tak więc za namową Haydena poszliśmy na imprezę i skończyło się to tak, że leżeliśmy na podłodze i wszyscy się z nas śmiali. Istny koszmar na jawie. Złapałem Haydena za rękę i próbowałem postawić go na nogi.

Z jakiegoś powodu stawiał opór i odsunął rękę, ale sam nie próbował się podnieść.

– No chodź! – zawołałem i raz jeszcze wyciągnąłem do niego dłoń. Tym razem wyrwał się z wściekłością.

– Nie dotykaj mnie! – warknął, ale wreszcie wstał.

– Co cię ugryzło? Nic ci nie jest? – spytałem, starając się nie zwracać uwagi na rechot obserwujących nas ludzi.

– Nie, wszystko okej – odparł.

Wokół nas powstał krąg pustej przestrzeni, ale drogę do drzwi zagradzało wiele osób. Hayden zaczął przepychać się w tamtym kierunku przy akompaniamencie cichnącego już śmiechu, a ja podążyłem za nim. Powietrze na dworze zrobiło się ostre i chłodne.

– Powiedz, co jest grane – poprosiłem. – Nic nie rozumiem. Co się tam wydarzyło?

– Nic.

Zaczął iść szybkim krokiem, jakby chciał się ode mnie uwolnić,



mimo że obaj wracaliśmy do jego domu.

Przyspieszyłem, żeby go dogonić. Miałem dłuższe nogi i nigdy nie byłby w stanie mnie zgubić.

– Jak to nic? Po co właściwie tam poszliśmy?

– Po co tam poszliśmy? – powtórzył. – Jak to po co? Żeby dać się ośmieszyć na oczach wszystkich.

Zaczynał mnie wkurzać. To, że nie chciał mi wyjaśnić wszystkiego przedtem, to jedno, ale przecież zostałem upokorzony równie mocno, jak on. Był mi winny wyjaśnienia. Wracałem właśnie z imprezy, na którą wcale nie chciałem iść, gdzie szydzili ze mnie ludzie, których nie znosiłem, co uświadomiło mi, że nic się już nigdy nie zmieni. Może nie była to wina Haydena, ale w tamtej chwili to jego obwiniałem.

– Wiesz co, przez większość czasu masz ochotę wyłącznie na grę w *Mage Warfare*, ostatnio nawet nie ze mną, a potem ciągniesz mnie na imprezę, na której spędzamy niecałą godzinę, zanim twój durny braciszek i jego debilni kumple – których miało tam nie być – postanawiają skopać nam tyłki. Naprawdę uważasz, że nie zasługuję na wyjaśnienie, po cośmy tam, kurwa, poszli?

– Nie zrozumiałbyś – odparł Hayden.

– Zobaczymy.

Pokręcił głową.

– Nie mogę. Nie teraz.

– Nie rozumiem cię. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Moim jedynym przyjacielem. Opowiadam ci o wszystkim, a ty w ogóle mi nie ufasz.

– Nie chodzi o zaufanie! – krzyknął wściekły. – Może po prostu raz na jakiś czas chciałbym mieć coś tylko dla siebie. Coś, czym nie musiałbym się z tobą dzielić, coś, co należałoby do mnie. Czemu tak trudno ci to zrozumieć?

Szczerze mówiąc, bez problemu to zrozumiałem. Pod pewnym względem też zawsze chciałem tego samego.

– Nie rozumiem po prostu, dlaczego nie możesz mieć czegoś tylko dla siebie i mi o tym opowiedzieć.

– Opowiedziałbym, ale już po wszystkim – odparł.

– Mógłbyś dać sobie spokój z tymi tajemniczymi gadkami

i wyjaśnić mi w końcu, o co chodzi?! – wrzasnąłem, gdy przechodziliśmy przez ulicę.

Zatrzymał się pośrodku szosy, a następnie obrócił do mnie.

– Nie! – odkrzyknął. – Niczego ci nie powiem! Nie wystarczy, że zrzucano mnie ze schodów i upokorzono na oczach całej imprezy? Naprawdę muszę to wszystko jeszcze raz omawiać? Raczej nie.

Wyjął z kieszeni portfel, wyciągnął z niego banknot dwudziestodolarowy i rzucił go w moją stronę.

– Proszę. Telefon masz. Zamów sobie taksę. Dziś wieczorem chcę być sam.

Banknot upadł na ziemię tuż przede mną. Nie wiedziałem, co robić. Nigdy wcześniej nie widziałem Haydena w takim stanie i prawdę mówiąc, nie miałem ochoty wracać z nim do domu i znosić jego fochów. Nie chciałem też podnosić tej dwudziestki. Wolałem iść na piechotę, bez względu na dystans.

Patrzyliśmy sobie w oczy przez jakąś minutę, chociaż miałem wrażenie, że upłynęło ich z dziesięć. W końcu błysk reflektorów nadjeżdżającego samochodu wydobył nas z transu. Zaczęliśmy iść w przeciwnych kierunkach.

– Pierdol się, Hayden – rzuciłem jeszcze, ale już się nie obrócił. Ostatni raz go wtedy widziałem. To znaczy żywego.

\* \* \*

Zrobiłem głęboki wdech i czekałem, aż Astrid coś powie. Przez chwilę siedziała w milczeniu, ssąc miętową pałeczkę i nie patrząc na mnie. Super. W końcu do niej dotarło.

– Widzisz? – spytałem wreszcie. – To naprawdę była moja wina.

– Wcale nie – odparła.

– Nie możesz tego stwierdzić.

– Mogę – oznajmiła, w końcu przenosząc na mnie wzrok. – Bo wiem, dlaczego Hayden wybrał się na tamtą imprezę.



*Last Goodbye***Jeff Buckley**

Gapilem się na Astrid jak debil.

– Skąd miałabyś to wiedzieć? Przecież cię tam nie było.

– Ale miałam być – odparła.

Nie miałem pojęcia, co myśleć, ale małe kółeczka zębate w mojej głowie wirowały, opracowując możliwe scenariusze. Astrid była Ateną i to ona miała się spotkać z Haydenem na imprezie. Atena nie istniała, a Ryan i jego kumple podpuścili Haydena, aby go ośmieszyć. Tylko skąd Astrid by o tym wiedziała? Chyba że znowu zaczęła chodzić z Ryanem. Boże, miałem nadzieję, że to nieprawda. To jednak nie miałoby sensu. Nic, co wymyślałem, nie miało sensu.

– Opowiem ci wszystko od początku – oznajmiła.

Wyglądała na zmartwioną, a nawet wystraszoną, ale i tak zaczęła mówić dalej:

– Wspominałam ci już, że zaprzyjaźniłam się z Haydenem, gdy chodziłam z Ryanem, i pozostaliśmy w kontakcie, nawet gdy rozstałam się z jego bratem. Od czasu do czasu wysyłaliśmy sobie SMS-y. Wiedział, że kiepsko mi się wiedzie, i był dla mnie bardzo miły. Strasznie go polubiłam. Nie miałam pojęcia, dlaczego zawsze sprawia takie samotne wrażenie. Zwłaszcza że miał tak dobrego przyjaciela jak ty.

Sposób, w jaki to powiedziała, wywołał u mnie poczucie winy, ale postanowiłem po prostu słuchać i choć raz się nie tłumaczyć.

– Uznałam, że potrzebna mu dziewczyna. Powiedziałam mu, co myślę, ale był zbyt onieśmielony, żeby samemu się zabrać za poszukiwania.

Mogłem to potwierdzić. Chociaż bez przerwy gadaliśmy z Haydenem o dziewczynach, brakowało nam odwagi, żeby się do nich zbliżyć.

– Chciałam umówić go na randkę, ale uznałam, że i tak się nie zgodzi. Przyjęłam więc inną strategię. Znałam idealną kandydatkę: tak jak on ładną, drobną i nieśmiałą. Kreatywną dziewczynę, której mogły spodobać się gry internetowe.

– Kogo? – spytałem.

– Jess – odparła Astrid cicho, spuszczać wzrok.

Przypomniała mi się krótkowłosa dziewczyna, którą widziałem na imprezie, a potem podczas lunchu, ta, która nie odezwała się do mnie ani słowem. Wcześniej myślałem, że nie lubi mnie z jakiegoś konkretnego powodu albo sądzi, że to ja skrzywdziłem szkolnych dręczycieli. Może jednak po prostu chodziło o nieśmiałość.

– Jess?

Astrid skinęła głową.

– Jest przemiła, tak jak Hayden, ale jeszcze bardziej płochliwa od niego. Chciałam, żebyście się zaprzyjaźnili, ale na samą myśl zaczyna świrować, więc postanowiłam nie naciskać. Po części dlatego, że bardzo żałuję tego, co się stało. A gdy mówisz, że to twoja wina, ja dobrze wiem, że to nieprawda. Bo wina leży po mojej stronie.

Pokręciłem głową.

– Przynajmniej częściowo – stwierdziła. – To ja opowiedziałam jej, jak bardzo Hayden wkręcił się w *Mage Warfare* i poradziłam, żeby założyła sobie profil i odnalazła go w grze. Dzięki temu nie musiała od razu rozmawiać z nim osobiście. Wiedziałam, że ona czuje się o wiele swobodniej w internecie, zresztą tak jak on. Z początku się denerwowała, ale tak długo reklamowałam jej Haydena, aż wreszcie się zgodziła. Nawet zasugerowałam jej nazwę użytkownika.

Poczułem, jak barki opadają mi z poczucia ulgi. A więc tak właśnie wyglądał związek Astrid z Ateną. Musiałem przyznać, że miało to więcej sensu niż wyobrażanie sobie Haydena w roli chłopaka Astrid. Nie musiałem już dłużej czuć się nieswojo na myśl, że być może mieliśmy tę samą dziewczynę.

– Z początku wszystko było cacy – mówiła dalej Astrid. – Hayden,

rzecz jasna, niczego mi nie opowiadał. Skoro nawet tobie niczego nie mówił, to mnie tym bardziej. Ale gadałam z Jess. Była strasznie podekscytowana – przypominała zółwia, który w końcu zaczyna wynurzać się ze skorupy. Oboje byli strasznie słodcy, bez przerwy gadali o muzyce i robili dla siebie składanki. Czułam się jak najlepsza swatka świata. A jeszcze bardziej się podjarałam, gdy Jess zdradziła mi, że zamierzają się spotkać twarzą w twarz. Pisała mi SMS-y, gdy gadali o tym na czacie, więc wspomniałam jej o imprezie. Domyśliłam się, że Ryana i reszty tam nie będzie z powodu meczu, i zarzekałam się, że to będzie idealne miejsce na randkę. Jess bała się, że nie przypadnie do gustu Haydenowi, gdy już się poznają, ale ja wiedziałam, że to niemożliwe. W każdym razie obiecałam, że będę jej towarzyszyć, jeśli dzięki temu ma poczuć się bezpieczniej.

– Ale się tam nie pojawiłaś – zauważyłem.

Pokręciła głową.

– Nie. Miałam się z nią spotkać na miejscu, ale coś mi wypadło i w końcu nie mogłam przyjść. Z tysiąc razy ją przeprosiłam, obiecując, że na pewno nic się nie wydarzy. Stephanie Caster to jędza, ale na jej imprezy ściągają tłumy, zakładałam więc, że Jess i Hayden mogli się tam wślizgnąć, nie rzucając się nikomu w oczy. Tak naprawdę miejsce było nieistotne, bo wiedziałam, że gdy tylko się spotkają, wszystko pójdzie jak z płatka. Była zdenerwowana, ale powiedziała, że sobie poradzi.

– Co się stało? – spytałem. – Dlaczego nie mogłaś tam być?

– Nie wolno mi o tym mówić – odparła. – Wybacz, ale obiecałam. Możesz mi wierzyć, że nie miałam wyboru. Sam wiesz, jak to jest z najlepszymi przyjaciółmi.

To oznaczało, że chodziło o Erica. Chciałem jej wierzyć, ale musiałem się upewnić.

– Nie przypominam sobie, żebym widział Jess na tamtej imprezie – stwierdziłem.

– Dotarła tam przed wami – wyjaśniła Astrid. – I natknęła się na Ryana i jego koleżków.

Gdy wypowiadała jego imię, w jej głosie słychać było jeszcze więcej goryczy niż zwykle. Musiała go nadal nienawidzić.

– Nie wiem, co dokładnie jej powiedzieli, ale wystarczyło, żeby ją

wystraszyć. Napisała do mnie, że zrywa z Haydenem i nigdy więcej nie chce o nim słyszeć. Wiadomość dotarła do mnie dopiero kilka godzin później. Próbowałam ją podpytać o to, co zaszło, ale nie odpisywała.

– A Hayden nawet jej nie zobaczył.

– Serce mi się kraje na samą myśl – odparła. – Mogli być razem szczęśliwi. Gdybym tylko poszła na tamtą imprezę...

– Wiesz przecież, że nic by to nie dało – powiedziałem.

Rozumiałem jednak jej smutek, bo czułem się dokładnie tak samo. Haydenowi prawie udało się zdobyć coś prawdziwego, a gdy mu to odebrano, poczuł się... zdruzgotany.

– Niekoniecznie. Mogłabym ochronić Jess przed tymi chłopakami albo porozmawiać z nią już po, albo stanąć w obronie Haydena...

– Nie wiesz tego. Nie możesz wiedzieć, czy sytuacja rozegrałaby się inaczej.

– Ty też nie – odparła i w pewnym sensie miała rację. – Możemy stwierdzić na pewno tylko to, że Ryan i jego paczka są przynajmniej częściowo odpowiedzialni.

Bardzo chciałem ją spytać, czy uważa, że to ja się na nich mścę, ale nie wiedziałem, jak to zrobić i nie zabrzmieć jak wariat. I nawet mimo narastającej we mnie wściekłości wywołanej słowami, którymi popchnęli Haydena do ostatecznego kroku, rozpaczliwie chciałem się upewnić, że to nie ja ich zraniłem. Może i zasługiwali na odwet, ale nie w formie anonimowego fizycznego ataku. Musieli zrozumieć, że źle postąpili.

Nie, to nie mogłem być ja. Nie było mowy. Ale jak nie ja, to kto? Arcymag\_Ged? Serio?

Astrid położyła dłoń na mojej dłoni.

– Gdzie odpłynąłeś, Sam? Mam wrażenie, że na chwilę cię straciłam.

– Zamyśliłem się – odparłem. – Tak wiele kwestii wciąż nie ma dla mnie sensu i jest coś, co mnie martwi. Jest jeszcze jeden członek tria bydlaków, który nie dostał tego, na co zasłużył: Ryan.

Przedstawiłem jej teorię, zgodnie z którą Ryan był następnym w kolejce po atakach na Jasona i Trevora.

Astrid zaczęła się bawić włosami.

– Nie możesz mieć pewności – powiedziała. – Nie wiadomo, czy te napaści są ze sobą powiązane. Może chodzić o karmę, ale równie dobrze to mógł być zbieg okoliczności, nie sądzisz?

– Mógł, ale to jeszcze nie znaczy, że tak właśnie było – stwierdziłem. – Boję się, że coś się wydarzy. – Zrobiłem pauzę, po czym dodałem: – A jeśli to naprawdę moja sprawka?

– Wykluczone – odparła. – Jestem pewna, że nie. Zresztą co z tego, że coś przytrafi się Ryanowi? Sam jest sobie winny.

– To trochę bezwzględne podejście, nie uważasz?

Wystraszyło mnie, że Astrid może pałać tak wielką wrogością do osoby, którą kiedyś bardzo lubiła, bo ja nigdy jeszcze nie miałem okazji przechodzić przez trudne rozstanie. Nie miałem pojęcia, jakie to uczucie, i nie chciałem teraz o tym myśleć. Ucieszyłem się za to, że ona nie uważa mnie za potencjalnego sprawcę. Ale chciałem być tego równie pewny, jak ona.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała. – Nie chciałbyś zobaczyć, jak całą trójkę spotyka zasłużona kara? Czy to nie przyniosłoby ci pewnej satysfakcji?

Nachyliła się, jakby chciała mnie zapewnić, że mogę to przyznać i nie będzie mnie osądzać.

Ale ja osądziłbym samego siebie. Chcę zrobić wszystko, aby zatrzymać ten ciąg wydarzeń. Nie wiedziałem tylko jak.

– Nie sądzę, żeby to cokolwiek naprawiło – oznajmiłem.

– Nigdy nie wiadomo – powiedziała, wstając. – Muszę już lecieć, ale najpierw: co robisz w weekend?

– Mam się wybrać na wyścigi w błocie z Rachel i jej chłopakiem, ale jeśli chcesz się spotkać, mogę to odkręcić.

– Nie, idealnie! – zawołała, a na jej twarzy w końcu pojawił się uśmiech. – Właśnie o to miałam cię spytać. O wyścigi Erica. Będzie super.

– Wyścigi Erica?

W dalszym ciągu z trudem byłem w stanie pogodzić hipsterski wizerunek Erica z życiem na farmie, chociaż wyścigi w błocie pasowały do kogoś, kto potrafił naprawić traktor.

– Jest w tym przerażająco dobry. I z tego, co wiem, ma się ścigać



z Ryanem. Śmiesznie będzie zobaczyć, jak skopie mu tyłek.

– Nie jestem pewny, czy słowo „śmiesznie” jest tu odpowiednie, ale będę tam – powiedziałem.

Potem się całowaliśmy, długo. Chciałem, aby ten pocałunek nigdy nie dobiegł końca. Miałem ochotę zatrzymać czas. Stać bez końca pośrodku centrum handlowego i już nigdy nie myśleć o niczym innym. Nie chciałem się zastanawiać nad tym, czy Ryan będzie następny albo czy w sobotę, na oczach wszystkich zgromadzonych, wydarzy się coś, o czym nie miałem pojęcia.



*Hurt***Nine Inch Nails**

Świadomość, że Astrid szczerze i gorąco wierzy, że to nie ja zaatakowałem Jasona i Trevora, pozwoliła mi wreszcie zaznać trochę odpoczynku. Udało mi się wyrzucić z głowy wszystkie myśli i po prostu zasnąć, i było to cudowne uczucie. Następnego ranka zbudziłem się tak wypoczęty, jak nie byłem już od tygodni.

Ale pytania nie zniknęły. Nie miałem pojęcia, za co się zabrać, dopóki nie przypomniałem sobie, że Astrid nie wyjaśniła, dlaczego nie mogła przyjść na imprezę. Podobno nie miała wyboru. W takim razie na pewno chodziło o Erica i to z nim musiałem pogadać.

Koniecznym musiałem znaleźć sposób na odbycie z nim rozmowy w cztery oczy – dziś był jeden z tych dni, gdy wszyscy razem jedliśmy lunch. Zacząłem więc przeczesywać stołówkę, gdy tylko tam dotarłem, nie zwracając sobie głowy jedzeniem, dzięki czemu udało mi się złapać Erica w kolejce, jeszcze zanim zdążył usiąść.

– Możemy pogadać? – spytałem. – Na osobności.

Eric się uśmiechnął.

– Chcesz poznać jakieś pikantne informacje na temat Astrid? Jestem do twoich usług.

Niezupełnie, ale nie widziałem powodu, aby to z miejsca wyjaśniać. Poprowadziłem go do stołu w odległym kącie pomieszczenia, gdzie nie mogła nas dostrzec reszta ich ekipy. Eric położył tacę na blacie, ale przesunął ją odrobinę na bok. Było mi przykro, że tak bardzo się ekscytował możliwością wzbogacenia moich relacji z Astrid, a tymczasem istniało wysokie prawdopodobieństwo, że wszystko zepsuję, gdy tylko otworzę usta. Musiałem jednak wiedzieć.

Tyle że nie miałem pojęcia, od czego zacząć.

– Wszystko... bardzo się dla mnie pokomplikowało... od śmierci Haydena – odezwałem się w końcu. – Dużo się dzieje i męczy mnie mnóstwo pytań. Pomyślałem, że może potrafisz mi pomóc.

– Mogę spróbować – zaproponował. – Chociaż tak naprawdę nie znałem Haydena. Wiem, że Astrid chciała, aby kiedyś zaczął spędzać z nami czas, ale mówiła, że na razie nie jest jeszcze gotowy, bo paraliżuje go nieśmiałość.

– Moje pytania nie dotyczą Haydena. Przynajmniej nie bezpośrednio.

Eric posłał mi pytające spojrzenie.

– Wiem, że trochę zmieniam temat, ale Astrid opowiedziała mi o nocy, kiedy umarł Hayden. Miała się pojawić na imprezie, ale tego nie zrobiła. Mam przeczucie, że być może... nie poszła tam ze względu na ciebie.

Z twarzy Erica nagle zniknął uśmiech.

– Rozumiem – powiedział.

– Wiem, że nie znamy się zbyt dobrze, a to pewnie coś osobistego, ale czy jest szansa, że zdradzisz mi, o co chodziło?

Przez długą chwilę wpatrywał się w stół, po czym podniósł na mnie wzrok. Widać było, że podjął jakąś decyzję.

– Powiem ci wszystko, co będziesz chciał wiedzieć, ale nie tutaj. Możesz wpaść do mnie po południu? Po szkole?

– Pewnie – odparłem.

Czegokolwiek dotyczyła ta opowieść, najwyraźniej było to coś ważnego. Nie mogłem się doczekać, aż ją usłyszę.

Gdy tylko zadzwonił dzwonek wieszczący koniec ostatniej lekcji, ruszyłem do domu Erica. Przypomniało mi się, że on ma samochód, więc i tak dotrze na miejsce pierwszy. Ziemia była wilgotna od deszczu, który spadł zeszłej nocy, co pewnie dobrze wróżyło wyścigom w błocie. Miałem na nogach parę starych trampek, które piszczały przy każdym kroku, gdy wędrowałem, słuchając playlisty Haydena na iPodzie.

Umieścił na niej dwie wersje utworu *Hurt* – najpierw uwielbiane przez niego oryginalne wykonanie tego kawałka przez Nine Inch Nails. Hayden miał słabość do subkultury gotów; przeszedł, na przykład, przez

potworną fazę fascynacji Marilynem Mansonem, która wystawiła naszą przyjaźń na próbę. W szczególności zaś przekonany był o geniuszu Trenta Reznora. Ja z kolei nawet nie podejrzewałem, że może spodobać mi się jakakolwiek piosenka Nine Inch Nails, dopóki nie usłyszałem coveru *Hurt* w wykonaniu Johnny'ego Casha, czyli drugiej wersji tego kawałka znajdującej się na składance. Johnny Cash nagrał zresztą więcej cudzych piosenek, których mało kto się po nim spodziewał – numery Depeche Mode, Toma Petty'ego i wielu innych artystów. Uznałem *Hurt* w wykonaniu Casha za utwór genialny, ale Hayden był przekonany, że to zwykły chwyt marketingowy, na który namówiono artystę szykującego się do śmierci. Moja opinia zaś o Trencie Reznorze w końcu złagodniała – uznałem za fajne, że przez jakiś czas działał jako Nine Inch Nails, a potem zajął się tworzeniem ścieżek dźwiękowych do filmów. Hayden jednak nigdy nie zmienił zdania na temat coverów nagranych przez Johnny'ego Casha i to, że umieścił na playliście obie wersje piosenki, odczytałem jako znak, iż może tak bardzo mnie nie nienawdził. Ale byłem też świadomy ryzyka związanego ze zbyt wczesnym wczytywaniem się w playlistę. Żałowałem, że brakuje mi pewności co do powodów, dla których Hayden zawarł na niej to, co zawarł. Co to wszystko właściwie oznaczało? Co miałem zrozumieć?

W końcu dotarłem do domu Erica. Jego mama musiała zabrać gdzieś dzieci, bo to on otworzył drzwi, gdy zapukałem.

– Chodźmy na górę – powiedział, a ja podążyłem za nim na strych.

– Chcesz coś do picia?

Podszedł do niewielkiej lodówki i wyjął z niej dwie butelki wody. Skinąłem głową, a on podał mi jedną.

– Usiądźmy wygodnie – zaproponował. – To może trochę zająć.

Rozrzucone na podłodze poduszki i koce nie zmieniły położenia od czasu, gdy oglądaliśmy film. Eric zajął wypchany kulkami worek, a ja klapnąłem na stos poduszek, starając się nie rozkładać zbyt niezgrabnie. Pamiętałem, jak wygodnie leżało mi się tu z Astrid, teraz jednak czułem się dokładnie odwrotnie.

Nie wiedziałem, jak zachęcić go do rozpoczęcia opowieści, postanowiłem więc zacząć paplać w nadziei, że mi przerwie.

– Nie jestem pewny, jak dużo Astrid opowiedziała ci na mój

temat...

Eric się uśmiechnął.

– Wystarczająco dużo. Na wypadek, gdybyś nie zauważył, jest w tobie zabujana po same uszy.

Zarumieniłem się.

– Możesz mi wierzyć, że odwzajemniam jej uczucie. Ale wiesz, co stało się z Haydenem, prawda?

– Tak – odparł.

Byłem wdzięczny, że nie powiedział nic więcej, tylko uznał fakt, iż straciłem kogoś bliskiego. Nie poprawiło to sytuacji, ale właściwie nic nie było w stanie jej poprawić.

– Mówiła, że chciała mu pomóc – przypomniałem. – Miała spotkać się z Jess na imprezie, ale w końcu tam nie poszła.

– I tu na scenę wchodzi ja – dodał Eric.

Z ulgą przyjąłem fakt, że to rozumie. Czekałem, aż powie coś jeszcze, ale chyba się namyślał. Następnie upił duży łyk z butelki, jakby szykował się do wykonania czegoś forsownego.

– A zresztą – odezwał się w końcu. – Wszyscy moi znajomi i tak wiedzą. Skoro masz z nami spędzać czas, równie dobrze mogą ci powiedzieć. Chodź, coś ci pokażę.

Wstał z bezkształtnego siedziska na tyle zgrabnie, na ile to możliwe, po czym udał się w kąt pomieszczenia, gdzie ostatnio coś malował. Poszedłem tam za nim i wbiłem wzrok w portret, którego rysy wydały mi się wówczas znajome, chwilę później uświadomiłem sobie dlaczego.

Spojrzałem na Erica, a ten pokiwał głową.

– To Jason – stwierdziłem.

– Byliśmy parą – wyjaśnił Eric.

No tak. Zaczynałem rozumieć: plotki krążące na temat Jasona i wzmianka Astrid o tym, że Eric ma za sobą bolesne zerwanie. Skąd miałem wiedzieć? To, że obaj byli gejami, nie znaczyło jeszcze, że musieli ze sobą chodzić. Niezbyt przecież do siebie pasowali.

Ponownie usiedliśmy i Eric zaczął opowiadać:

– Poznaliśmy się w kościele, przez wiele lat uczęszczaliśmy do tej samej szkółki niedzielnej. Myślę, że tak samo reagowaliśmy na grzmiące

tyrady pastora na temat zła, które niósł ze sobą homoseksualizm. Obaj kryliśmy się ze swoimi skłonnościami, chociaż jego o wiele bardziej przerażała myśl, że ktoś może się o nich dowiedzieć. Ja z kolei sądziłem, że to tylko i wyłącznie moja sprawa, i nie byłem jeszcze gotowy, żeby odbyć na ten temat rozmowę z rodziną. Ale jego rodzice są strasznie religijni, więc Jason doszedł do wniosku, że gdyby się dowiedzieli, wpadliby w szal. Nie mówiąc o tym, że chociaż mieszkają we wschodniej części miasta, nie przelewa im się, a on liczył na kościelne stypendium, które pozwoliłoby na naukę w college'u. Gdyby ktoś się dowiedział, że jest gejem, nie miałby żadnych szans.

A więc o to mu chodziło, gdy mówił: „Większość osób woli prowadzić drugie życie niż ryzykować utratę stypendium, gdy Kościół dowie się, że są gejami”. Zakładałem wtedy, że tak sobie gada, ale najwyraźniej chodziło mu o Jasona.

Eric zrobił pauzę, żeby napić się wody, a ja pomyślałem, że być może podświadomie chciał opowiedzieć komuś tę historię od początku do końca, tak jak nigdy wcześniej nie był w stanie tego zrobić.

– Musiało wam być strasznie ciężko – zauważyłem.

– Zgadza się – przyznał z wdzięcznością. – Wiem, że on potrafi zachowywać się jak dupek, ale gdy byliśmy sami, wcale taki nie był. Był inny. Ciężko to wyjaśnić. W każdym razie byliśmy razem szczęśliwi. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Ale coś się wydarzyło – podpowiedziałem. – W wieczór, w który odbywała się impreza u Stephanie Caster.

Przyszło mi do głowy, że pewnie ze sobą zerwali, ale nie zasugerowałem tego na głos.

– Właśnie wtedy – przyznał. – Ale nie znam wszystkich szczegółów, bo od tamtej pory nawet nie spojrzeliśmy na siebie z Jasonem. Mogę się ich jednak domyślić. Jego kumple pewnie się o wszystkim dowiedzieli i zaczęli świrować. Kazali mu ze mną zerwać i nikomu o tym nie mówić, jeśli chciał nadal się z nimi kolegować. I Jason tak właśnie zrobił. Przy użyciu wyjątkowo nieprzyjemnego SMS-a.

Eric parsknął śmiechem, ale był to śmiech mroczny, pełen gorzkości.

– Dlatego zadzwoniłeś do Astrid?

– Nie. Wiedziałem, że ma iść na tamtą imprezę, bo jej obecność była bardzo istotna, chociaż nie znałem szczegółów. Najwyraźniej jednak Trevor i Ryan uznali moje zerwanie z Jasonem za niewystarczające. Upewnili się zatem, że nie będę próbował go odzyskać.

Nie byłem pewny, co ma na myśli.

– W jaki sposób? – spytałem.

– Powiedzieli moim rodzicom, że jestem gejem. Dopiero wtedy puściły mi nerwy. Chciałem zadzwonić do Astrid, ale wpadłem w histerię. Ryczałem tak strasznie, że ledwo byłem w stanie mówić.

Poczułem ukłucie czegoś na kształt zazdrości. Zastanawiałem się, czy ma to coś wspólnego z faktem, że ja jeszcze nie potrafiłem oplakiwać Haydena.

– Podwiozłem dziewczyny na miejsce, ale w dalszym ciągu nie mogłem wydusić z siebie ani słowa – powiedział. – Astrid doszła chyba do wniosku, że ktoś zrobił mi krzywdę, fizycznie. Gdy przyjechaliśmy na imprezę, nie chciała wysiąść z samochodu. Zapewniła Jess, że świetnie sama sobie poradzi i że niedługo do niej dołączy, tylko musi chwilę ze mną pogadać. Nie prosiłem, żeby ze mną została, ale jestem jej za to wdzięczny, chociaż wszystko się przez to schrzaniło. Od tamtej pory dręczy mnie poczucie winy.

„Witaj w klubie” – pomyślałem, ale się nie odezwałem. Tak naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć. Przypomniało mi się, że gdy zauważyłem, iż rodzice akceptują Erica, Astrid odparła: „Teraz już tak”, a on uciał rozmowę. Nieopatrznie poruszyłem delikatną kwestię i nie chciałem tego błędu powtórzyć.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Dzięki. Teraz jest między nami okej. Nie chodzi o to, że nie chciałem im powiedzieć, tylko chciałem to zrobić, gdy będę gotowy, po swojemu. Daleko im do homofobów, po prostu nie mieli wcześniej wiele do czynienia z homoseksualistami i trochę czasu zajęło im oswojenie się z myślą, że ich pierworodny syn nie jest osobą, za którą go uważali. Pod pewnym względem jednak ta cała historia ułatwiła mi życie, bo nie muszę się już martwić, że ktoś się dowie, i mogę się ubierać i zachowywać tak, jak mam ochotę.



„Tak jak Astrid” – przyszło mi do głowy.

– Ale domyślam się, że nie jesteś wdzięczny tym bydlakom za to, co zrobili.

– Oj nie – przyznał. – Tak jak ostatnio wspominałem, nie mam nic przeciwko temu, żeby spotkała ich zasłużona kara. Byle nie za surowa.

Dziwnie to zabrzmiało i nie wiedziałem, jak potraktować tę uwagę.

– To po części dlatego tak bardzo się ekscytuję jutrzejszymi wyścigami – dodał. – Mam zamiar pobić Ryana, nawet jeśli ma prowadzić bajerancką nową brykę Trevora. Chłopak nie ma pojęcia, w co się ładuje.

Tego właśnie się obawiałem. Nie byłem pewny, jak mam spytać o to, czego najbardziej chciałem się dowiedzieć. Szukałem przecież kogoś, kto oprócz mnie ma na pieńku z triem bydlaków, i właśnie go znalazłem. Czy to znaczyło, że poznałem odpowiedź na jedno ze swoich pytań? Czyżbym wiedział już, kto zorganizował napaści?

Tyle że mówiąc o tym, co się stało, Eric brzmiał tak jak ja. A skoro obaj uważaliśmy, że sprawy zaszły za daleko, to czy miało sens podejrzewanie któregoś z nas?

– Masz zamiar pobić go w w y ś c i g u – powtórzyłem, mając nadzieję, że Eric zrozumie, o co mi chodzi.

– Tak, w wyścigu – potwierdził i chyba rzeczywiście zrozumiał. – A uda mi się to dlatego, że Ryan jest cieniem i wydaje mu się, że samochód Trevora jest obdarzony jakąś magiczną mocą. Tyle że to nieprawda, a ja będę w stanie kompletnie go upokorzyć, i to grając według jego własnych zasad. I na tym muszę się teraz skupić.

Ponownie zabrzmiał jak ja. Obaj chcieliśmy odplacić Ryanowi pięknym za nadobne, ale w miejscu publicznym, gdzie wszyscy będą tego świadkami. Mimo wszystko musiałem się upewnić.

– Fair play? – spytałem.

– Jak najbardziej – odparł Eric. – Nie żartuję. Ten sport może być bardzo niebezpieczny, jak człowiek zacznie się wydurniać.

Przypomniał mi się durnowaty program telewizyjny, który zdjęli z anteny po tym, jak paru koleśków utknęło w zgniecionym samochodzie.

– A obchodzi cię to, że może zrobić się niebezpiecznie? – spytałem.

Spojrzał na mnie wzrokiem, który utwierdził mnie w przekonaniu, że Eric wie, o czym mówię.

– Obchodzi – powiedział cichym głosem. – Bardziej, niż myślisz.

– Cieszę się – odparłem. – Powodzenia.

Wciąż nie byłem do końca przekonany – skoro winowajcą nie byłem ani ja, ani Eric, to nie pozostawał już nikt więcej do wyboru. Chciałem jednak wierzyć, że to może być ktoś inny. I że najgorszym, co może się przytrafić Ryanowi, jest przegrana w wyścigu.

Nie mogłem się doczekać, aż ujrzę jego porażkę na własne oczy.



*For Emma***Bon Iver**

Gdy w sobotnie popołudnie zszedłem ze schodów, Rachel tylko na mnie zerknęła, a następnie odesłała na górę, żebym się przebrał.

– Chyba nie dociera do ciebie, co oznacza nazwa „wyścigi w błocie”. Będiesz cały upaprany. Nałóż coś gorszego.

Jakoś strasznie się nie wystroiłem, ale widok Rachel i Jimmy’ego uświadomił mi pomyłkę. Oboje ubrani byli na czarno, w płaszcze przeciwdeszczowe i wysokie buty – Rachel miała na nogach kalosze, a Jimmy obuwie taktyczne. Słabo znałem garderobę Jimmy’ego, ale w przypadku Rachel mogłem stwierdzić, że jej ciuchy są naprawdę stare. Rozpoznałem legginsy, których zazwyczaj używała w roli dołu od piżamy. Nałożyłem więc starą bluzę, jeszcze starsze džinsy oraz buty zimowe, a Rachel zaaprobowwała mój strój skinieniem głowy.

– Co tu się właściwie wyprawia? – spytała mama. – Wyglądacie nedorzecznie.

Powstrzymałem się od uwagi, że moim zdaniem Rachel i Jimmy na co dzień wyglądają nedorzecznie. Nie mówiąc już o tym, iż mama miała na sobie szpitalny kitel, tym razem cały w maleńkie kaczuszki.

Musiała dostrzec, że się na nią gapię.

– Ani słowa – ostrzegła. – Jedź ostrożnie. Będiesz wiózł najcenniejsze, co mi w życiu zostało – zwróciła się do Jimmy’ego.

Jimmy wykonał gest imitujący uchylenie czapki przez szofera.

– Spokojna głowa, pani Goldsmith.

Do Halloween zostało jeszcze parę dobrych dni, ale powietrze było już chłodne, a gdy szliśmy do samochodu, wiatr plątał włosy Rachel. Żałowałem, że nie wziąłem płaszcza, ale pod bluzę włożyłem koszulkę

z długimi rękawami i miałem nadzieję, że to wystarczy.

– Jesteście pewni, że będzie fajnie? – spytałem, gramoląc się na tylne siedzenie, które okazało się zadziwiająco czyste, zważywszy na to, jaki syf panował z przodu.

– Mnie nie pytaj – odparł Jimmy. – To był pomysł twojej siostry.

– Powinieneś częściej wychodzić z domu – odezwała się Rachel. – Zresztą twoja dziewczyna tam będzie, nie?

– Nie sformalizowaliśmy jeszcze naszego związku – powiedziałem, mimowolnie się rumieniąc.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu, słuchając w radiu jakiegoś starszego gościa o płaczącym głosie, który zawodził na temat Tomka Sawyera przy akompaniamencie rżących gitar. Zacząłem rozmyślać o playliście Haydena, żeby nie wsłuchiwać się w tę piosenkę. Mój ulubiony utwór na niej to kawałek Bon Iver, zespołu, który tak naprawdę był solowym projektem faceta o niesamowitym, wysokim głosie – nie neurotycznym i drżącym jak głos gościa, który śpiewał w radiu, ale miękkim i gardłowym, niemalże kobiecym. Gdy po raz pierwszy zmusiłem Haydena do posłuchania tej piosenki, okazał pewien rodzaj agresywnej dezaprobaty, ale z czasem jego stanowisko złagodniało i nie zaskoczyło mnie, że na składance pojawił się ten właśnie kawałek o utraconej miłości – w świetle tego, czego się dowiedziałem, nie było to nic szokującego.

Dotarcie na miejsce zajęło nam jakieś dwadzieścia minut. Nie byłem pewny, czy mam się spodziewać imprezy, wyścigów czy czegoś jeszcze innego, i wkrótce wylądowaliśmy w szczerym polu, z którego niedawno musiano zebrać soję – było zbyt płaskie na kukurydzę. Wczorajszy deszcz zostawił tu piękne błocko w ilościach o wiele większych niż na innych mijanych przez nas polach.

Największą zaletą tego terenu był jednak fakt, że pole graniczyło z zagajnikiem, który osłaniał je od strony drogi i mógł zapewnić schronienie w razie deszczu. Kilka osób rozpałiło już ognisko między drzewami, a nieopodal rozstawiono parę beczek z piwem. Wokół nich kręciło się już ze trzydzieści lub czterdzieści osób, a ja z ulgą stwierdziłem, że Rachel miała rację: były tu osoby z różnych towarzystw, a i tak wszyscy świetnie się dogadywali.

Obok beczek znajdował się prowizoryczny parking zastawiony kilkoma autami, a dalej stały – jakżeby inaczej – półciężarówki. Było ich co najmniej dziesięć, ustawionych na skraju pola, w miejscu, gdzie długi kawałek białej taśmy wyznaczał linię startową.

– Meta jest tam – poinformowała Rachel, wskazując palcem w dal.  
– Ale obczaj środek, bo to tam skupi się cała akcja.

Podążyłem wzrokiem za jej palcem do miejsca, które z początku z trudem byłem w stanie dojrzeć, jednak mogłem stwierdzić, że to najbardziej podmokła część pola – ziemia lekko się tam zapadła, a promienie słońca lśniły w oleistej wodzie, tworząc maleńkie tęcze, jakie uwielbiałem w dzieciństwie obserwować w kałużach.

Raz jeszcze spojrzałem na stojące w rzędzie półciężarówki. Łatwo dało się stwierdzić, która z nich należy do Trevora – czerwony potwór oblepiony był naklejkami z bezczelnymi napisami typu: „TYLKO FRAJERZY NIE WYGRYWAJĄ ZA PIERWSZYM RAZEM” oraz „ZAGINAŁ KOTEK? SPRAWDŹ POD MOIMI KOŁAMI”. Koleś z klasą.

Kilka samochodów dalej stał skromniej się prezentujący pick-up: wyblakły niebieski ford poznaczony rdzą, który łatwo mogłem sobie wyobrazić na farmie. Musiał należeć do Erica.

– Wygląda na to, że wszyscy stoją przy kegach – zauważył Jimmy.

– Też możemy się napić – stwierdziła Rachel. – Jest zimno, a minie jeszcze przynajmniej godzina, zanim coś zacznie się dziać.

Przypomniała mi się impreza: browary pomagały, dopóki się nie upiłem. Sztuka polegała zatem na przyssaniu się do piwa i unikaniu whisky jak ognia. Podążyłem za Rachel i Jimmym wzdłuż stojących aut, wypatrując Astrid i jej znajomych. Znalezienie ich zajęło mi dobrą minutę. Najpierw dojrzałem brodę Damiana, a potem stojącą obok niego Jess. Astrid rozmawiała z Erikiem kilka kroków dalej. Jej długie platynowe włosy pozbawione były pasemek i splątane na czubku głowy w swego rodzaju supeł. Szepnęła coś do Erica, a ten złapał ją za ramię wściekłym gestem. Wyrwała mu się jednak i odeszła, po czym kucnęła za półciężarówkami, gdzie ciężko mi było ją dojrzeć.

– Wiecie co, zaraz was dogonię, okej? – powiedziałem.

Cofnąłem się do rzędu samochodów i zobaczyłem Astrid, która

klęczała za bryką Trevora, wyciągając z brązowego plecaka przedmioty, których nie mogłem dojrzeć, i układała je na ziemi.

– Hej – powiedziałem.

Spojrzała na mnie wystraszoną wzrokiem.

– Sam! Nie spodziewałam się ciebie tak wcześniej.

Wstała i położyła dłonie na biodrach, jakby chciała zasłonić zawartość plecaka. Na to było już jednak za późno.

– Właśnie widzę. Po co ci te ziemniaki, Astrid?

Drgnęła, jakbym wymierzył jej policzek. Na jej twarzy, jedna po drugiej, pojawiło się kilka min. Zacząłem się zastanawiać, jaką strategię obrać.

– Tak się cieszę, że to ty! – zawołała w końcu. – Tym razem zdecydowałam się na oldskulową metodę: kartofle w rurze wydechowej. Wsadzę ich tam kilka, a gdy Ryan podkręci silnik, wystrzelą. Zesra się w gacie, jak usłyszy ten huk. A wtedy Eric będzie mógł go potraścić. O ile zgodzi się na współpracę. Będzie super.

Chwilę zajęło mi zarejestrowanie wszystkiego, co mówiła.

„Tym razem”? „Potraścić”?

Przed rozmową z Erikiem sprawdziłem, jakie numery można wykręcić w tego typu sytuacji. Przeczytałem niezliczone artykuły poświęcone sztuczce z ziemniakami. Dzięki nim wiedziałem, że to nie zda egzaminu: kartofle po prostu wypadną albo silnik nie zapali. Istniała jedna szansa na milion, że wystrzelą w taki sposób, w jaki jej się wydawało, a wtedy ktoś może zostać ranny.

Czyżby o to jej właśnie chodziło?

W mojej głowie ścigały się różne myśli. Stałem z otwartą buzią, prawdopodobnie wyglądając jak jakiś półgłówek, ale nic nie mogłem na to poradzić. W końcu zacząłem składać to wszystko do kupy.

„Tym razem” – powiedziała.

„Pora na akt trzeci”.

Nie wiedziałem, czy mam krzyczeć, czy uciekać. W uszach mi dzwoniło, chociaż żadne z nas od co najmniej minuty się nie odezwało. „Nie, tylko nie ty” – pomyślałem. Chciałem, żeby to był ktoś inny niż ja, ale na pewno nie ona. Wreszcie słowa wydobyły się z moich ust w postaci szeptu:

- To byłaś ty? Od początku?
- Do usług – potwierdziła, dygając.

Starła się zabrzmieć nonszalancko, ale dostrzegłem, że zaczyna dygotać. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, co w tej chwili musiała widzieć na mojej twarzy.

– Ja... nie mogę... – Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziałem nawet, od czego zacząć.

– Jezu, Sam, sądziłam, że kto jak kto, ale ty mnie zrozumiesz – powiedziała Astrid.

Jej górna warga podjechała do góry i nie byłem w stanie stwierdzić, czy ze mnie drwi, czy próbuje się powstrzymać od płaczu.

- Przez ciebie uwierzyłem, że to ja!
- Daj spokój, nie mogłeś tak myśleć.

Głos jej drżał. Próbowwała brzmieć hardo, ale z kiepskim skutkiem.

– Nie możesz wiedzieć, co myślałem – odparłem.

Przez cały ten czas byłem przekonany, że się rozumiemy, ale byłem w błędzie.

– Zresztą lepiej dla ciebie, że o niczym nie wiedziałeś – zauważyła.  
– Skoro nie znałeś szczegółów, nikt nie mógł cię pociągnąć do odpowiedzialności. Naprawdę lubiłam spędzać z tobą czas, chciałam cię poznać... Sądziłam, że zrozumiesz. Zostawiłam ci wystarczająco dużo wskazówek, myślałam, że się domyślisz.

Wróciłem pamięcią do naszej rozmowy o karmie. Czyżby w ten zakamuflowany sposób chciała mi wszystko wyjawić? Dać do zrozumienia, że nie muszę się martwić, bo niczego nie zrobiłem? Że mnie kryła? Nie mogłem w to uwierzyć.

- Eric też jest w to zamieszany? – spytałem.
- Niezupełnie – odparła spokojnym głosem.

Może wcześniej miała ochotę się rozplakać, lecz obecnie nic już na to nie wskazywało.

– Siedział za kółkiem w tę noc, kiedy dopadłam Trevora. Ale wkurzył się na wieść o tym, jak się to wszystko potoczyło. Chyba nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo byłam wściekła. I dobrze, bo nie potrzebowałam pomocy. Ogłuszenie kogoś, kto się tego nie spodziewa, jest łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać.



„To raczej zasługa kija bejsbolowego” – pomyślałem.

– A co z Jasonem? – spytałem. – Eric powiedział, że się nie widzieli od rozstania. Kłamał?

Pokręciła głową.

– W tym przypadku pomógł mi Damian. Byliśmy tak rozwścieczeni tym, co Jason i spółka zrobili Ericowi, że musieliśmy zareagować.

– Czyli to nie miało związku z Haydenem?

To, że Astrid okazała się winna, było wystarczająco kiepskie, ale fakt, że nie zrobiła tego z myślą o Haydenie, dodatkowo pogarszał sprawę.

– Oczywiście, że miało – odparła. – Dlatego właśnie Ryan jest najważniejszy, przez wzgląd na niego i na mnie. Ale bez Erica się nie uda. Próbowałam mu to wyjaśnić, ale koniecznie chce zająć się Ryanem sam.

Prawie bezwolnie zrobiłem krok do tyłu. Miałem ochotę znaleźć się jak najdalej od niej.

– Daj spokój, Sam – zaczęła błagać. – Nie bądź taki. Wiesz przecież, że to potwory. Zrujnowali życie Erica, Haydena, Jess i moje. Twoje też. Niszczyli wszystko, czego się tknęli, i nikt z tym nic nie robił. Miałam dość tego, że wszystko uchodzi im na sucho. Ktoś musiał coś zrobić. Zrozum.

Wyciągnęła dłoń, jakby chciała wziąć mnie za rękę, ale ja cofnąłem się jeszcze dalej.

– Krzywdzisz ludzi – oznajmiłem. – I to poważnie!

Zacząłem podnosić głos.

– Zasłużyli na surowszą karę niż to, co im zrobiłam. Jason został po prostu upokorzony, a Trevorowi nic nie będzie.

– A to, co szykowałaś dla Ryana? Jak sądzisz, co by się stało, gdyby ci się udało?!

Krzyczałem, więc ludzie zaczęli się na nas oglądać.

Astrid wzruszyła ramionami.

– Obchodzi cię to w ogóle?

Głos zaczął mi się łamać. Nie pamiętałem, abym kiedykolwiek wcześniej był równie wściekły. A przynajmniej nie na kogoś, komu

mogłem osobiście stawić czoła.

Tak bardzo się martwiłem, że to ja ponoszę odpowiedzialność – a potem, że chodzi o Erica – że nawet nie przyszło mi do głowy, aby wziąć pod uwagę Astrid. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jakbym się czuł, gdybym wiedział wcześniej, że chodzi właśnie o nią.

Ale teraz już wiedziałem.

I czułem się okropnie. Do tego stopnia, że moje rozczarowanie przysłańało poczucie ulgi wywołane faktem, że to jednak nie ja.

Astrid musiała coś wyczytać z mojej miny.

– Zrobiłam to dla Haydena – zapewniła łagodnym głosem.

Jakby to wszystko wyjaśniało. Zresztą to nawet nie była prawda.

– Zrobiłaś to dla siebie – odparłem cicho.

Spojrzała na mnie, szukając słów, które mogłyby naprawić sytuację. Tyle że one nie istniały. Miałem wrażenie, że wszystko, co o niej wiem, okazało się kłamstwem. Sądziłem, że jesteśmy tacy sami, że nam się poszczęściło, gdy się odnaleźliśmy, ale może wcale nie chodziło o fart. Może był to po prostu kolejny okrutny sposób na przypomnienie mi, że naprawdę utraciłem jedyne przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem.

Nie miałem jej już nic więcej do powiedzenia, no może z wyjątkiem jednego:

– Proszę, nie rób tego. Niech Eric załatwi to po swojemu.

Kiwnęła głową, po czym uklękła i zaczęła zbierać ziemniaki, aby schować je do plecaka.

– Myślałam, że zrozumiesz – powtórzyła raz jeszcze, nie patrząc na mnie.

W pewien sposób rzeczywiście rozumiałem, ale nie w taki, który by coś zmieniał. Nie była osobą, za jaką ją brałem. Osobą, której potrzebowałem. A teraz znowu musiałem pogрузić się w samotności.

Odszedłem.

Nie zadałem Astrid wszystkich pytań, które miałem ochotę zadać. Na przykład: jak dużo wiedział Eric i jej pozostali znajomi oraz dlaczego uznała, że zemsta na szkolnych dręczycielach jest jej zadaniem? Zresztą czy to było ważne? Straciłem ją, a właściwie ona mnie, a tym samym utraciłem szansę na zyskanie nowej grupy znajomych. Może problemem

była sama koncepcja grupy? Przecież gdy tylko więcej niż dwie osoby angażują się w ten sam projekt, pojawia się ryzyko, że wiele rzeczy pójdzie nie tak. Trio bydlaków to trzech debili, z których każdy miał w głowie około jedną trzecią mózgu; koleżanki Astrid z czasów czirliderskich odwróciły się od niej, gdy tylko zostawił ją Ryan; jej obecni znajomi pomogli jej uknuć spisek przeciwko bydlakom, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy, że sami dopuszczają się przemocy. Byłem niemal skłonny myśleć, że to, co robili, było jeszcze gorsze – szkolni dręczyciele nie kryli się ze swoją nikczemną działalnością, podczas gdy ekipa Astrid organizowała się potajemnie, pozwalając, by wina spadła na kogoś takiego jak ja.

Komu potrzebna była grupa? Co było nie tak w posiadaniu jednego przyjaciela?

Od śmierci Haydena jeszcze tak mocno za nim nie tęskniłem. Ogarnęła mnie tęsknota tak potężna, że przestałem sobie zabraniać o nim rozmyślać – zatopiłem się w niej i pozwoliłem, by jej fale przetaczały się po mnie. Byłem bliski łez i gdyby nie to, że stałem w zasięgu wzroku osób, które zgromadziły się na wyścigach, a których w większości nie znałem lub nie mogłem znieść, mógłbym po prostu powiedzieć „chrzanić to” i się poryczeć.

Ale tego nie zrobiłem. Nie żebym przejmował się tym, co pomyślą o mnie ci ludzie, ale zostało mi jeszcze trochę dumy. I za cholerę nie było mowy, że zacznę szlochać w samym środku zasranego pola z kukurydzą – czy soją, nieważne – i pozwolę Astrid i jej znajomym myśleć, że doprowadziła mnie do łez. Jednak nie mogłem już dłużej ustać na nogach. Opadłem na kolana i wbiłem wzrok w ziemię, wyobrażając sobie, że jestem tu sam. W mojej głowie zaczęła grać piosenka, którą przypomniałem sobie w samochodzie, opowiadająca o miłości do ludzi, którzy okazali się kłamcami. Nie będę jednym z nich. Miałem dosyć kłamstw, tajemnic i skrytości. Zapomnę o Astrid, chociaż ze stratą Haydena nigdy się pewnie nie pogodzę. Miałem gdzieś, że zostanę sam.

I wtedy ktoś poklepał mnie po ramieniu.



*Cosmic Love***Florence and the Machine**

Nie wierzyłem, że to Astrid ośmieliła się wrócić. Na wszelki wypadek jednak, zanim podniosłem wzrok, przygotowałem się na jej widok. Nie, to nie była Astrid. Tylko drobna wystraszona dziewczyna z krótkimi nastroszonymi włosami.

Jess.

– Mogę z tobą porozmawiać? – spytała.

Miała wysoki głos i mówiła tak cicho, jak można się było spodziewać po kimś równie nieśmiałym i wycofanym, co ona.

Wstałem. Byłem od niej ze trzydzieści centymetrów wyższy.

– Jasne – odparłem, starając się zabrzmieć jak ktoś, kto nie stracił spokoju ducha. – Ale moglibyśmy podejść do ogniska? Strasznie przemarzłem.

Była to prawda. Niebo pociemniało, ochłodziło się, a moja bluza okazała się niedostatecznie ciepła. Ale tak naprawdę po prostu nie chciałem widzieć Astrid.

Jess popatrzyła na mnie i skinęła głową. Podeszliśmy do ognia, znaleźliśmy suche miejsce na ziemi i usiedliśmy.

– Wszystko w porządku? – spytała Jess.

Musiała wszystko widzieć, więc dobrze zdawała sobie sprawę, że odpowiedź brzmi „nie”. Ale nie chciałem teraz o tym myśleć. Wolałem się dowiedzieć, dlaczego chciała ze mną pogadać. Siedzieliśmy tuż obok siebie i w końcu mogłem się jej lepiej przyjrzeć i wyobrazić sobie, co Hayden by w niej widział. Nie była jakoś szczególnie ładna. Wszystko w niej było drobne, może nawet za bardzo: oczy – małe i rozmieszczone blisko siebie, usta – tak niewydatne, że wargi wyglądały jak dwie cienkie

kreski. Włosy zostały ścięte na krótko, więc dostrzegałem jej maleńkie uszka, w których płatkach ledwo mieściły się kolczyki z ćwiekami.

– Nic mi nie będzie – odparłem, mając nadzieję, że to prawda.

Zerknęła na mnie, a ja zdałem sobie sprawę, że się na nią gapię. Uśmiechnęła się, a do mnie dotarło, dlaczego Astrid wyobrażała sobie ich razem. Dostrzegłem, że pasowaliby do siebie z Haydenem, a jej drobne rozmiary wywołałyby u niego poczucie siły. Zakochali się w sobie, zanim mieli możliwość poznać się osobiście. Nie miałem pojęcia, czy Jess prosiła wcześniej Astrid o wskazanie jej Haydena w szkole, ale jeśli tak było, to musiała uznać go za atrakcyjnego pod jakimś względem. Do tej pory uważałem ludzi, którzy nawiązują romantyczne relacje w internecie, za czubków, ale teraz zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie wiedzieli o czymś, co mi umykało. Było coś niesłychanie niewinnego w fakcie, że emocje Haydena i Jess wynikały z ich wyobrażeń o tej drugiej osobie, które zresztą mogły okazać się słuszne.

– Astrid bez przerwy o tobie opowiada – odezwała się w końcu Jess delikatnym głosem. – On też opowiadał. Cieszę się, że możemy pogadać. Przyszło mi do głowy, że jeśli wszystko ci wyjaśnię, łatwiej ci będzie zrozumieć.

Byłem w stanie pojąć, dlaczego nie chce wymówić imienia Haydena. Myliła się jednak, myśląc, że może zmienić moje zdanie na temat tego, czego się właśnie dowiedziałem. Ale nie chciałem jej powstrzymać przed opowiedzeniem swojej historii.

– Z początku miałem wątpliwości, czy istniejesz naprawdę – przyznałem. – Gdy Astrid opowiedziała mi o Atenie, sądziłem, że może to ona nią jest.

Jess parsknęła śmiechem.

– Ciężko mi to sobie wyobrazić – stwierdziła. – Sporo czasu zajęło Astrid wyrzucenie z pamięci Ryana. Być może udało jej się to dopiero, gdy Hayden opowiedział jej o tobie.

Mocno przełknęła ślinę, powiedziawszy „Hayden”, ale chyba zaczynała się rozluźniać.

– Co masz na myśli?

– Spodobałeś się Astrid, jeszcze zanim się poznaliście, na

podstawie tego, co Hayden mówił jej o tobie. Myślę, że zeswatała mnie z nim, bo pewnego dnia moglibyśmy spędzać czas we czwórkę.

Słyszając to, poczułem ucisk w gardle. Dlaczego Astrid nie mogła odnaleźć mnie wcześniej? Zaufać mi wcześniej? Może wtedy odwiódłbym ją od zrobienia tego, co zrobiła. Nie jestem jednak pewny, czy byłbym w stanie jej pomóc wyzbyć się żądzy zemsty. Ale mieliśmy przecież nie rozmawiać o Astrid.

– Opowiesz mi, co zaszło na imprezie? – poprosiłem.

– Domyśliłam się, że właśnie to będziesz chciał usłyszeć – przyznała Jess. – Astrid mówiła, że obwiniasz się o to, co się stało. Wiem też, że sama uważa się za winną. Ale odpowiedzialność nie leży po stronie żadnego z was, tylko po mojej.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedziałem.

– Tylko że ja wiem, co naprawdę zaszło. A ty wiesz tylko to, co zdołałeś zobaczyć.

Mówiła powoli, cichym głosem i musiałem się nachylić, że dobrze ją słyszeć.

\* \* \*

– Ubzdurałam sobie, że gdy tylko Hayden zobaczy mnie na własne oczy, zmieni zdanie i zwieje, i nie mogłam znieść tej myśli. Wiedziałam, że muszę się z nim spotkać w miejscu publicznym, abym mogła się gdzieś ukryć, gdyby coś poszło nie tak. Astrid uznała, że impreza będzie pod tym względem idealna. Nie byliśmy z Haydenem przekonani, bo ciężko nas uznać za imprezowiczów. Ale Astrid zapewniła mnie, że pójdzie jak po maśle. Stwierdziła, że dom tamtej dziewczyny jest wielki i pełno w nim wolnych pokojów, w których można porozmawiać, i będziemy czuć się mniej niezręcznie, niż gdybyśmy się gdzieś spotkali tylko we dwójkę. Jeśli podczas spotkania uznałabym, że to jednak nie to, zabrałaby mnie stamtąd. Spędziłyśmy z Astrid cały dzień na przygotowaniach i plan był taki, że Eric miał nas tam zawieźć trochę przed czasem, żebym mogła się zaaklimatyzować. Nie najlepiej sobie radzę w dużych skupiskach ludzi.

– Ja też – wyznałem.

W ognisku strzelały iskry.

– Gdy przyjechał po nas Eric, okazało się, że jest w kiepskim stanie. Miał zaczerwienione oczy, ubrał się byle jak. Nie był w stanie nic z siebie wydusić – po prostu zawiózł nas na miejsce i dał znak, że powinniśmy wysiąść. Nie ulegało wątpliwości, że nie ma zamiaru nam towarzyszyć. Uniósł swój telefon na znak, że mamy zadzwonić, gdy przyjdzie pora, żeby nas odebrał, ale Astrid nie chciała wysiąść z samochodu.

– Tak, sam mi o tym opowiedział – przytaknąłem.

– Ale na pewno nie opisał ci, jak bardzo się wystraszyliśmy. Musisz wiedzieć, że Eric zazwyczaj jest bardzo poukładany. Nigdy wcześniej nie widziałam go w podobnym stanie, Astrid pewnie też. Pytała, czy czegoś potrzebuje, czy ma ochotę porozmawiać, ale on tylko kręcił głową, chociaż widać było, że zaraz się rozpłacze. Astrid spytała, czy poradzę sobie przez chwilę sama, a ja odparłam, że tak, pewnie, że powinna zamienić z nim słowo. Potrzebował jej bardziej niż ja. Zapewniłam, że poradzę sobie na przyjęciu w pojedynkę, dopóki się nie pojawi. Nie chciała mnie zostawiać, lecz nie miała wyboru.

– Też mi to opisała, ale przedstawiła to raczej tak, jakby wystawiła cię do wiatru.

– Bo myśli, że to wszystko jej wina, ale się myli.

– Opowiadaj dalej – poprosiłem, przysuwając się odrobinę bliżej do ognia.

Nadal było mi zimno, chociaż nie miałem pewności, czy z powodu chłodu panującego na dworze, czy z niepokoju wywołanego tym, że zaraz usłyszę, co naprawdę się stało.

– Gdy Eric mnie wysadził, pomyślałam, że po prostu wejdę do środka i skryję się w jakimś cichym kącie, czekając na Haydena. Astrid pokazała mi go w szkole, więc wiedziałam, jak wygląda. Bardzo się ekscytowałam myślą, że wreszcie go poznam i przedstawię mu się, jak należy. Byłam też wystraszona, ale w taki dobry sposób.

– Czaję – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Ale jednego nie potrafię zrozumieć. Dlaczego po prostu nie spotkaliście się w szkole? Zależało wam na miejscu publicznym, a szkole ciężko odmówić publicznego charakteru.

Jess spuściła wzrok.



– Wstydziłam się... – wyznała, skubiąc płatek ucha, co przypomniło mi Astrid bawiącą się pasemkami włosów. – Chodzi o to... że nigdy wcześniej nie byłam na randce, nie mówiąc już o tym, że z nikim się nie całowałam. Poza tym wiem, że mało mówię i dziwnie wyglądam...

Chciałem zaprzeczyć, ale oboje wiedzieliśmy, że to prawda.

– ...bałam się, że Astrid nie miała racji, że wcale mu się nie spodobam, a ja tak bardzo zżyłam się z naszymi internetowymi wcieleniami, że nie chciałam niczego zepsuć. Zdawałam sobie sprawę, że nie można do końca życia chować się w sieci, ale gdyby miało się wydarzyć coś złego, jeśli miał spojrzeć na mnie i stwierdzić, że nic z tego nie będzie, wołałam uniknąć konieczności spędzenia reszty dnia na lekcjach. Chciałam móc wrócić do domu.

„Przecież istniały inne, lepsze metody” – pomyślałem, ale co ja tam mogłem wiedzieć.

– To czemu tam na nas nie poczekałaś? – spytałem.

– Bo Ryan i jego kumple pojawili się tam przed wami.

No tak.

– Nie wiem, na czym polega jego problem, ale naprawdę wziął się na Haydena – powiedziała. – Znalazł zapisy naszych rozmów na czacie. Pewnie Hayden któregoś dnia zostawił włączoną grę, a on wlaź do pokoju i je przeczytał.

– A może zauważył, że Hayden wygląda w końcu na szczęśliwego – zasugerowałem pełnym gorczy głosem.

– Może – odparła Jess podobnym tonem. – W każdym razie musiał zobaczyć, że stoję i się rozglądam i że kompletnie tam nie pasuję, co zresztą było prawdą, bo podszedł prosto do mnie. „Jesteś Jess, prawda?” – spytał, a ja potwierdziłam. Zmierzył mnie wzrokiem, a potem prychnął śmiechem. „Jestem bratem Haydena” – powiedział. „Mam dla ciebie wiadomość od niego”. Byłam podekscytowana, bo nie wiedziałam wtedy wiele o Ryanie. Tylko tyle, że kiedyś chodził z Astrid, ale ona nie lubiła o tym mówić. Zdawałam sobie sprawę, że słabo się dogadują z Haydenem, ale Hayden też niechętnie o tym opowiadał, więc pomyślałam, że może ich relacje uległy poprawie. Może gdy Hayden stał się szczęśliwszy, zaczął lepiej sobie radzić z rodziną.

Jej drobne usta wykrzywił grymas.

– Arogancko z mojej strony, prawda? Wyobrażać sobie, że mogłam odmienić życie osoby, której jeszcze nawet nie spotkałam.

– Ale tak właśnie było – zapewniłem.

Jess zaczęła skubać suchą trawę rosnącą pod jej nogą.

– No cóż, szybko się zorientowałam, że źle rozumiałam sytuację – powiedziała cierpko. – Ryan oznajmił, że Hayden sprawdził w szkole, kim jestem, gdy tylko poznał moje prawdziwe imię. I gdy tylko zdał sobie sprawę, z kim tak naprawdę czatował, ogarnęło go przerażenie i nie miał zamiaru pojawić się na imprezie.

– To nieprawda! – krzyknęłam. – Byliśmy w drodze!

Miałem wrażenie, jakbym oglądał jeden z tych horrorów, w których widz jest świadomy zbliżania się mordercy, ale ofiara nic na ten temat nie wie. Wiedziałem, co się za chwilę stanie, ale nie mogłem powstrzymać rozwoju wydarzeń. Żałowałem, że nie istnieje guzik pozwalający na cofnięcie czasu.

– No tak, teraz to wiem – powiedziała Jess. – Musisz jednak zrozumieć, że wtedy dokładnie tego się obawiałam. Jestem pewna, że Ryan doszedł do tego, czytając zapisy naszych rozmów. Znał mój czuły punkt i wiedział, że za jednym zamachem zrani i mnie, i Haydena. Jak można być tak okrutnym?

– Można, skoro nie ma się oporów przed wydaniem kogoś jako homoseksualisty, byle tylko móc nadal udawać, że własny kumpel nie jest gejem – powiedziałem, kręcąc głową.

– Nie chciałam mu uwierzyć, ale Ryan się śmiał, a chwilę później dołączyli do niego koledzy, chociaż musieli zauważyć, że zaczynam płakać. Musiałam się stamtąd wynieść, więc wyszłam. A potem wysłałam Haydenowi SMS-a.

O nie.

– Co napisałaś?

Spuściła wzrok i nawet w półmroku dostrzegłem, jak z jej oka wycieka łza i spada na ziemię. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej telefon. Następnie pokazała mi wiadomość.

**NIE WIERZĘ, ŻE MOGŁEŚ MI TO ZROBIĆ. JESTEŚ NAJPODLEJSZĄ OSOBĄ, JAKĄ KIEDYKOLWIEK POZNAŁAM.**

CIESZĘ SIĘ, ŻE NIE POZNAŁAM CIĘ OSOBIŚCIE. NIGDY WIĘCEJ SIĘ ZE MNĄ NIE KONTAKTUJ.

Pod spodem widziałem serię SMS-ów od Haydena. W każdym z nich zapewniał, że nie ma pojęcia, o co jej chodzi. Na żadnego nie otrzymał jednak odpowiedzi.

– Nie widziałam ich, bo wyłączyłam telefon – poinformowała Jess, gdy zdała sobie sprawę, że skończyłam czytać. – Byłam wściekła, wyładowałam się na nim i nie chciałam nawet słuchać tego, co miał mi do powiedzenia. Wezwałam taksówkę i sama wróciłam do domu. Dopiero następnego dnia, po rozmowie z Astrid, uświadomiłam sobie, że Ryan kłamał. Ale wtedy było już za późno.

Spojrzała na mnie.

– Teraz rozumiesz? To wszystko moja wina.

Ogarnęły mnie skrajne emocje. Z jednej strony było mi strasznie żal Jess. Widziałem, jak bardzo jest przybita, i rozumiałem, dlaczego czuła się odpowiedzialna, choć też doskonale rozumiałem jej reakcję. Jednak z drugiej strony żałowałem, że nie zrobiła niczego, aby zapewnić Haydena, że ich związek był prawdziwy, bo byłem pewny, iż właśnie to złamało mu serce.

Gdy słyszałem na imprezie, jak Ryan każe Haydenowi na coś spojrzeć, prawdopodobnie chodziło o SMS-a od Jess.

Wtedy właśnie zgasła ostatnia nadzieja Haydena na to, że jego życie ulegnie poprawie. W rzeczywistości największą winę ponosił Ryan, nawet jeśli Hayden nie zdawał sobie z tego sprawy. Byłem tak wściekły, że czułem, jak krew pulsuje mi żyłach. Miałem ochotę go zabić za odebranie mi najlepszego przyjaciela. Zdałem sobie sprawę, że pewnie tak się właśnie czuła Astrid.

Ale ja wcale nie chciałem stać się taki jak ona. Skrzywdzenie Ryana w niczym by mi nie pomogło. Nawet obwinianie go nie poprawiło mi nastroju. Kto dał mi prawo do decydowania, po czyjej stronie leży większa wina? Jakąś minutę czekałem, aż moje tętno zwolni.

Jess wciąż siedziała tuż obok, patrząc na mnie i czekając, aż się odezwę. Jej oczy zaczęły się wypełniać łzami i wiedziałem, że muszę coś powiedzieć, nawet jeśli na niewiele się to zda. Właściwie nic, co do tej pory usłyszałem, w niczym mi nie pomogło.

– Wiesz co, skoro jesteś przekonana, że to po twojej stronie leży wina, choć podobnie czuje Astrid i ja zresztą też, to może powinniśmy przyjąć, że żadne z nas nie ma tak do końca racji. Pewnie już nigdy nie przestanę się obwiniać za swój udział, bo przecież łatwiej jest winić siebie niż kogoś innego. Ale może pewnego dnia choć częściowo zwolnię się z odpowiedzialności, bo skoro żadne z nas nie jest w stu procentach winne, to może nie moglibyśmy powstrzymać biegu wydarzeń, nawet gdybyśmy wiedzieli, jak się za to zabrać. Wydaje mi się, że musimy się z tym pogodzić, tak jak musimy pogodzić się z faktem, że on już nie wróci.

Nie byłem pewny, czy to, co mówię, ma sens, ale Jess pokiwała głową. Uzmysłowiłem sobie, że to wszystko jest prawdą, chociaż wiedziałem, iż żadne z nas nie poczuje się dzięki temu lepiej. Jeszcze przez długi czas. Jednak doświadczałem też czegoś na kształt solidarności z Jess, a nawet Astrid, wywołanej poczuciem winy i żalu, mimo że to, czego dopuściła się Astrid, nadal nie mieściło mi się w głowie.

Wstaliśmy i przez chwilę patrzyliśmy na siebie, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. A potem Jess wyciągnęła ręce, żeby mnie uściskać, ruchem, który ją samą chyba zaskoczył. Przytuliłem ją, czując, jak jej maleńkie obojczyki wbijają mi się w żebra. Trwaliśmy w tej pozycji na tyle długo, że mogło się zrobić niezręcznie, ale się nie zrobiło i ogarnęła mnie ulga wywołana świadomością, że ona naprawdę wszystko rozumie.

W końcu się od siebie odkleiliśmy i wyszliśmy razem pomiędzy drzew – w milczeniu, ale było to milczenie przyjemne i stosowne. Gdy wróciliśmy na pole, wszyscy zgromadzili się już przy linii startowej. Jess podeszła do Astrid i zaczęła szeptać jej coś na ucho, a Astrid pochyliła się i słuchała, kiwając głową. Śmiesznie razem wyglądały ze względu na różnicę wzrostu. Trochę jak ja i Hayden. Astrid przeniosła na mnie wzrok i na chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Pierwszy odwróciłem oczy.

Odszukałem Rachel i Jimmy'ego.

– Zaraz się zaczyna, mały – oznajmiła moja siostra. – Chodźmy.



*The Mother We Share***Chvrches**

Ustawiliśmy się we trójkę na środku pola, tuż obok najbardziej zabłoconego fragmentu ścieżki, którą miały przejeżdżać samochody.

– Właśnie dlatego kazałam ci się przebrać – wyjaśniła Rachel. – Upaprzemy się jak dzikie świnię. Będzie niesamowicie!

Nie podzielałem jej entuzjazmu, ale to było nieistotne. Z daleka dostrzegłem, że kierowcy wsiadają do wozów. Eric i Ryan najwyraźniej mieli się ścigać pierwsi. Nie widziałem Ryana od pogrzebu i dziwnie było teraz obserwować go bez obstawy Jasona i Trevora – jeden z nich pewnie nadal dochodził do siebie, a drugi się ukrywał. Czyżby wzrok płatał mi figle, czy Ryan miał na sobie T-shirt Haydena? Próbowałem sobie przypomnieć te, które znalazłem w kartonie, i zdałem sobie sprawę, że nie widziałem tam starej koszulki The Smiths. Poczułem, jak żyła w skroni zaczyna mi pulsować.

Od linii mety dobiegł mnie dźwięk zapalanych silników – pomruk wypasionej półciężarówki Trevora, basowy warkot wysłużonego pick-upa Erica. Następnie obaj podkręcili obroty i usłyszałem, jak wielką moc ma do dyspozycji Ryan. Jakim cudem Eric liczył na to, że go pokona?

Rozległ się ostry dźwięk gwizdka i oba wozy ruszyły. Z tego, co widziałem, na początku miały do pokonania kilkaset metrów i na tym odcinku Ryan prowadził, chociaż nie tak bardzo, jak można by się spodziewać, zważywszy na możliwości ciężarówki Trevora.

Wkrótce jednak wyszło na jaw, że osiągnięta prędkość tylko częściowo przyda się kierowcom na błotnistym odcinku szlaku. Gdy obie półciężarówki wjechały na rozmokły teren, ich przednie koła

zaczęły dziko buksować, ochlapując tłumy zgromadzone po obu stronach drogi. Rachel miała rację: w ciągu kilku sekund wszyscy byliśmy pokryci błotem od stóp do głów. Cuchnęliśmy świńskim łajnem, co z początku wydawało mi się odrażające, ale niedługo potem mój nos się przyzwyczyił.

Jednak gdy tylne opony samochodów zetknęły się z błotem, wyszło na jaw, że przednie koła praktycznie nie mają zastosowania przy utrzymaniu pędu. Wyglądało to tak, jakby błocko starało się spowolnić auta, a potem wessać je w siebie. Jedynym sposobem na pokonanie tej przeszkody było utrzymanie prędkości, ale wszyscy widzieli, jakie to było trudne.

Tu właśnie Eric pokazał lwi pazur – pewnie dzięki temu, że jeździł po błocie na farmie.

– Zazwyczaj to Trevor startuje – krzyknęła do mnie Rachel i rzeczywiście nie ulegało wątpliwości, że Eric lepiej wie, jak sobie radzić na trudnym terenie.

Ryan chciał zmusić samochód do przejechania przez błoto, rozpędzając się, jak tylko mógł, ale miał tylko rozmiękłą ziemię. Koła kręciły się w miejscu, a postępy były minimalne. Jeszcze nie utknął, ale nie przemieszczał się zbyt szybko.

Dla odmiany pick-up Erica zdawał się ślizgać po powierzchni błota. Przypominało to jazdę na tylnym kole roweru – przednie opony prawie nie dotykały ziemi, a tylne popychały auto naprzód. Chwilę zajęło mi uzmysłowienie sobie, jak to możliwe, po części dlatego, że powieki oblepione miałem błotem: posuwając się przed siebie, Eric wykonywał też subtelne skręty w lewo i prawo. Ledwo się dało je dostrzec, ale najwyraźniej owa technika wystarczała, aby zapewnić kołom wystarczającą przyczepność i zapobiec buksowaniu.

Eric wyprzedził Ryana, zanim stało się jasne, że półciężarówka Trevora ostatecznie utknęła w błocie. Gdy Eric wjeżdżał na metę, Ryan jeszcze nie zdołał się stamtąd wygrzebać i w końcu wyłączył silnik i wysiadł. Eric i jego ekipa zaczęli wiwatować: krzyczeli, śpiewali i wygłupiali się w poczuciu nieskrępowanego triumfu. Przez chwilę ich obserwowałem, rozważając podejście tam, ale nie chciałem im psuć zabawy ani do niej dołączyć. Astrid śpiewała równie głośno, co cała

reszta. Staralem się wypatrzeć u niej jakiegokolwiek oznaki cierpienia, którego sam doświadczałem, ale niczego nie dostrzegłem.

Szkolni sportowcy zgromadzeni wokół półciężarówki Trevora pomogli Ryanowi wydostać auto z błota. Zanim udało się im przepchnąć je przez linię mety, Eric i jego znajomi zdążyli już trochę ochłonąć. Oblepiony błotem Ryan oparł się o samochód. Eric był najczystszą osobą w okolicy, na jego koszuli widać było tylko kilka odcisków dłoni pozostawionych tam przez przyjaciół, którzy poklepywali go po plecach. Ruszając w kierunku mety, dostrzegłem, że Eric i Ryan nawiązali kontakt wzrokowy – byłem ciekawy, co się teraz wydarzy.

Na razie żaden z nich się nie odzywał – istna gra w cykora. Eric zwyciężył i Ryan wyraźnie nie był z tego powodu zadowolony, ale pojedynek nie dobiegł jeszcze końca. Ten, który powiedziałby coś pierwszy, mógłby wyjść na cieniasa. Z miny Erica mogłem wyczytać, że zmaga się z samym sobą. Chciał coś powiedzieć, zmusić Ryana do uznania porażki, ale próbował wykazać się cierpliwością.

I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, Ryan wyciągnął do niego rękę.  
– Dobra robota – powiedział.

Eric przechylił głowę na bok i przez chwilę stał bez ruchu, nie wiedząc, jak zareagować. Spojrzał na Astrid, która – jak ze zdziwieniem stwierdziłem – szeroko się uśmiechała. Dlaczego wszystkim tak bardzo zależało na aprobacie z jej strony? W każdym razie Eric uściśnął dłoń Ryana i powiedział:

– Ty też nieźle sobie radziłeś.

Poczułem ulgę, gdyż był to wyraźny sygnał zakończenia wojny – nie musiałem się już dłużej martwić spiskami knutymi w celu zemsty. Jednak nie miałem okazji długo rozkoszować się tą ulgą, bo Ryan ruszył z mety prosto w moim kierunku.

Miałem rację, nałożył koszulkę The Smiths należącą niegdyś do Haydena. Zabawne było to, że idealnie na nim leżała. Zdążyłem zapomnieć o tym, że byli z Haydenem podobnej budowy, tyle że Ryan nadwagę zamienił w mięśnie. Nawet podobnie wyglądali, chociaż rysy twarzy Ryana były ostrzejsze i przystojniejsze niż Haydena.

– Możemy pogadać? – spytał.

Brzmiał dokładnie tak jak Jess, gdy wcześniej do mnie podeszła –



jego ton był lekko nerwowy, ale pełen determinacji.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru niczego mu ułatwiać, bez względu na to, co chciał mi powiedzieć.

– Poczekamy tu na ciebie – zapewniła Rachel.

Odeszliśmy na bok. Za chwilę zaczynał się kolejny wyścig, więc nikt nie zwracał na nas uwagi.

– Dużo myślałem o tym, co powiedziałaś na pogrzebie – odezwał się Ryan.

Serio? O mało co nie zwichnąłem barku, gdy Jason powalił mnie na podłogę.

– W dziwny sposób to okazujesz – zauważyłem.

– Moi przyjaciele mnie chronią – wyjaśnił. – Wiedzą, że wiele przeszedłem.

– No tak – odparłem, czując, jak wzbiera we mnie złość. – Wiodłeś niemalże idealne życie, a teraz twój braciszek-nudziarz nie będzie ci wchodził w paradę.

Zrobił taką minę, jakbym go spoliczkował, i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie przeholowałem.

– Posłuchaj, wiem, że byłeś najlepszym przyjacielem Haydena, więc masz ten sam punkt widzenia co on. Ale zastanawiałaś się kiedyś, czy ta historia nie ma drugiego dna?

– Czyli są dwa dna, tak? Zamieniłeś jego życie w piekło, odebrałeś mu szansę na posiadanie dziewczyny i teraz on nie żyje. Jakie jest to drugie dno?

– Nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie – powiedział Ryan. – Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to obraz taty, który przekłuwa moją piłkę do nogi nożem do steków, żeby zmusić mnie do rzucania z nim piłką do futbolu amerykańskiego. Myślisz, że taki drobny gość jak ja nadawał się do tego typu sportu? Mógłbym zostać świetnym bramkarzem, ale tata stwierdził, że piłka nożna jest dla mięczaków, a on nie miał zamiaru wychowywać mięczaka. Przynajmniej do momentu, gdy pojawił się Hayden, któremu wolno było się zaszyć w swoim pokoju i przez cały dzień grać na konsoli. Nie musiał radzić sobie z naszymi durnymi rodzicami.

Chyba jaja sobie robił.

– Czyżbyś nie słyszał, jak się do niego odnosili? – spytałem.

– Pewnie, ale to tylko słowa – odparł Ryan. – Jak już się wygadali, dawali mu spokój. Poza tym Hayden miał problemy z nauką.

Wrzeszczeli na niego z powodu kiepskich ocen, ale nie zmuszali go do osiągnięcia tego samego poziomu co ja. Musiałem mieć na świadectwie piątki od góry do dołu, bo inaczej koniec z kieszonkowym, ciuchami, sprzętem sportowym. Harowałem jak wół.

Zamilkł na chwilę i byłem pewny, że zachodzi w głowę, dlaczego właściwie mi to wszystko mówi. Sam się nad tym zastanawiałem.

– To było bardzo niesprawiedliwe – wyznał w końcu cichym głosem. – Wiem, że to nie jego wina. Wiem, że łatwiej było mu się z nimi pokłócić, a potem zamknąć w pokoju, zamiast zmagać się z presją tak jak ja. Ale strasznie go za to nienawidziłem. Rozumiem, że to czyni ze mnie złą osobę. Rozumiem to.

Nie zamierzałem się z nim spierać.

– To dlatego zmusiłeś Jess do wyjścia z imprezy?

– Sytuacja była bardziej złożona – odparł. – Wszedłem do jego pokoju, żeby skorzystać z komputera, bo mój się zawiesił. Używam starego rżęcha, bo mam czwórkę z matmy i rodzice nie kupią mi nowego, dopóki się nie poprawię. Zobaczyłem, że rozmawiał w necie z jakąś panienką. Wkurzyłem się, że miał zamiar się z nią spotkać, a ja dopiero co straciłem dziewczynę, na której mi bardzo zależało.

– Astrid?

Skinął głową.

– Wiem, że się z nią spotykasz. Pewnie ci opowiadała, jaki ze mnie dupek, bo z nią zerwałem, ale nie masz pojęcia, jak się zachowywała po śmierci taty. Teraz lepiej to pewnie rozumiem, ale wtedy miałem wrażenie, że zmieniała się w kogoś innego. Każda jej decyzja była wyrazem buntu wobec tego, kim była wcześniej. I wobec mnie. Zerwałem więc z nią, ale tak naprawdę złamała mi serce.

Dziwnie było słuchać tych jego wyznań. Widziałem, że on też czuje się nieswojo. Jego twarz miała zaskoczony wyraz, jakby sam nie mógł uwierzyć, że mówi mi te wszystkie rzeczy.

– Nie umiałem się pogodzić z myślą, że Hayden odniósł sukces tam, gdzie ja poniosłem porażkę. Poszedłem więc na imprezę

i powiedziałem mu, że Atena nie istnieje. Że to tylko żart, że przerobiliśmy go razem z Astrid, która tak naprawdę nigdy nie była jego przyjaciółką. Z początku nie chciał uwierzyć, ale gdy zobaczył SMS-a od Jess, nie mógł się dłużej spierać.

Ryan spuścił wzrok na koszulkę The Smiths.

– Widziałem, jak mama pakuje rzeczy, które ci zawiozła. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że też chciałbym mieć jakąś pamiątkę po nim. To był jedyny z jego zespołów, który mogłem znieść, wziąłem więc sobie tę koszulkę, zanim wyszła.

Przypomniało mi się kilka piosenek ze składanki, w tym ta o rodzeństwie, którą nie do końca rozumiałem. Tekst był smutny, ale kawałek brzmiał dosyć radośnie. Zastanawiałem się, co Hayden próbował mi przekazać na temat Ryana. Czyżby rozumiał, że podłe traktowanie go przez brata miało tak przykre podłoże? Możliwe, że w pewnym stopniu zdawał sobie z tego sprawę. Nie wiedziałem jednak, co mógłbym powiedzieć. Przez wiele lat rozmyślałem tylko o złych rzeczach, jakich się dopuszczał Ryan, nie myśląc nawet, jak to jest być nim. Jego życie wydawało się przecież usłane różami, zwłaszcza w porównaniu z życiem Haydena. Dziwnie było się dowiedzieć, że on także miał swoje tajemnice, tak jak my wszyscy.

– Wiem, że mnie obwiniasz – odezwał się Ryan. – To nic. Sam siebie też obwiniam. I jeśli to ty zaatakowałeś Jasona i Trevora, jestem w stanie to zrozumieć.

– To nie ja... – zacząłem się tłumaczyć, ale Ryan przerwał mi, unosząc dłoń.

– Nieważne – powiedział. – Wyrządziliśmy dużo zła, więc zasłużyliśmy na karę. Ale utrata Haydena... Muszę żyć ze świadomością, że nigdy mi się nie uda tego naprawić. Moi kumple krzywdzili różne osoby, ale takie rany się wygoją, podobnie jak ich własne rany. Haydena jednak już nie ma między nami i nie sądzę, żebym kiedykolwiek się z tym pogodził.

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że mógłbym współczuć Ryanowi, ale tak właśnie się działo.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziałem.

– Nie mogę cię prosić o przebaczenie – mówił dalej Ryan. – Sam

sobie nie mogę wybaczyć, więc jaki byłby tego sens? Ale jak sądzisz, czy pewnego dnia przestaniesz mnie tak bardzo nienawidzić?

Przez chwilę się zastanawiałem nad rosnącą bez przerwy listą ludzi odpowiedzialnych za śmierć Haydena. Każdy z nas jednocześnie ponosił odpowiedzialność i jej nie ponosił. Bo ostatecznie to Hayden podjął decyzję. To on nas tu zostawił, każąc wszystko rozgryźć na własną rękę i nie dając nam szansy na przeprosiny i zadośćuczynienie. Nigdy nie zrozumieć, jak pokrzywdzony, zagubiony i bezradny musiał się poczuć, aby uznać, że nie warto się dłużej starać. Przestałem być na niego zły; nigdy nie chciałbym doświadczyć podobnego stanu. Nie chciałem też sprawić, aby ktoś inny go doświadczył.

– Nie nienawidzę cię – powiedziałem do Ryana, prawie całkiem szczerze. – Nikogo nie nienawidzę.

– Dzięki – odparł, a ja zrozumiałem, co oznacza powiedzenie „zdjąć komuś ciężar z piersi”. – To dla mnie wiele znaczy.

– Nie skończyłem jeszcze przeglądać wszystkich koszulek, które przyniosła twoja mama – powiedziałem. – Jak chcesz, możesz kiedyś wpaść i sprawdzić, czy są tam jeszcze jakieś, które chciałbyś zatrzymać.

– Tak zrobię – obiecał Ryan.

Wróciłem do Rachel i Jimmy’ego.

– Rachel powiedziała mi, że to brat twojego kolegi – odezwał się Jimmy. – Wszystko okej?

– Może być – odparłem, kiwając głową.

– No to chodźmy, braciszku – powiedziała Rachel. – Pora wracać do domu.







*It's Only Life***The Shins**

Nigdy się z tego nie otrząsnę.

Już wiem, że to prawda, ale to wcale nie oznacza, że pewnego dnia się z tym nie pogodzę i nie zacznę żyć od nowa. Pan Beaumont pomógł mi to zrozumieć. Spotykam się z nim co tydzień już od roku i dobrze mi to robi. Mama przez jakiś czas nalegała na wizyty u psychologa z prawdziwego zdarzenia, ale w końcu poszła ze mną na kilka sesji z panem Beaumontem i chyba stwierdziła, że mi pomagają, więc dała spokój.

– Na razie wystarczą – podsumowała.

On chyba jej się podoba, bo w jego obecności mama zachowuje się niezręcznie, jak nie ona. Trochę mam nadzieję, że jak już przestanę do niego chodzić, zaczną randkować. Dziwne by to było, ale może i fajne.

Od śmierci Haydena upłynął już okrągły rok. Drugą klasę przetrwałem samotnie, ostro kując i starając się zatracić w książkach zamiast w grach komputerowych, i chociaż z początku ciężko mi się było skupić, z czasem zrobiło się łatwiej. Astrid i jej paczki unikałem, co wcale nie było trudne: przeniesienie przerwy na lunch na inną godzinę ułatwiło sprawę, a do tego wróciłem do starego nawyku polegającego na przemierzaniu szkolnych korytarzy ze spuszczonym wzrokiem. Różnica polegała jednak na tym, że wcześniej robiłem to bez zastanowienia i dlatego, że nie wiedziałem, iż można inaczej. Obecnie z premedytacją unikałem życia, które mogło na mnie czekać gdzieś za rogiem. W każdym razie wybór należał do mnie.

W lecie odwiedziłem tatę w Kalifornii, co też dobrze mi zrobiło. Nadal jest frajerem, ale w końcu to mój ojciec, no i miło było wyjechać



choć na chwilę z Libertyville. Mieszka nad wodą, więc dużo czasu spędzałem na plaży i poznałem parę fajnych, przyjaznych osób, co pozwoliło mi uwierzyć, że może jednak Hayden nie będzie jedynym prawdziwym przyjacielem w moim życiu. Przez chwilę spotykałem się też z pewną dziewczyną, chociaż nie darzyłem jej nawet częścią uczuć, które żywiłem do Astrid.

Miałem plan, aby w dalszym ciągu skupiać się na nauce w trzeciej klasie i dostać do dobrego college'u, a potem wyjechać z Libertyville i już nigdy tu nie wrócić. Jednak ciężar samotności z czasem stał się nie do zniesienia i uzmysłowiłem sobie, że wakacyjne przyjaźnie utrudniły mi funkcjonowanie w miejscu, w którym z nikim się nie kolegowałem.

Najpierw skontaktowałem się z Damianem, bo to jego najłatwiej przyszło mi sobie wyobrazić w roli swojego przyjaciela. Wiedziałem, że był zamieszany w spisek, ale nie w jego najgorszą część. Zdradził mi, że z początku to miał być tylko żart i nie zdawał sobie sprawy, że sytuacja może się stać równie poważna. Wciąż się kolegował z tamtą paczką, ale trochę się od nich odsunął, zaczęliśmy więc spędzać czas razem. Nie był Haydenem, ale fajny z niego gość i interesuje się powieściami graficznymi, zaczęliśmy więc gadać o tym, czy ekranizacje komiksów Alana Moore'a mają sens. Pokazał mi rysunki, nad którymi ostatnio pracował, i okazało się, że ma naprawdę duży talent. Miło jest znowu się z kimś przyjaźnić.

Raz na jakiś czas rozmawiam też z Erikiem. Zdaję sobie sprawę, jaki musiał być wściekły z powodu tego, co mu się przydarzyło, i chociaż żałuję, że nie zrobił niczego, aby powstrzymać Astrid, rozumiem, dlaczego tak się stało. Prawdopodobnie z ulgą przyjął wiadomość, że ktoś wymierzy karę bydlakom, nawet jeśli sam zabrałby się za to inaczej.

Nadal nie wiem, co właściwie czuję do Astrid. Od Damiana i Erica dowiedziałem się, że ona wciąż ma ochotę ze mną porozmawiać, i rozumiem, że przebaczenie im, a jej nie, nie ma sensu. Po prostu nie mogę pojąć, że to ona jest odpowiedzialna za te ataki, że wbiła sobie do głowy, iż to jej zadaniem jest pomszczenie krzywd Erica, Jess, swoich i moich. No i Haydena. W niektóre dni prawie mi się udaje pojąć jej motywy działania i wyobrazić sobie, że przebaczam jej wszystkie te

kłamstwa i półprawdy, których użyła, by trzymać mnie w nieświadomości.

Raz na jakiś czas Astrid przyłapuje mnie na gapieniu się na nią. Na pewno jest w stanie stwierdzić, że trudno jest mi powstrzymać się od podbiegnięcia do niej i oznajmienia, iż chcę zacząć od początku. A jeśli to dostrzega, musi również widzieć, że w walce pomiędzy tą chęcią a smutkiem i niepewnością, co to znaczy ufać komuś – nawet komuś, kogo zna się od niedawna – za każdym razem wygrywa niepewność.

Na razie.

Parę dni temu wpadłem na nią w stołówce. Czasami jemy lunch o tej samej porze, a kiedy dostrzegam ją po drugiej stronie pomieszczenia, ona kiwa do mnie głową. Ów gest przypomina pytanie, na które nie wiem, jak odpowiedzieć. Tamtego dnia po raz pierwszy jej odmachnąłem.

Moja siostra ukończyła szkołę zeszłej wiosny, tak samo jak trio bydlaków. Rachel chodziła z Jimmym do momentu, gdy musieli się rozjechać do różnych college'ów. Lubiałem go najbardziej ze wszystkich chłopaków, z którymi się do tej pory spotykała. Mam nadzieję, że kiedyś znowu będą razem. Co do szkolnych dręczycieli, Jason nigdy się nie przyznał do bycia gejem, a za kościelne stypendium opłaca chesne w małym, acz liberalnym college'u nauk społecznych w Oregonie. Jestem przekonany, że już tu nie wróci. Trevor zadziwiająco szybko doszedł do zdrowia i dostał się do college'u stanowego, gdzie ma nadzieję dołączyć do drużyny hokejowej. Ryan mnie zaskoczył, nie idąc w ślady Trevora. Wyjechał do uczelni położonej gdzieś na wschodzie i podobno nie gra tam w futbol amerykański. Mam nadzieję, że to dlatego, iż wybrał piłkę nożną. Nigdy nie pojawił się u mnie, żeby przejrzeć koszulki Haydena, ale prawdę mówiąc, nie sądziłem, że to zrobi. Cała trójka przez resztę roku zachowywała się raczej spokojnie, a plotki o tym, co tak naprawdę zaszło, szybko się rozniosły i chyba sporo namieszały. Granice między szkolnymi klikami zaczęły się zacierać. Eric założył grupę wsparcia mniejszości seksualnych, do której zapisało się więcej osób, niż się spodziewałem. Przez większą część ubiegłego roku w liceum Libertyville panował spokój.

Też liczę na to, że go kiedyś doświadczę. Trochę czasu zajęło mi

wyzbycie się obaw dotyczących korzystania z komputera. Nie byłem pewny, czy mam ochotę na kolejne spotkanie z Arcymagiem\_Gedem, ale postanowiłem zaryzykować. Po rozmowach z panem Beaumontem uzmysłowiłem sobie, że Arcymag nie był prawdziwy. Wymyśliłem go, żeby ułatwić sobie zrozumienie sytuacji. Tak naprawdę nie zdradził mi przecież niczego, czego sam bym nie wiedział, bez względu na to, czy byłem gotów to przyznać, czy nie. W dodatku regularny sen sprawił, że poczułem się jak nowo narodzony, oraz pomógł zrozumieć, jakie są konsekwencje jego braku. Było coś kojącego – i odrobinę makabrycznego – w myśli, że to jednak był Hayden, że to on mi towarzyszył, ale sądzę, że tak naprawdę wymyśliłem sobie Arcymaga, bo go potrzebowałem. Figurkę czarnoksiężnika schowałem do pudełka. Cieszę się, że ją kupiłem, ale przestałem się martwić, że zapomnę o Haydenie. Jest przecież ze mną bez przerwy.

Obecnie spędzam większość czasu, słuchając muzyki na komputerze. Postanowiłem odpuścić sobie słuchanie playlisty Haydena. I tak nie pomogła mi rozwiązać żadnej zagadki, a nigdy nie będę już w stanie słuchać tych piosenek i nie cofać się pamięcią do zeszłego roku. Jej największą zaletą było to, że zacząłem rozmawiać z ludźmi. A raczej ich słuchać. Tego właśnie nauczyła mnie ta składanka: jak ważne jest słuchanie innych. Mam nadzieję, że robię się w tym coraz lepszy.

Playlistą Haydena pomogła mi podtrzymać więź z nim, a także otworzyła mi oczy i uszy na muzykę, której wcześniej nie znałem. Szukam teraz nowych kapel, których odkrycie zawdzięczałbym tylko sobie, a nie Haydenowi czy Rachel. Zacząłem nawet tworzyć swoją własną składankę – weselszą niż ta, którą zostawił mi Hayden, ale nie tak euforyczną jak te, które przesyłali sobie z Jess. Umieszczam na niej piosenki pełne światła i nadziei. Takie, które przypadłyby do gustu Astrid.

I może pewnego dnia podeślę jej tę playlistę.

## ***PODZIĘKOWANIA***

Chcę podziękować tak wielu osobom, że nie wiem, od kogo zacząć.

Dziękuję Melissie de la Cruz, Richardowi Abate'owi oraz całemu zespołowi Spilled Ink za daną mi szansę. Dziękuję też Jocelyn Davies i wszystkim pracownikom wydawnictwa HarperCollins za fantastyczną redakcję. Podziękowania należą się również ekipie Iowa Writers' Workshop, a w szczególności śp. Frankowi Conroyowi, Samowi Changowi, Elizabeth McCracken, braciom Connie, Deb West i Janowi Zenicekowi za dwa najlepsze lata mojego życia i nie tylko. Wyrazy wdzięczności składam osobom, które poświęciły swój czas, aby mi pomóc, a zwłaszcza Larry'emu E. oraz Susannah B. Moore'om oraz społeczności artystycznej Corporation of Yaddo. Dziękuję przyjaciołom, którzy zapewniali mi wsparcie, rady, a nawet dach nad głową, przede wszystkim Katherine Bell, Justinowi Kramonowi, Elisie Lee, Dorze Malech, Toddowi Pettysowi, Caroline Sheerin, Alowi Smithowi, Brandonowi Trisslerowi i Rebecce Trissler. Dziękuję także członkom mojej fantastycznej grupy pisarskiej: Eugene'owi Crossowi, Nami Mun, Samuelowi Parkowi, Gusowi Rose'owi oraz Shaunie Seliy. Na koniec podziękowania składam mojej rodzinie: Barry'emu, Gail, Davidowi i Marissie Falkoffom, bez których nic nie byłoby możliwe.

